

# MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt II.

za

L U T Y

1900.



## TREŚĆ:

- I. Od czego zacząć. *L. Straszevicz.*
- II. Ilu nas jest? *Ludwik Straszevicz.*
- III. Tajemnica *Czechowa.*
- IV. Lublin *Gustaw Dołiński.*
- V. Wizerunki literackie. (Z. Kaczkowski) *W. Dobro-Wolski.*
- VI. Piśmiennictwo (Ludzie Bezłomni Żeromskiego, Argonauci Orzeszkowej. Co i jak czytać? *Kozłowski*). *Lach.*
- VII. Z dziedziny nauki. *L. P. T.*
- VIII. Dzieje boerów. *L.*
- IX. Z dziedziny politycznej. *K. P.*
- X. Przegląd teatralny.
- XI. Wielka wojna *Karol Szajnocha.*
- XII. W ojców ślady... *K. Laskowski.*
- XIII. Dusiele w Bengalu. *L. Bousenard.*
- XIV. Ze świata kobiecego. *L. Cwierczakiewiczowa, E. Żmijewska.*
- XV. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego

Marszałkowska № 141.



## Szczury i Myszy

tepią doszczętnie automaty „Elektra”, niszcząc szkodników bez przerwy w olbrzymich naraz ilościach. Automat № 15 na myszy rub 1. Automat № 16 na szczury rub 4 k 50. Wylączna sprzedaż, Warszawa, Kantor „Progres”, Długa № 32. Automaty na prowincję wysyłają się tylko po otrzymaniu całej należności: № 15 pocztą, № 16, taniej dr. ż. Przy zamówieniach prosimy o bezwarunkowe oznaczenie żądanych automatów.

# TOWARZYSTWO

## „L'Urbaine“.

Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien oszczędzać ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitał na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jest to najświętszy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek umrzeć może każdej chwili, nie zebrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dlań osoby zostają w ubóstwie.

Nikt śmierci nie ujdzie, lecz każdy może ochronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swe życie w Towarzystwie „L'URBAINE“.

Niech płaci do tego Towarzystwa małą składkę, a ehoćby umarł naza jutrz po ubezpieczeniu, to rodzina jego otrzyma natychmiast umówiony kapitał. Jeżeli zaś dożyje do oznaczonego wieku, to może otrzymać sam cały kapitał na starość. W razie dłuższej choroby lub nieszczęśliwego wypadku w terminie płacenia składek, ma prawo nie płacić ich, aż będzie mógł znów pracować. Jeżeli stanie się na zawsze niezdolny do pracy, to natychmiast otrzyma  $\frac{3}{4}$  kapitału, a  $\frac{1}{4}$  w terminie.

Składki płaci się kwartalnie, półrocznie albo rocznie. Od większego kapitału płaci się większa składka. Starsi płacą trochę drożej, niż młodszy.

Oto przykłady:

Człowiek 50-letni może składać co rok po 23 rub. 30 kop. za 500 rubli, które będą natychmiast wypłacone po jego śmierci. Od 1,000 rubli składa co rok po 46 rub. 60 kop.

Człowiek 30-letni może składać co rok po 19 rub. 50 kop., jeżeli chce, aby 500 rubli wypłacono natychmiast rodzinie po jego śmierci, albo jemu samemu, gdy żyć będzie po upływie 25 lat. Od 1,000 rubli składa co rok po 39 rub.

Wogóle każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać składki stosownie do swego wieku, zarobków i położenia rodzinnego. Sposobów umowy jest bardzo wiele, na różne sumy i różne terminy.

Ubezpieczenie na życie jest korzystniejsze od składania pieniędzy na procent, bo zapewnia spokój o los rodziny. Każdy rzemieślnik, oficjalista, robotnik winien się ubezpieczyć.

W celu zapewnienia kapitału dla ubezpieczonych, Towarzystwo „Urbaine“ złożyło do Banku Państwa pół miliona rubli kaucji i składa tamże swoje fundusze zapasowe pod kontrolą Rządu, Ubezpieczeni otrzymują kwity z pieczęcią Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE“ w Warszawie, ul. Nowo-Zielna № 51.

## Od czego zacząć.

---

Od lat już stu Europa przypisuje szkole wielką potęgę. Wierzy, iż szkoła jest głównym czynnikiem postępu i siły, źródłem wszelkiej pomyślności, wszelkiego powodzenia. Od niej oczekiwano odrodzenia społeczeństw, wiania w nie zdrowia trwałego. Gdy Niemcy pobiły Francję, na całym świecie ludy cywilizowane powtarzały z głębokim przekonaniem frazes, że dokonali tego nauczyciele niemieckich szkół ludowych. Kiedy Niemcy poczęli z powodzeniem konkurować z przemysłem angielskim, znowu wytłomaczono to rozwojem i doskonałością szkolnictwa niemieckiego.

Przed laty kilkunastu jeden z posłów sejmu norweskiego zawołał: dajcie mi naród zupełnie upadły moralnie, a ja go wskrzeszę... elementarzem. Słowa te obiegały wówczas całą prasę europejską, wywarły duże wrażenie, wywołały poklask gorący.

To też wiek XIX był wszędzie świadkiem wielkich wysiłków, ofiar, skierowanych ku podniesieniu szkolnictwa do wysokiego poziomu, ku uczynieniu oświaty powszechną. Użyto środków wszelkich, nie

wyłaczając gwałtu. Kto w Niemczech nie uczy sześciolatniego dziecka, temu zabierze je policjant i zaprowadzi do szkoły. Wszystkie te środki witała Europa okrzykami radości, jako objawy i zwiastuny cywilizacji.

Powszechne przeświadczenie znalazło i u nas gromkie echo, zdobyło uznanie zupełne. Wspólnie z innymi narodami uważamy szkołę za jedyną, lub przynajmniej za główną instytucję wychowawczą. Nawet nauka domowa, o ile istnieje, jest wyłącznie przygotowaniem do szkoły, i przytem sama upodobnia się zupełnie do szkoły metodą, programem, treścią. Pęd do szkoły w całym społeczeństwie naszym jest wielki; ogół wierzy głęboko, iż od dostania się do szkoły i od powodzenia w niej zależy pomyślność życia całego synów, a nieraz córek. Dobrobyt kraju wiążemy ściśle z liczbą i wartością szkół.

•           •

Takie, niewątpliwie, panują wśród nas pojęcia; z czego wynikać by powinno zainteresowanie się ogólne sprawami szkolnictwa. Tymczasem istnieje zupełna obojętność. Przekonania są czystą teorią, która nie pociąga za sobą żadnych niemal skutków praktycznych.

Dowodów na to znaleźć można dużo.

Potrafiśmy wymienić tytuły głównych teatrów w kilku krajach, wiemy jaki tam panuje kierunek, jak się nazywają główni artyści, — ale o stanie szkół we Francji lub w Szwajcjarji nie mamy żadnego bodaj pojęcia; piszemy o tem znacznie mniej niż o wyścigach międzynarodowych, a nawet mniej niż o samobójstwach zagranicznych.

Usiłowań Wielopolskiego w celu podniesienia oświaty ogół nasz w swoim czasie nie docenił. Starsi ludzie opowiadają ze smutkiem, iż nawet otwarcie Szkoły Głównej przeszło w r. 1862 niemal bez wrażenia, w każdym razie wypadku tego za rzecz większej wagi nie uznano. O krótkim istnieniu w owej chwili politechniki społeczeństwo zapomniało, więc jej widocznie bardzo nie żałowano.

Obecnie czynną jest w Petersburgu komisja szkolna. Obrady jej wpłynąć mogą na stan, wartość i kierunek wychowania publicznego w państwie całym. U nas, podobno, nikt żywiej się tem nie interesuje. Prasa warszawska ograniczyła się do przetłómaczenia lub streszczenia paru artykułów z gazet rosyjskich, dodając od siebie drobne, nie wiele znaczące uwagi. O tem, aby który z pedagogów naszych wypracował, lub zamierzał wypracować memoriał jakiś i w ten sposób usiłował wpłynąć na rezultat narady, aby próbował zwrócić uwagę zjazdu na jakieś punkty szczególne — nie było mowy, a nawet, bodaj, myśli.

Ktoś powie niechybnie: zwycięstwo realizmu lub klasycyzmu nie od nas zależy, więc na co się mamy kłopotać, czy starać? Tak, ale przebieg wojny Anglików z Boerami również od nas nie zależy wcale, i z pomyślnością naszą nie jest chyba w związku żadnym, lub niesłychanie dalekim, a jednak co dzień pochłaniamy chęciwie depesze, dysputujemy o taktyce Bullera, mamy zdecydowane sympatje i sądy. Bo ta wojna na drugiej półkuli interesuje nas naprawdę, bo w umyśle naszym wyrobione są upodobania, uzdolnienia i nałogi do spraw politycznych. Tymczasem, gdy chodzi o zagadnienie społeczne, choćby najważniejsze,

chętnie poprzestajemy na rzuceniu utartego, ogólnikowego frazesu; głębsze zapuszczanie się w treść nuży nas i nudzi.

Rzeczywistość daleka jest od ideału. To się zdarza nieraz na tym padole niedoskonałości. Niemniej przeto trzeba mieć w głowie jasno ideał, trzeba znać dokładnie rzeczywistość, bo to czynnik, który zawsze popycha rzeczywistość ku ideałowi.

Nigdy nie może być szkoła dobra tam, gdzie ogólnie ma racjonalnych, t. j. na znajomości rzeczy opartych pojęć o celach i środkach wychowania. Pojęcia te nie zawsze wystarczają, ale zawsze są konieczne. Nie należy dopuszczać, aby kiedykolwiek jakiś zagon w pojęciach ogółu przestał być uprawiany, bo potem uprawa, obsianie, dojrzewanie zabierze dużo sił i czasu. W umysłach społeczeństw żywych, cywilizowanych powinno istnieć zawsze pogotowie we wszelkich dziedzinach pracy społecznej.

. . .

Nie szukajmy wymówek.

Mało się rozumiemy na szkolnictwie, mało się nim zajmujemy, bo cała olbrzymia dziedzina wychowania przyszłych pokoleń nie wiele nas interesuje. Tak jest, niestety! Wyraźnym dowodem tego — literatura. Daje ona zawsze obraz myśli i dążeń społeczeństwa. A nasza literatura pedagogiczna jest ubożuchna. Prac oryginalnych prawie nie ma, tłumaczeń bardzo mało. W dodatku to, co się czasem ukaże, częściej jest dziełem ofiarności lub poczucia obowiązku autora, czy wydawcy, niż skutkiem zapotrzebowania przez ogół. Niekonieć na tem: i te nieliczne prace pedagogiczne, które się ukazują w książkach lub w pismach,

na umysł ogółu naszego nie wywierają wpływu żadnego, szkodliwych praktyk, z ciemnoty płynących, nie usuwają, nie zmniejszają.

Weźmy np. fatalny a powszechny zwyczaj oddawania wychowania i nauki dzieci naszych w ręce bon cudzoziemek. O tem pisano dużo, w różnych czasach i ze wszelkich punktów widzenia. Przytoczono wiele przekonywających argumentów, usunięto, zdawało by się, wszelką wątpliwość, wszelką możność innego zdania. Udowodniono z całą ścisłością szkodliwość tych bon dla rodzin, dla dzieci, dla ogółu i... wpływu nie wywarło to żadnego. Bony zjeżdżają się do nas w coraz większej liczbie i grasują coraz bardziej, bo tego wymaga próżność nasza, bo to uwalnia matki od kłopotliwego obowiązku wychowywania dzieci własnych.

Żadne zagadnienie społeczne nie posunie się ku rozwiązaniu, żadna praca nie przyniesie pożytku, jeśli w umysłach nie będzie myśli przewodniej, wynikającej z poznania rzeczy, z zajęcia się danym przedmiotem. Myśl jest jak słońce—póki nie weszło, noc zimna panuje, rosa oczy wyjada.

Myśl się nie zrodzi, dopóki nie będzie wśród ogółu zainteresowania się sprawami wychowania. Trzeba wynaleść jakiś krzemień, którego uderzenie wywołało by iskrę w opinji, roznieciło płomień. Dotychczas to się rozpaczliwie nie udawało.

Od czegoś zacząć trzeba. Niech pierwsze pomysły będą nawet niedorzecznością, ale niech ludzi zajmą, pochwycą; niech wybuchną kłótnie w prasie, w towarzystwach—niech myśl płonie. Wysiłki poznania światła zawsze ku prawdzie zbliżają.

Niema, bodaj, nieszczęścia społecznego, w którem by jakiejś roli nie odegrało samolubstwo. Ono i tu tkwi niewątpliwie i broi z pewnością. Ojciec i matka, kierując wychowaniem i nauką dziecka, mają na widoku przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, jego osobistą pomyślność, jego karierę, myślą więc o patentach, pensjach. Chęci i usiłowań wychowywania znacznych obywateli, dzielnych pracowników społecznych nie widać jakoś wśród nas. Do celów samolubnych dociera się zwykle ścieżkami, z którymi zaznajamia praktyka życiowa, na których nie jest potrzebne światło wiedzy, lecz spryt jedynie. I to jest, bodaj, przyczyna główna, dla czego niema zainteresowania się kwestjami wychowawczymi, chociaż istnieje przeświadczenie o potrzebie szkoły i nauki.

Kto ma na widoku zrobienie fortuny, zwykle nie naradza się o tem głośno ze współobywatelami, lecz planuje sobie po cichu sposobiki własne.

Takie postępowanie udaje się drobnej cząstce, ogromną większość zawodzi. Bo im mniejsza pomyślność ogólna, tem trudniejsze szczęście osobiste. Na bocznych ścieżkach łatwo zbłądzić i potknąć się. Młodzież, prowadzona bez rozumnego planu, traci zdolności i siły. Nie chowana na słońcu ideałów ludzkich, nie przygotowywana do pracy mozolnej nie tylko dla siebie, lecz i dla innych, daje się potem uwodzić lada błyskowi i... ginie.

Łacińskie przysłowie powiada: trafnie rozumuje, kto dobrze rozróżnia.

Przeceniano wpływ i znaczenie szkoły, bo nie rozróżniano należycie wychowania od nauczania.



Wydaje się to może dziwnem, lecz bardzo długo panował dziwny zamęt w pojęciach. Słusznie też pisał z gorącością i ironją jeden z najznakomitszych pedagogów współczesnych, Uszyński: „Po większej części nie wychowujemy dzieci, lecz je, niemal od kolebki, przygotowujemy do jakiegoś zakładu naukowego.“

To też obarczono szkołę zadaniami nieodpowiedniami najzupełniej.

Szkoła ani jest, ani być może instytucją wychowawczą. Nie ma na to ani sił, ani środków, ani czasu. Nie ma organu, któryby wywierać zdołał wpływ na całą duszę dziecka. Szkoła ma jedynie organy nauczania i organy utrzymywania porządku, najczęściej czysto mechanicznego.

Kto uczył w szkole, a jednocześnie patrzył i myślał, zgodzi się na to odrazu.

Aby spełnić swoje zadanie główne, aby nauczać, szkoła musi, musi przede wszystkim zaprowadzić i utrzymać ład, ciszę, karność wśród licznej gromady dzieci najrozmaitszych usposobień. Musi to być zrobione szybko i stanowczo, nietylko ze względu na czas drogi: zamęt, krnąbrność w tłumie, tolerowane choćby przez chwilę cokolwiek dłuższą, miały by skutki jaknajgorsze. Porządek musi być za jaką bądź cenę — a wtedy niepodobna się rachować, czy użyte środki wpłyną dodatnio na duszę tego lub owego pojedynczego ucznia.

Malcowi w szkole często mówią nauki moralne, ale on ich nie słucha zwykle w skupieniu, zastanawia się rzadko, wyśmiewa często. Kara szkolna nie wywołuje nigdy chyba skruchy, ani postanowienia poprawy, budzi natomiast złość.

Tak się dzieje wszędzie. Ściśle taki stan rzeczy oglądałem w szkołach, najdoskonalszych może w Europie całej, w Szwajcarji.

A dalej. Szkoła, t. j. jednoczesne nauczanie młodzieży według wspólnego programu jest i potrzebne i dobre i konieczne nawet, gdy chodzi o młodzież właściwą. Całkiem inaczej z drobiazgiem do lat 14-u.

Nauka szkolna jest rodzajem wytwórczości hurtownej, maszynowej. Maszyna tnie według pewnego szablonu, według pewnej miary, nieuwzględniając, nie widząc, że materiał nie jest jednorodny, nie jest jednokowy—tu rysa, tam sęczonek. Tak samo postępować musi nauczyciel w klasie, liczącej 40-ro, a choćby i 20-ro dzieci. Nie ma czasu, nie ma żadnej możliwości zatrzymywania się nad szczególnymi właściwościami umysłu jednego ucznia; nie szuka ich, nie poznaje, nie obrabia szczegółowo. Jego sposób nauczania, jego dowodzenia muszą być zastosowane do przeciętnego typu. To też wszystkie dzieci z umysłem nieco odmiennym, ze zdolnościami oryginalnymi—a o te społeczeństwo dbać winno bardzo—w szkole zazwyczaj przepadają. Naturalnie bardzo utalentowany nauczyciel potrafi złe skutki hurtownego nauczania nieco osłabić. Ale naprzód zadanie to przechodzi siły człowieka, a powtóre bardzo utalentowanych nauczycieli jest na całym świecie mało.

Tak więc szkoła nie wychowuje, lecz tylko uczy. Nauka dzieci małych w szkole ma wady częstokroć zgubne.

Dwie te prawdy elementarne ogół, dbający o dobre wychowanie swego potomstwa, powinien mieć wyraźnie i głęboko wyryte w pamięci.

Instytucje, wychowujące ludzi—to kościół i rodzina.

Mówić tu teraz będziemy tylko o rodzinie.

Kształcenie umysłu nie tylko nie jest jedynym, ale nawet nie jest głównym celem wychowania. Na to dziś zgadzają się wszyscy myśliciele, wszyscy pedagodzy.

Uczony francuski Guyau, jeden z najprzenikliwszych umysłów naszej epoki, twierdzi: „Moralność rasy jest, obok jej zdrowia i krzepkości, najgłówniejszym przedmiotem wychowania. Wszystko inne usuwa się na plan dalszy. Przymioty umysłowe naprzykład, nadewszystko zaś wiadomości, wiedza, wykształcenie, posiadają dla rasy wagę znacznie mniejszą niż jej siła moralna i fizyczna.“

W innym miejscu tenże uczony powiada: „rozwój moralny jest najwyższym celem jednostki, warunkiem istnienia samego społeczeństwa.“ Tymczasem, kiedy dla wydoskonalenia umysłu społeczeństwo używa wszelkich wysiłków, rozwój moralności, wykształcenie serca, odbywa się w dziecku bez żadnych niemal z naszej strony starań, bez środków pomocniczych, bez wszelkiej usystematyzowanej metody.

Uszyński pisał: „Śmiało wypowiedamy przekonanie, iż wpływ moralny stanowi główne zadanie wychowania, o wiele ważniejsze niż rozwój umysłowy, napychanie głowy wiadomościami i wyjaśnianie każdemu jego potrzeb osobistych“... „Pocóż mamy—woła gdzieś indziej—uczyć historii, literatury, całego mnóstwa nauk, jeśli nauka nie każe nam kochać ideę i prawdę, więcej niż pieniądze, karty, wino, a duchowe przyjemności

przenosić nad rozkosze cielesne, przymioty ducha nad przypadkowe zalety.“

Stąd nie wynika, rzecz prosta, aby naukę właściwą lekceważyć. Wiedza to potęga, bez której niema pomyślności. Ale ona nie powinna zasłaniać nam innych potrzeb, innych zadań wychowania.

Najważniejsza część wychowania, kształcenie uczuć i charakteru, spada na rodzinę.

Kształcenie serca polega na tłumieniu popędów złych, samolubnych, na budzeniu i podniecaniu uczuć społecznych. Proces ten dokonywać się może jedynie w sferze wolnej od zawiści, bezinteresownej, bliskiej — a taką jest tylko rodzina. Uczucia dobre wywołać w nas zdoła i wyhodować jedynie osoba, która nas kocha i którą my kochamy.

„Gdzie dziecko, albo młodzieniec — pyta myśliciel francuski — mogą nauczyć się owej czystości, drażliwości sumienia, będącej podstawą wszelkiej trwałej moralności, owej delikatności uczuć, która stanowić będzie z czasem wdzięk człowieka, owej barwy uczucia, owej wytworności umysłu, złożonej z odcieni niepochwytnych? Czyliż nauczy się tego z książek, z lekcji, słuchanych uważnie, z tekstów, których się uczy na pamięć? Nigdy! Tych rzeczy uczy się w atmosferze, w której żyjemy, w otoczeniu towarzyskiem, w jakim zostaliśmy postawieni; uczy się ich w życiu rodzinnem, nigdy zaś inaczej. Wykształcenie daje szkoła, wychowanie otrzymuje się w domu rodzicielskim; nauczycielkami, kierowniczkami są tu matka, siostry... Jedynie kobieta głęboko poważna i moralna

może leczyć rany naszego czasu, może wychować człowieka, rozbudzić w nim zamiłowanie dobra i piękna.“

Inny myśliciel francuski P. Laffitte wyraża myśl tę jeszcze dobitniej:

„Matka jedynie zdolną jest wychować człowieka, dla tego, że ona tylko posiada tę potęgę serca, która uzbraja charakter na całe życie, tworzy obyczaj, pomimo lenistwa ciała i umysłu, wbrew dzikim popędom. Widzieć w matce wieczną kierowniczkę swych dzieci — oto zasada każdego wychowania; aż do okresu dojrzewania (puberté, rok mniej więcej 14-ty) powinny one od niej zależeć wyłącznie; nieszczęście to i dla niej i dla nich, jeśli się dzieje inaczej; a i później do niej należeć winien nadzór i kontrola nad wykształceniem... Matka jest jedynym pośrednikiem, przez którego społeczeństwo może bez niebezpieczeństwa wywierać wpływ na dziecko. Matce zawdzięczamy to wszystko, co w ludzkości było najczystsze, największe: św. Augustyn mógł być synem takiej tylko matki, jak św. Monika, tylko Kornelje rodzą Grakchów. Za najwyższy szczyt doskonałości uważać trzeba, jeśli matka przez wzniosłość swej natury potrafi się stać dla dziecka ukochanym obrazem ojczyzny i ludzkości“.

Gdy to wszystko obejmujemy i zrozumiemy, stanie przed nami prawda jasna: krzywdzimy dziecko, wypychając je pośpiesznie po za rodzinę, oddając duszę jego pod wpływ osób obcych; błędzimy, nadając nauce domowej charakter przygotowania do szkoły.

Rodzina ma w dziele wychowania swój własny zakres działania — najrozleglejszy, najważniejszy. Za-

dań swoich zrzekać się nie może; przeciwnie, winna być o nie zazdrosna.

Do należytego spełnienia obowiązku względem dzieci własnych i względem ogółu niezbędną jest nie tylko gorliwość wykonania, ale i sumienna praca przygotowawcza. Trzeba chcieć i umieć wychowywać. Natchnienie, rozsądek nie wystarcza, trzeba się nauczyć, trzeba się przejąć ważnością zadania. Trzeba gorąco kochać zarówno dziecko, jak i społeczeństwo, dla którego się hodzi obywatela.

Bo tu chodzi nie tylko o przyszłe szczęście dziecka. Sumienne a rozumne spełnianie obowiązków wychowania potrzebne jest też samej rodzinie — bez tego nie będzie ona ani trwała, ani użyteczną, ani szczęśliwą. Rodzina wychowuje dzieci na służbę wyższej organizacji społecznej — kraju, i najwyższej — ludzkości; przez tę pracę, przez to zadanie, wiąże się z całością rodzaju człowieczego.

Rodzina, która nie żyje myślą i pracą społeczną, lecz zajęta jest wyłącznie samolubną troską o potrzeby i uciechy własne, psuć się musi i marnieć. W takiej rodzinie szczęście nie zagości.

\* \* \*

Jakże bym pragnął gorąco znaleźć sposób, wyszukać argument do pokonania obojętności ogółu naszego w sprawach wychowania. Jakże bym chciał przekonać czytelników, że grzechem jest poprzestawać na osobistem doświadczeniu, ufać własnemu nieprzygotowanemu rozsądkowi, ograniczać wiedzę do tego tylko, co się usłyszy w towarzystwie, w rozmowie z innym ojcem, z inną matką, z przygodnie napotkaną nauczycielką.

Z tego wyniknąć musi krzywda dziecka; wszakże tu chodzi o pierwszy obowiązek względem społeczeństwa.

Jeszcze jeden argument.

W społeczeństwach zachodnich, w Anglii, w Niemczech, w Szwajcarji, umiejętność wychowywania znacznie jest większa niż u nas. Zajmują się tem dawniej i gorliwiej. Istnieje bogata literatura, byli wielcy reformatorzy wychowania, myśli żywe krążą i ścierają się bezustanku. Więc już w tej chwili sąsiedzi mają przewagę. A pracy nie poniechali, nie osłabli. Corocznie wychodzi masa książek, masa pism, temu przedmiotowi wyłącznie poświęconych. Więc czyż może ulegać wątpliwości, iż młody Anglik lub młody Niemiec będzie lepiej wychowany od syna naszego, to się znaczy mieć będzie pierś szerszą, w niej serce gorętsze, szlachetniejsze, charakter silniejszy, myśl bystrzejszą... Czyli— stanie lepiej uzbrojony do walki o byt.

Czyż się godzi o tem zapominać, czy można to lekceważyć.

*Ludwik Straszewicz.*

---

# Ilu nas jest?

(Dokończenie).

W artykule poprzedzającym daliśmy liczbę ogólną Polaków na podstawie (wedle możności) statystyk urzędowych, nie badając, nie roztrząsając cyfr; wypadło nam  $18\frac{1}{2}$  milionów. Obrachunek prowadziliśmy z tak wielką ostrożnością, iż śmiało liczbę naszą uważać można za minimum. Opierając się na naszych liczbach, „Kraj“ (w numerze 3-im) znalazł ilość wyższą znacznie; niedopuszczył się przytem żadnej przesady, lecz tylko nie zmniejszał liczb statystyki rządowej, co myśmy robili, aby otrzymać cyfrę wolną od wszelkich podejrzeń i wątpliwości. „Krajowi“ wypadło przeszło 20 milionów. Łącząc zaś oba rezultaty, otrzymamy wniosek: jest nas w tej chwili na świecie od  $18\frac{1}{2}$  do 20 milionów.

Następnie podaliśmy szczegółowy obrachunek dla Austrii. Wypadła nam liczba o 400 tysięcy niższa niż przy obrachunku ogólnym. Pochodzi to stąd, iż, badając dane, znaleźliśmy w liczbie Polaków galicyjskich około 500 tys. żydów. Ponieważ właściwie rachujemy ludzi, „mówiących w domu po polsku,“ a wiemy, iż masa żydów galicyjskich jeszcze się z żargonem nie rozstała, ze względu więc na ścisłość uważaliśmy za konieczne liczby statystyki spisowej obciąć. Suma ogólna przez to się nie zmniejsza, gdyż szczegółowe roztrząsania podniosą za to liczbę Polaków w państwach innych, jak to zaraz zobaczymy.

## Niemcy.

W Prusach spisy ludności odbywają się często, w czasach ostatnich co lat pięć, ale nie zawsze w tabelach figuruje rubryka języka. Pierwsza próba rozróżniania narodowości dokonana została w latach 1827—28. Wtedy w rejencjach polskiej i gumbińskiej pytano o „język kościelny“. Potem



w różnych latach, poczynając od 1831 r., rubrykę narodowości tytułowano rozmaicie. W latach 1858 i 1861 pytano o „Familiensprache“ (język używany w rodzinie). Przy spisach następnych pominięto zupełnie kwestję narodowości i tylko przypadkiem notowano ją w r. 1867 w rejencjach: gdańskiej, kwidzyńskiej (Prusy zachodnie), opolskiej (Szląsk), gumbińskiej (Prusy wschodnie). Dopiero w r. 1890 wprowadzono rubrykę „Muttersprache“ (język macierzyński), w r. 1895 znowu jej nie ma.

Musimy tu odpowiedzieć na dwa pytania: ilu jest Polaków? czy odbywa się germanizacja kraju i ludności?

Pomimo niedawnego spisu i dat starszych, umożliwiających porównanie, na oba te pytania trudno dać odpowiedź stanowczą. Ludzie, znający stosunki dobrze, twierdzą, iż spisy wskutek rozmaitych względów i machinacji dają liczby Polaków niższe niż rzeczywistość, wszelkie zaś inne obrachunki są, bądź co bądź, zawsze oparte na przypuszczeniach tylko i kombinacjach cyfrowych.

Zestawienie danych z r. 1890 z cyframi 1861 roku świadczy o przyroście żywiołu polskiego,—znawcy znowu powiadają: nie wiadomo! Spis z r. 1890 jest zły, ale tamte były jeszcze gorsze. Ten wskazuje liczby za małe, ale tamte dawały jeszcze mniejsze, stąd pozory przyrostu.

Ogólny rezultat spisu r. 1890 przedstawia się w sposób następujący:

	było Polaków	stanowili proc. wśród ogółu ludności.
W. Ks. Poznańskie . . . . .	1053184	60,1
Prusy zachodnie . . . . .	493429	34,4
„ wschodnie . . . . .	327696	16,7
Szląsk . . . . .	994961	23,6
Inne prowincje pruskie. . . . .	108681	0,6
Razem Kr. Pruskie . . . . .	2977951	9,9

Takie cyfry znajdujemy w statystyce jako rezultat kombinacji obrachunkowej, właściwie jednak spis dał co innego. Mianowicie w państwie pruskiem 2,922,475 osób zapisało się wyłącznie do rubryki języka polskiego, a 110,952 obok pol-

skiego podało i język niemiecki. Biuro statystyczne podzieliło ostatnią liczbę na części równe, dopisując jedną połowę do cyfry Polaków, drugą do Niemców. Znając stosunki miejscowe, niepodobna prawie wątpić, że całe sto tysięcy dwujęzycznych należy do narodowości polskiej, że żaden Niemiec nie wspominałby przy spisie o znajomości języka polskiego. Co więcej, w r. 1861 przy spisie pytano w niektórych okolicach oddzielnie o narodowość, oddzielnie o język i wtedy w pow. bydgoskim do narodowości polskiej przyznało się 22,281, zaś do używania języka polskiego tylko 20,781 osób. Wobec tego nie ma żadnej podstawy do przypuszczania, aby Polaków było mniej niż ludzi, mówiących po polsku i zapisujących tę mowę, choćby obok niemieckiej, na arkuszu spisowym.

Nie koniec na tem. W sześć miesięcy po powszechnym spisie ludności, w lipcu 1890 r., sporządzono urzędową statystykę narodowości dziatwy szkolnej. We wszystkich niemal powiatach wypadły dla Polaków liczby wyższe niż przy spisie ogólnym. Na okoliczność tę zwracają uwagę i Komornicki i Smarzewski (w „Kraju“). Pierwszy przypuszcza, iż pochodzi to właśnie wskutek uchybień przy spisie, który naliczył za mało Polaków. P. Smarzewski zaś uważa to raczej za wskazówkę, iż żywioł polski wrasta, mnoży się prędzej od niemieckiego; a może też dziatwa polska ma energiczniejszą świadomość swej polskości niż ojcowie.

Niestety może być i wypadek trzeci: wskutek niższej kultury i mniejszej zamożności więcej polskich dzieci umiera, a więc mniej ich dorasta.

Jakkolwiek jednak jest, nieulega wątpliwości żadnej, iż spisy podają liczbę Polaków zbyt małą. Stwierdzają to rozmaite względy i fakty. Są np. miasta, które mają stowarzyszenia polskie, biblioteki i t. d., a w spisie figuruje kilka zaledwie osób narodowości polskiej, lub nawet nie ma jej wcale!

Komornicki na podstawie statystyki szkolnej daje obliczenie następujące:

	w r. 1890 było Polaków	stanowili proc wśród ogółu ludności.
W. Ks. Poznańskie . . . . .	1098455	62,7
Prusy zachodnie . . . . .	526841	36,8
„ wschodnie . . . . .	377122	19,3
Szląsk . . . . .	1130603	27,0
Inne prow. pruskie	około 100000	0,5
Razem . . . . .	3233021	10,8

Polacy, jak widzimy, mieszkają w znaczniejszej liczbie w czterech prowincjach Królestwa Pruskiego. Każda z tych prowincji składa się z dwu rejencji (Szląsk tworzą trzy rejencje, ale w lignickiej niema wcale Polaków). W ośmiu tych rejencjach jest razem 148 powiatów. W 61 powiatach Polacy stanowią większość, w 34 tworzą mniejszość od 5—50 proc.

Żywiół polski w każdej z tych prowincji jest odmienny: inne są jego dzieje, inny charakter i znaczenie. **Prusy wschodnie** (rejencja królewiecka i gumbińska) składają się z dawnych Prus Książęcych, które pozostawały niegdyś do Rzeczypospolitej w stosunku lennym, i z Warmji; ta wprawdzie wchodziła w skład państwa pòlskiego przez lat kilkaset, ale leżała daleko od głównych ośrodków życia, nigdy też znaczenia nie miała. Niemniej przeto Warmja (przynajmniej część jej) różni się od reszty powiatów Prus wschodnich, zaludnionych przez Polaków, i wyznaniem (warmiacy są przeważnie katolicy) i poczuciem odrębności narodowej: warmiacy parokrotnie stawiali swego kandydata, i to raz z powodzeniem, do parlamentu; zwyczajnie wybierają tam przedstawiciela stronnictwa katolickiego, t. z. centrum, przyjaznego Polakom. Właściwie dawną Warmję tworzą cztery powiaty: brunsburski, świętogórski, olsztyński (Olsztynek) i reszelski. Ale Polacy przemieszkują tylko w dwu ostatnich, a poważniejszą liczbę mają jedynie w olsztyńskim, według spisu 1890 jest ich tam 533, a według statystyki szkolnej 625 na 1000 ludności. W pow. reszelskim liczą na 1000 ludności 153 Polaków.

W innych powiatach Prus zachodnich, gdzie Polaków

jest nieco więcej, stosunki przedstawiają się w sposób następujący:

Powiaty	Na 1000 ludności	Na 1000 dziatwy
	Polaków według spisu 1890 r.	Polaków
Jońsborski . . . . .	765, <sub>5</sub>	812, <sub>7</sub>
Szczytnieński . . . . .	756, <sub>8</sub>	859, <sub>0</sub>
Niborski . . . . .	741, <sub>7</sub>	814, <sub>5</sub>
Ełcki . . . . .	640, <sub>5</sub>	729, <sub>3</sub>
Sońsborski . . . . .	603, <sub>4</sub>	717, <sub>5</sub>
Ostrodzki . . . . .	524, <sub>3</sub>	528, <sub>9</sub>
Lecki . . . . .	479, <sub>3</sub>	630, <sub>7</sub>
Olecko-margrabowski.	457, <sub>6</sub>	530, <sub>7</sub>

Mamy ośm powiatów (z Olsztyńskim 9-ć), w Prusach Zachodnich z ogólnej liczby 36, w których t. z. *mazurzy pruscy* stanowią większość lub połowę ludności.

Pierwotną ludność tego kraju stanowili Prusacy, bliscy krewniacy Litwinów. Wyteplili ich Krzyżacy, ale sami nie zaludniali wiosek. Płynęli tedy osadnicy z Niemiec, płynęli z Polski. Ostatni sadowili się na pograniczu. Kolonizowanie Prus Książęcych przez Polaków datuje się według Komornickiego od XIII wieku. Pomimo, że tej części ziemi krzyżackiej nie włączono do Polski ani po Grünwaldzie, ani po wojnach Kazimierza Jagiellończyka, kolonizacja Prus Książęcych szła ciągle. Wielki Mistrz Albrecht zniósł zakon Krzyżacki i stał się księciem dziedzicznym jako lennik Polski w r. 1525. Wtedy Prusy były już przez pół spolszczone, w Królewcu nawet używano języka polskiego. Ruch polonizacyjny osłabiony został naprzód przez wprowadzenie protestantyzmu, a potem w części i przez zupełną niezależność polityczną Prus (1660 r.), będącą następstwem wojen Szwedzkich. W tych czasach Prusy były widownią strasznego zniszczenia: wojna, głód, zaraza grasowały tam kilkakrotnie bez litości. Pustkę zaludniają znowu przybysze z Polski. Dzisiejsi mazurzy pruscy są przede wszystkim potomkami owych kolonistów z wieku XVII i z początków XVIII. Przybysze z biegiem czasu przyjmują religję państwową — protestantyzm, nie mniej wpływ ich i odrębność są w kraju widoczne. W r. 1718 w Królewcu

wychodzi pierwsza tygodniowa gazeta polska „Poczta Królewiecka“; w uniwersytecie tamtejszym było wówczas stu kilkadziesiąt Polaków pochodzenia nie szlacheckiego.

Dzisiaj mazurzy pruscy zamieszkują pas nadgraniczny mniej więcej od wysokości Suwałk do Rypina. Komornicki pisze o nich: „do Polaków mową, pochodzeniem i obyczajami bezwarunkowo należą, różnią się od nich religją, i przeszłością — to też po dziś dzień nie przysparzają oni rzeczywistej siły narodowej, lecz są tylko nietkniętym dotychczas przez nikogo surowym materiałem na przyszłość“. Mazurzy wydali paru zasłużonych pracowników, przedewszystkiem Wojciecha Kętrzyńskiego, ale jeszcze nie było męża, który by skutecznie obudził świadomość słowiańską wśród nich, tak jak to się stało na Szląsku.

Dawniejsze liczby zdają się przekonywać, iż polskość na mazurach topnieje szybko. Od r. 1831 do 1867 we wszystkich niemal powiatach liczby procentowe Polaków zmniejszają się stale. Czy jednak jestto wyłącznie skutek germanizacji, czy też rolę jakąś grają machinacje przy spisie — trudno dociec.

Kombinując rezultaty spisu r. 1867 z dawniejszymi, Czyński wyrachował, iż w r. 1880 mazurów mogło być 300 tys. w stosunku zaś do ogółu mieszkańców prowincji 15,3 proc.

Ostatni spis wykazał mazurów 327,6 tysięcy t. j. 16,7 proc. Komornicki podaje ich 377 tys. (19,3 proc.), ale powiada, że i ta liczba też jest zamała, a że śmiało wziąć należy 400 tysięcy, to jest jakieś 20,3 proc. ogółu ludności.

**Szląsk** pruski składa się z trzech rejencji: opolskiej, wrocławskiej, lignickiej. Pierwsza (Szląsk górny) jest niemal całkowicie polska, druga posiada tylko na wschodzie nieco Polaków, w lignickiej nie ma Polaków wcale.

O doli historycznej Szląska mówiliśmy wyżej. Kto by chciał dowiedzieć się szczegółów o dzielności, zamożności i obyczajach Szlązaków pruskich, tego odsyłamy znowu do pracy prof. Malinowskiego: „Zarysy życia ludowego na Szląsku“.

Rejencja opolska składa się z 19-u powiatów, z tych 12 ma większość polską.

	na 1000 mieszkań- ców	wśród 1000 działwy szkolnej
	było Polaków w roku 1890	
pszczyński . . .	882, <sub>8</sub>	928, <sub>6</sub>
oleśniański . . .	863, <sub>8</sub>	903, <sub>1</sub>
rybnicki . . .	843, <sub>6</sub>	906, <sub>5</sub>
lubliniecki . . .	841, <sub>0</sub>	907, <sub>5</sub>
strzeliski . . .	824, <sub>8</sub>	838, <sub>2</sub>
koźliński . . .	819, <sub>5</sub>	
tarnowicki . . .	771, <sub>4</sub>	
bytomski . . .	749, <sub>7</sub>	
zabrzecki . . .	748, <sub>3</sub>	
opolski . . .	701, <sub>0</sub>	
katowicki . . .	697, <sub>9</sub>	
kluczborski . . .	687, <sub>6</sub>	
gliwicki . . .	678, <sub>7</sub>	

nie mamy liczb

Jeśli się zważy, iż to są powiaty prowincji, odciętej od reszty narodu przed setkami lat i germanizowanej, to przyznać trzeba, iż są one imponujące, i nawet, powiedzieć można, nieoczekiwane.

Mniejszą liczbę Polaków znajdujemy w powiatach:

	na 1000 mieszkań- ców	na 1000 działwy szkolnej
	w r. 1900 było Polaków	
bytowskim (miasto)	478, <sub>0</sub>	nie mamy liczb
prudnickim . . .	478, <sub>0</sub>	479, <sub>5</sub>
raciborskim . . .	452, <sub>4</sub>	476, <sub>4</sub>
niemodlińskim . . .	96, <sub>8</sub>	96, <sub>2</sub>
głubczyckim. . .	57, <sub>5</sub>	79, <sub>9</sub>

W pow. nisańskim i grotkowskim Polaków nie ma prawie wcale.

W rejencji wrocławskiej nieco większą ilość Polaków znajdujemy w powiatach: sycowskim (452,<sub>7</sub> na tysiąc), namysłowskim (376,<sub>0</sub> na tysiąc) oraz w brzeskim (67,<sub>4</sub> na tysiąc).

Rozkład ludności widać doskonale na mapie Malinowskiego (w zeszłym numerze).

Wyjmujemy tu kilka szczegółów ciekawych o stosunkach na Szląsku z dzieła Komornickiego:

„Ludność górnoszląska jest przeważnie katolickiego wyznania, prócz dwudziestu kilku tysięcy Polaków ewangelików, żyjących w północnych powiatach nad granicą Księstwa i Kr. Polskiego, a mianowicie w pow. kluczborskim i sycowskim, mniej już w namysłowskim i oleśniańskim“.

„Wsi polskich lub przeważnie polskich jest na górnym Szląsku około 1300, z tego 1.160 w rej. opolskiej, z ogólnej sumy 1.586; a do 140 w rej. wrocławskiej“.

„Miasta górnoszląskie bynajmniej nie są wyłącznie niemieckie. Wprawdzie urzędowa statystyka podaje proc. ludności polskiej po miastach w rej. opolskiej na 24, w rzeczywistości jednak jest on znacznie wyższy. Miasta w powiatach: rybnickim, lublinieckim, oleśniańskim urzędowa statystyka z r. 1861 wykazuje jako posiadające powyżej 50% Polaków. Najbardziej polskimi miastami na Szląsku byłyby: Baborów 94·3% Polaków, Hulczyn 79%, Leśnica 75%, Gorzów (Gorzewo) 64·2%, Pszczyna 63·9%, Ujazd 63%, Gliwice 57·2%, Mysłówice 56·3%, Dobrodzień 56·1%, Olesno 55·9%, Pyskowiec 55·1%, Włodzisław 53·4%, Sośnowice 51·9%, a Rybnik już tylko 51·4%, Żary 50·7%. Stołeczne miasto górnego Szląska, Opole, na podstawie urzędowej statystyki posiadałoby tylko 6·1% Polaków w r. 1861“.

„Dwustutysięczna ludność niemiecka, jaką napotykamy na polskim terytorjum górnoszląskim, odnosi się tylko do miast, zakładów górniczych i większych posiadłości. Osadnictwa wiejskiego spotykamy tu bardzo mało; zaledwie parę kolonji, jak Gnadenfeld (Pawłowizna) w koźlińskim, dawna osada braci morawskich. Trzy kolonje niemieckie, założone przez Fryderyka II, znajdują się: jedna pod Opolem, Gräfenort, po polsku zwana Grewnołt; druga pod Gliwicami, Schönwald (Szywold) i trzecia pod Kluczborkiem“.

**Prusy Zachodnie**, dawniej Królewskie, pierwotnie zamieszkane były przez szczepy słowiańskie, Polakom bardzo pokre-

wne. Później jednak przysła z Krzyżakami germanizacja; gdy zaś Prusy Królewskie dostały się Polsce w r. 1466 (traktat toruński), rozpoczyna się znowu proces polszczenia, który się udaje prędko i dobrze, bez żadnych środków przymusowych.

„Z chwilą dostania się Prus pod panowanie Polski—pisze Komornicki—połowa ludności była niemiecką; oprócz miast, szczególnie w południowo-wschodniej stronie, przypierających do Prus książęcych, jak niemniej i na Pomorzu gdańskim i Żuławach, obie narodowości były ze sobą zmieszane. Tylko południowe chełmińskie i toruńskie okręgi były przeważnie polskimi. Językiem jednak panującym był język niemiecki. W handlu i przemyśle w mieszczańskiej klasie i szlacheckiej był dotąd głównie w użyciu, a nawet jako urzędowy przez długie jeszcze lata utrzymać się potrafił. Do sądów dopiero w r. 1579 został i polski przypuszczony i na równi z niemieckim uprawniony. Czynności sejmowe, przemowy królów, hołdy, jakie stąd odbierali, i patenty, jakie tej ziemi nadawali, były zrazu wyłącznie sporządzone po niemiecku lub łacinie. Pierwszy sejm, na którym niektórzy z posłów pruskich posługiwali się już polską mową, był sejm elbląski z r. 1527. Sejm zaś z roku 1561 zrównał oba języki, a z r. 1591 zaprowadził polski. Ostatni raz, gdy w r. 1587 przemówił komisarz Zygmunta III do zebranych posłów po niemiecku, już na to biskup chełmiński odpowiedział mu po polsku „gdyż—jak się wyraził—większa część posłów nie zna niemieckiego języka.“

Pomimo tryumfów polonizacji w wiekach XV i XVI napór germański nie ustawał i kiedy na Rzeczpospolitą przysły dni słabości i nierozumu, napowrót zdobywał utracone ziemie i przewagę. Już w wieku XVII i to na samym początku otwieramy sami wrota przed przybyszami cudzoziemskimi, ba, zapraszamy ich i wabimy. „Wiek XVIII—pisze Komornicki—gotował coraz to nowe ubytki; szczególnie w Prusach Królewskich odrastał żywioł niemiecki pod wpływem reformacji z dawnych krzyżackich korzeni“.

To też, gdy po pierwszym rozbiorze ziemia ta dostaje się Prusom, państwo Fryderyków zastało tam już robotę germanizacyjną posuniętą znacznie. Komornicki twierdzi,



iz już wtedy było w Prusach Zachodnich zapewne jakieś 20 proc. Niemców lub może nawet więcej. Z obliczeń Nadmorskiego wypada, iż stosunek był nawet gorszy, bo Niemcy



stanowili przeszło trzecią część, jakieś 36—37 proc. Główne wyspy niemieckie, jakie widzimy na mapie wśród ludności polskiej, pochodzą z czasów panowania polskiego — powstały przy udziale Polaków!

Po przyłączeniu ziem tych do państwa Fryderykowego w r. 1772, władze pruskie od samego początku rozwinęły nadzwyczajną działalność germanizacyjną, i zrobiły wszystko, na co tylko wyobraźnia ludzka zdobyć się może.

Znawcy stosunków twierdzą, że kiedy germanizacja Poznańskiego szła wyłącznie przez napływ Niemców z zewnątrz, w Prusach Polacy przeistaczali się na Niemców. W chwili rozbiorów wszyscy niemal Katolicy byli Polakami, dziś w Prusach jest 238 tysięcy (Komornicki zmniejsza ją do 186 tys.) katolików Niemców. Nadmorski uważa ich za zniemczonych Polaków.

Dziś, według najkorzystniejszego obliczenia, Polaków jest 37,4 proc., czyli Niemcy tworzą blisko  $\frac{2}{3}$  ogółu mieszkańców.

Pomimo całej prawdy tych wywodów dla stuletniego okresu, liczby ostatnie zdają się wskazywać, iż proces germanizacyjny ustał, lub się zmniejszył. Nadmorski wprawdzie powiada, iż cyfry spisów nie mogą dowodzić nic, jednak niepodobna nie zastanowić się nad niemi. Przez cały szereg lat, poczynając od r. 1852, Polaków na tysiąc ludności było około 313, w roku 1890 spis urzędowy znalazł ich tam, jak widzieliśmy, 344-ch. Różnica znaczna i bardzo pomyślna. Mniejsza, czy zaszła ona wskutek szybszego przyrostu, słabszej emigracji, czy też wskutek rozbudzonej oporności i świadomości—rezultat jest ten sam.

Według obliczenia Nadmorskiego (a to jest najpewniejsze), ludność polska w Prusach Zachodnich wynosiła 525,813 głów, co stanowi 37,34 proc.

Wszystkich powiatów w Prusach Zachodnich jest 27-em.

W następujących powiatach Polacy posiadają większość:

	według spisu 1890 r. na 1000 ludności	według Nadmorskiego Polaków:
lubawski . . . . .	787	815
starogardzki . . . . .	732	763
pucki . . . . .	677	729
kartuski . . . . .	664	697
brodnicki . . . . .	648	693
tucholski . . . . .	629	726

wąbrzeski . . . . .	571	594
wejerowski . . . . .	546	600
kościerski . . . . .	532	546
chojnicki . . . . .	521	543
chełmski . . . . .	514	537
świecki . . . . .	517	538

Prócz tego w 8-iu (według Nadm. w 9-ciu) powiatach Polacy stanowią mniejszość od 10—40 proc., w pozostałych siedmiu liczba Polaków waha się od 0,<sub>1</sub>—7,<sub>6</sub> proc.

Widzimy więc, że tu żywioł polski bardziej jest rozcieńczony przez niemieczyznę niż na Szląsku.

Ludność Prus Zachodnich nie jest jednolita. Dawniej całe pobrzeże Bałtyku zaludniali Pomorzanie, obecnie z nich pozostały zanikające szczątki w sumie może 5 tysięcy w pow. lęborskim i bytowskim sąsiadującej z Prusami Zachodnimi prowincji pomorskiej\*), nazywają ich Kabatkami. Najbliższymi krewnymi Kabatków są Kaszubi (pow. pucki, wejerowski, kartuski, kościerski, dolny gdański, część tczewskiego, część starogardzkiego). Mówią oni narzeczem własnym, ale do czystej polszczyzny bardzo zbliżonem. Na tej podstawie Niemcy usiłują stworzyć odrębną narodowość kaszubską. To jednak nie udaje się, gdyż Kaszubi mają żywe poczucie swej przynależności do plemienia polskiego.

„Przy wyborach do parlamentu, oba okręgi kaszubskie: pucko - wejerowsko - kartuski i tczewsko - kościersko - starogardzki są wraz z okręgiem lubawskim najpewniejszymi okręgami wyborczymi dla Polaków w Prusach Zachodnich, gdyż liczba głosów, oddawanych na Polaka, dochodzi tu do 70 proc.“

Ogólna cyfra Kaszubów w kraju wynosi jakieś 150 tysięcy; p. Stefan Ramułt, który specjalne studia poświęcił Kaszubom, liczy ich (z Ameryką) blisko ćwierć miliona.

Szlachty polskiej wśród Kaszubów mało.

Miasta kaszubskie, jak Puck, Wejerowo, Copoty, Gdańsk, na Pomorzu Bytów, Lębork i Słupsk, prawie zupeł-

\*) Pomorze dostało się elektorowi brandenburskiemu w r. 1634, po śmierci ostatniego księcia pomorskiego Bolesława XIV.

nemu uległy niemieckiemu; jedynie Kościerzyna (do 2000 Polaków), mniej już Skarszewy, zachowały dosyć jeszcze cech kaszubskich.

Obok Kaszubów wyróżnić należy *Kosiewiaków*, którzy mieszkają w pow. tczewskim, starogardzkim, kwidzyńskim w liczbie 75—80 tysięcy.

Szlachty polskiej prawie nie napotykamy już pośród nich, prócz paru większych właścicieli. Natomiast kilkanaście wsi zamieszkują „gbury“, ludność pochodząca z dawnych dzierżawców dóbr kościelnych. Są to majątniejsi średni posiadacze gruntów, których gospodarstwa dochodzą częstokroć do 100 morgów.

Ruch umysłowy i poczucie świadomości narodowej podnosi się między Kosiewiakami coraz bardziej, a ogniskiem tego życia jest Pelplin, stolica ich i siedziba biskupa chełmińskiego. Pisma, tutaj wychodzące, jak „Przyjaciół ludu“, „Gospodarz“, „Pielgrzym“ pelpliński, nie mało się przyczyniły do rozbudzenia życia narodowego w tych i w dalszych stronach Prus zachodnich. Miasta kosiewiackie, Skurcz, Nowe, mniej już Starogard (do 3000 Polaków), są przeważnie niemieckie.

Najważniejszą dzielnicą polską w państwie pruskiem jest naturalnie **W. Ks. Poznańskie**, czyli **Wielkopolska**. Do tej ziemi są przywiązane najdawniejsze podania narodowe, nadgoplańskie. Tu się stworzył pierwszy związek państwa.

Wielkopolska dostała się Prusom przy drugim rozbiore, odpadła od nich w r. 1806 i wróciła znowu w 1815 roku.

Zarówno jak w Prusach zachodnich tak i w Poznańskim kolonizacja niemiecka, a więc germanizowanie kraju rozpoczyna się bardzo dawno, za polskiego państwa, w końcu wieku XVI, a może i wcześniej. Cały pograniczny pas w południowo zachodniej stronie, dzisiejsze powiaty: leszniański, wschowski, międzyrzecki, międzychocki uległy germanizacji przez Niemców ze Szląska i Brandeburgji już w wieku XVII-ym. Moźne rody wielkopolskie usilnie wspierały kolonizację, która też dotarła do dzisiejszych powiatów dalszych, wewnętrznych: obornickiego, tomyńskiego, nawet grodziskiego i t. d.

Komornicki utrzymuje, że w chwili pierwszego przyłączenia Poznania do Prus liczono tam Niemców niespełna 20 proc., ponieważ dzisiaj jest już ich 40, więc siła żywiołu się zdwoiła. W Wielkopolsce świadomość narodowa jest wielka, żywa, więc też germanizacja dokonywa się przez wciśkanie Niemców—przybyszów. Operacja ta odbywa się przez całe sto lat z wielką zawziętością.

W. Ks. Poznańskie składa się z dwu rejencji: poznańskiej i bydgoskiej. Druga jest o wiele bardziej zgermanizowana, liczy ona mało co więcej niż połowę Polaków, kiedy w rejencji poznańskiej Polacy stanowią jeszcze 66—69 proc.

O posuwaniu się procesu germanizacyjnego wnioskować możemy z tabliczki następującej.

Procent Polaków na zasadzie spisów urzędowych:

w latach	w rej. poznańskiej	w rej. bydgoskiej
1831	62 <sub>,8</sub>	48 <sub>,5</sub>
1846	62 <sub>,0</sub>	50 <sub>,9</sub>
1852	60 <sub>,8</sub>	50 <sub>,4</sub>
1858	59 <sub>,1</sub>	50 <sub>,0</sub>
1861	58 <sub>,9</sub>	46 <sub>,6</sub>
<b>1890</b>	<b>65<sub>,98</sub></b>	<b>50<sub>,10</sub></b>

Widzimy więc toż samo zjawisko, któreśmy zaznaczyli w Prusach Zachodnich: żywioł polski cofa się liczebnie stale aż do 1861 roku. Kiedy to cofanie się ustaje, wiedzieć nie można, bo spisów nie ma, aż do r. 1890, kiedy znajdujemy liczby wyraźnie dla nas pomyślniejsze.

Co więcej — jeśli wierzyć można wiadomościom i dowodzeniom dziennikarskim, w Wielkopolsce wprost odwrotnie niż w Prusach Zachodnich, żywioł polski wzrasta w miastach. Mamy tylko liczby dla Poznania i te zdają się stwierdzać to pożądanе zjawisko.

Liczył on proc. Polaków:

w latach 1831 . . . . .	29 <sub>,8</sub>
„ 1846 . . . . .	35 <sub>,1</sub>
„ 1852 . . . . .	31 <sub>,6</sub>
„ 1858 . . . . .	40 <sub>,4</sub>
„ 1861 . . . . .	32 <sub>,3</sub>
„ <b>1890 . . . . .</b>	<b>50<sub>,3</sub></b>

Według zaś statystyki szkolnej wypada, że wśród dziatwy szkolnej Polaków jest 67,53 proc. Postęp jest bardzo wyraźny.

W obu rejencjach W. Księstwa jest powiatów 34, z tego Polacy stanowią większość w 29 powiatach (21 w rej. poznańskiej i 8 w bydgoskiej).

	Na 1000 ludności	Na 1000 dziatwy szkolnej
	było w 1890 r. Polaków	
odolanowski . . . . .	928,9	952,7
kościański . . . . .	886,6	915,3
ostrzeszowski . . . . .	885,6	918,3
poznański zachodni . . . . .	872,1	883,6
gostyński . . . . .	858,7	886,6
wrzesieński . . . . .	856,3	883,9
jarociński . . . . .	854,4	
kempninski . . . . .	848,7	
witkowski . . . . .	835,5	
pleszewski . . . . .	833,4	
średzki . . . . .	832,0	
żniński . . . . .	824,7	
koźminski . . . . .	822,4	
śmigieński . . . . .	803,6	
śremski . . . . .	796,5	
grodziski . . . . .	793,3	
ostrowski . . . . .	893,0	
strzelnieński . . . . .	789,1	
wągrowiecki . . . . .	775,9	
mogielnieński . . . . .	741,7	
szamotulski . . . . .	713,1	
gnieźnieński . . . . .	670,3	
poznański wschodni . . . . .	643,9	
krotoszyński . . . . .	624,3	
inowrocławski . . . . .	616,1	
obornicki . . . . .	580,6	
szubinski . . . . .	543,2	
rawicki . . . . .	511,8	
Poznań (miasto) . . . . .	503,0	

n i e m a m y l i c z b.

Mniej niż 25% Polaków znajdujemy w powiatach: międzyrzeckim (192,<sub>3</sub> na tysiąc), chodzieskim (173,<sub>2</sub>), w mieście Bydgoszczy (40,<sub>8</sub>) i w p. skwierzyńskim (153,<sub>2</sub> Polaków na 1000 ludności).

Zwrócimy jeszcze uwagę na ludność żydowską w W. Ks. Poznańskim.

W roku 1772 liczyła ona 35000 głów, co stanowiło 7,<sub>3</sub> proc. ogółu ludności. Liczba ta rośnie do r. 1846 i dochodzi do 81249, ale już stanowi tylko 5,<sub>9</sub> proc. Od tej daty widzimy bezustanne zmniejszanie się; dochodzi do tego, że spis w r. 1890 znalazł już tylko 44,346 osób wyzn. mojżeszowego, tworzących zaledwie 2,<sub>5</sub> proc.

Zjawisko to pochodzi stąd, że żydzi wyjeżdżają do Berlina i do innych wielkich miast handlowych.

Jeżeli przyjmiemy liczby Komornickiego, które są niewątpliwie bliższe prawdy niż spisowe, to licząc  $\frac{1}{2}$  proc. rocznego przyrostu wypadnie nam, iż w roku przyszłym liczba Polaków w cesarstwie niemieckim wyniesie **3400000** głów.

### Rosja.

Tu, wskutek odmiennej natury źródeł, musi być też odmienny rachunek.

Bezpośrednich cyfr z żadnego roku niema, wszystkie obrachunki zawsze opierają się na przypuszczeniach, kombinacjach — wszystkie więc były niepewne, zawodne. Widzimy to jasno z różnic, jakie zachodzą w liczbach różnych statystyków — liczby te nieraz odskakują od siebie o miliony.

Obrachunek nasz również wyprowadzić musimy z danych bardzo wątpliwych, bo pośrednich, sądzymy jednak, iż będzie on bliższy prawdy od innych obliczeń.

Dla **Królestwa Polskiego** mamy urzędową statystykę ludności za r. 1892, warszawskiego Komitetu Statystycznego. Jest tam podział mieszkańców na wyznania na zasadzie ksiąg ludności. Nieraz zaś już wykazano, że księgi ludności nie

są źródłem pewnym; powtóre przy wnioskowaniu z wyznania o narodowości można się bardzo pomylić.

Liczbę ogólną ludności mamy pewną, bo ze spisu jednolitego w 1897 roku. Chodzi więc o wyznaczenie procentu ludności polskiej wśród ogółu.

Komitet Statystyczny całą ludność Królestwa w r. 1892 obrachował na 8,808,969 głów. W tem było:

prawosławnych . . . . .	441846 *)	czyli	5,02	proc.
katolików . . . . .	6653694	"	75,53	"
luteran . . . . .	470139	"	5,34	"
kalwinów . . . . .	10386	"	0,12	"
żydów . . . . .	1224652	"	13,90	"

Do narodowości polskiej zaliczyć należy przedewszystkiem katolików, odtrąciwszy tylko ludność litewską powiatów: Władysławowskiego, Marjampolskiego, Kalwaryjskiego, Sejneńskiego, Wyłkowyskiego gub. Suwalskiej.

Cała wiejska ludność katolicka 6-ciu tych powiatów wynosiła 332,415 głów, co ustanowi 3,77 procent całej ludności Królestwa. Tym sposobem ludność katolicko-polska redukowałaby się do 72 proc. Rzecz jednak prosta, iż w owych okolicach mieszka również sporo Polaków przy dworach i nawet po wsiach.

Do narodowości polskiej należą też wszyscy niemal kalwini i naturalnie pewien procent (może znaczny) wyznań innych—obliczyć tego jednak dla braku źródeł niepodobna.

W Galicji widzieliśmy, że z 772 tysięcy żydów 500 tysięcy podało się za Polaków.

Czyński przyjął, iż Polacy w Królestwie tworzą 73,4 proc. Jestto liczba stanowczo za mała, nawet o wiele za mała. Uważa on za Polaków tylko 30 tys. ewangelików (wraz z kalwinistami) i tylko zaledwie 8 tys. żydów!

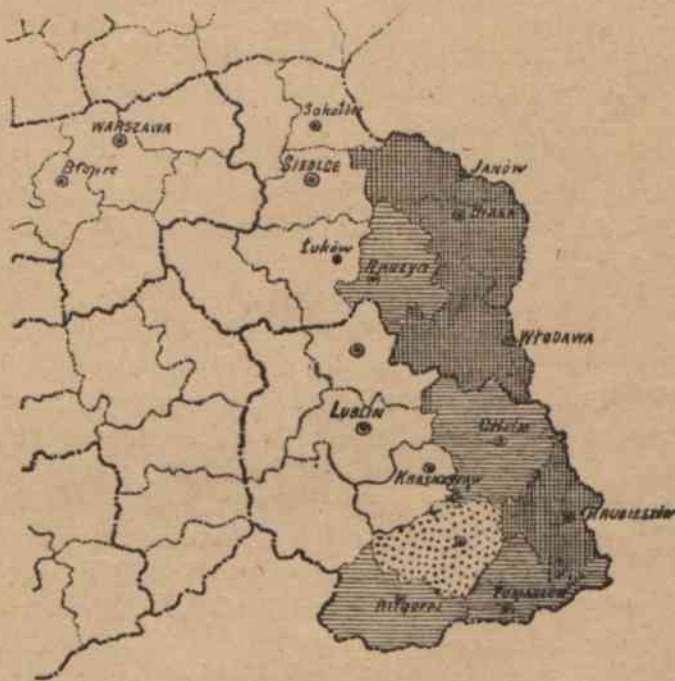
Zbliżywszy się z pewnością ku prawdzie, jeżeli uznamy, że Polacy tworzą w Królestwie  $\frac{3}{4}$  ogółu, czyli 75 proc. Nieulega wątpliwości, iż rezultaty spisu jednolitego liczby tej

\*) Z tej liczby na gub. Siedlecką i Lubelską dawni Unicy 379,622 głów.



nie obniżą, lecz przeciwnie podniosą może nawet o kilka procent.

Ponieważ ludność Królestwa Polskiego wynosiła w początku 1897 roku 9455943 głów, więc wtedy było Polaków (biorąc 75 proc.). 7,091,958 głów. Doliczywszy do tego przyrost w stosunku 1% za lat 4, otrzymamy na początek roku



Mapa etnograficzna wschodnich powiatów gubernji Siedleckiej i Lubelskiej na podstawie statystyki urzędowej.

przyszłego przeszło **7,300,000** Polaków w Królestwie Polskiem.

W pojedynczych częściach kraju stosunki w r. 1892 były (według statystyki rządowej) następujące:

na tysiąc mieszkańców przypadało katolików:

w gub. Kieleckiej . . . . .	876 <sub>10</sub>
" Radomskiej . . . . .	842 <sub>17</sub>
" Kaliskiej . . . . .	821 <sub>14</sub>
" Łomżyńskiej . . . . .	818 <sub>11</sub>
" Płockiej . . . . .	810 <sub>10</sub>

w gub. Suwalskiej . . . . .	763, <sup>0</sup>
„    Warszawskiej . . . . .	747, <sup>1</sup>
„    Piotrkowskiej . . . . .	730, <sup>1</sup>
„    Lubelskiej . . . . .	630, <sup>8</sup>
„    Siedleckiej . . . . .	545, <sup>4</sup>

Oddzielić katolików Polaków od Litwinów w gub. Suwalskiej nie mamy, na podstawie statystyki, żadnej możliwości.

Stosunki wyznaniowe w gub. Siedleckiej i Lubelskiej przedstawiamy na załączonej mapce (na zasadzie liczb urzędowych Komitetu Statystycznego).

W powiatach zakratkowanych ludność prawosławna (dawna Unicka) stanowi większość, są to powiaty: biański (60,<sup>98</sup> proc.), włodawski (58,<sup>48</sup> proc.) i konstantynowski (51,<sup>20</sup> proc.) gub. siedleckiej, oraz powiat hrubieszowski (57,<sup>58</sup> proc.) gub. lubelskiej. Powiaty zakreskowane mają 25—50 proc. prawosławnych; w gub. siedleckiej: powiat radzyński (35,<sup>37</sup> proc.), gub. lubelskiej: tomaszowski (45,<sup>19</sup> proc.), chełmski (39,<sup>52</sup> proc.), biłgorajski (30,<sup>94</sup> proc.). Powiat zamojski (zakropkowany) liczy prawosławnych 18,<sup>61</sup> proc., krasnostawski 9,<sup>60</sup> proc., sokołowski 8,<sup>92</sup> proc. W innych powiatach są liczby nieznaczące.

**W kraju Zachodnim** rachunek jest jeszcze trudniejszy.

Wobec braku innych danych wziąć musimy cyfry Czyńskiego, który je wyprowadził ze starych źródeł rosyjskich i z rubrycelli kościelnych, gdzie są obliczani katolicy.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę, iż w gub. grodzieńskiej dwa powiaty posiadają większość mieszkańców narodowości polskiej: sokolski (75,<sup>5</sup> proc.) i białostocki (65,<sup>3</sup> proc.); w dwu innych powiatach w bielskim i wołkowyskim Polacy tworzą przeszło 37 procent. W m. Grodzień znajduje się 33 proc., a w pow. grodzieńskim 23,<sup>3</sup> Polaków. Części tych powiatów należą jeszcze do etnograficznego obszaru polskiego.

W punktach innych Polacy znajdują się w mniejszości, chociaż tu i owdzie Czyński podaje liczby spore: w powiecie proskurowskim (gub. Podol.) Polacy stanowią blisko 26 proc., w m. Wilnie 44 proc., w gub. wileńskiej w powiecie wilejskim 40,<sup>6</sup> proc., dziśnieńskim 37,<sup>3</sup> proc., lidzkim 31,<sup>0</sup> proc., oszmiańskim

25,4 proc.; w m. Mińsku 40 proc., w pow. mińskim i słuckim (gub. mińskiej) blisko po 21 proc., w powiecie dryseńskim (gub. witebskiej) 37,3 proc.

P. Fr. Olszewski, wzięwszy liczby procentowe Czyńskiego, a ogólną ludność gubernji ze spisu jednodniowego, ułożył tabelkę następującą

	ogółem	Polaków	% Polaków
gub. Podolska . . . . .	3031040	304619	10·05
„ Wołyńska . . . . .	2999346	316230	10·61
„ Kijowska . . . . .	3564433	126537	3·55
„ Wileńska . . . . .	1591912	375691	23·6
„ Grodzieńska . . . . .	1615815	471817	29·2
„ Mińska . . . . .	2156343	288949	13·4
„ Mohylowska . . . . .	1707613	76359	4·46
„ Witebska . . . . .	1502895	100840	6·71
„ Kowieńska . . . . .	1549972	49754	3·21
	19719369	<b>2100796</b>	10·6

Doliczywszy do tego przyrost (1%) za lat cztery, będziemy mieli ogółem Polaków w 9 gub. Zachodnich około **2200000** głów.

Obliczenia p. Lud. Grendyszyńskiego, oparte również na rubrycellach, ale znacznie późniejszych (1895 r.), prowadzą do tej samej mniej więcej liczby ogólnej. Ciekawe są one z tego względu, że je autor zestawia z cyframi statystyki poborowej — wypadają różnice tak małe, iż oba źródła uważać można za zasługujące na niejaką wiarę.

	podług rubrycell 1895 r.	Katolików:	
		podług staty- styki pobo- rowej 1874-83	1884-87
gub. Wołyńska . . . . .	259477	10,53	8,95
„ Podolska . . . . .	259277	9,79	7,90
„ Kijowska . . . . .	102667	3,20	2,31
<b>Razem gub. Połudn.-Zach.</b> . . . . .	<b>621421</b>	<b>7,42</b>	<b>6,19</b>
gub. Kurlandzka . . . . .	67508	9,63	10,18
„ Kowieńska . . . . .	1220000	76,03	78,89
<b>Razem dyeceza Żmudzka</b> . . . . .	<b>1287508</b>	<b>55,84</b>	<b>56,00</b>

clas. 2922/1900/2

gub. Grodzieńska. . . . .	368758	24 <sub>,06</sub>	28 <sub>,75</sub>	24 <sub>,40</sub>
„ Wileńska . . . . .	833255	60 <sub>,00</sub>	66 <sub>,02</sub>	78 <sub>,89</sub>
<b>Razem dyecezia Wileńska . . .</b>	<b>1202013</b>	<b>41<sub>,09</sub></b>		<b>42<sub>,89</sub></b>
gub. Mińska . . . . .	205273	11 <sub>,08</sub>	11 <sub>,99</sub>	10 <sub>,55</sub>
„ Witebska . . . . .	351074	25 <sub>,65</sub>	28 <sub>,71</sub>	29 <sub>,16</sub>
„ Mohyłowska . . . . .	48635	3 <sub>,43</sub>	2 <sub>,72</sub>	2 <sub>,01</sub>
<b>Razem gub. północno-zach. . .</b>	<b>604982</b>	<b>13<sub>,04</sub></b>		<b>13<sub>,21</sub></b>

W pracy p. Grendyszyńskiego znajdujemy jeszcze obliczenie katolików w pozostałych częściach państwa rosyjskiego:

miasto Petersburg . . . . .	36,550
gub. Petersburska . . . . .	6,051
miasto Moskwa . . . . .	14,112
reszta Arch. Mohyłowskiej . .	30,868
miasta Metropolitalne. . . .	70,000
dyecezia Tyraspolska. . . . .	261,975
po za parafjami i w wojsku .	181,886
ormianie katolicy . . . . .	28,940

Razem. . . 630,389

Ponieważ w ogólnej liczbie katolików w państwie Rosyjskiem Polacy stanowią przeszło  $\frac{3}{4}$ , a są żywiołem ruchliwszym, łatwiej emigrują niż Litwini, więc z liczby 630 tys. katolików należało by za Polaków wziąć 450—500 tysięcy. Myśmy wzięli 300 tys. i przy tej liczbie zostajemy, aby mieć pewność uniknięcia pomyłki.

Wypada więc liczba Polaków na początek wieku 20-go:

w Królestwie Polskiem. . . . .	7300000
w Kraju Zachodnim. . . . .	2200000
w reszcie państwa . . . . .	300000

Razem w całym państwie Rosyjskiem **9800000** do dziesięciu milionów głów.

## Obszar etnograficzny. I

Obszarem etnograficznym nazywamy przestrzeń, na której dana narodowość tworzy więcej niż 50 proc. ogółu mieszkańców.

Wykreślenie i obliczenie tego obszaru dla ludności polskiej nie było dotychczas (o ile wiemy) dokonane. Spróbujemy tutaj to zrobić.

Mapy etnograficznej, opartej na poważnych, nowych źródłach, ułożonej przez znawcę rzeczy, niema. Jediną pracą, zasługującą na baczniejszą uwagę, jest karta słowiańszczyzny, dokonana przez wielkiego uczonego czeskiego Szafarzyka p. t.: „Slowansky Zeměvid“, Praga 1842 rok.

Ciekawa ta mapa jest dziś wielką rzadkością. Podajemy kopję tej jej części, która nas tu obchodzi. Naturalnie, dzieło Szafarzyka nie może być dokładne, bo choć się granice przesunęły od tego czasu bardzo niewiele, ale danych wtedy było mniej jeszcze niż teraz. Niemniej przeto mapa Szafarzyka bliską jest prawdy i wymaga sprostowań niewielkich <sup>1)</sup>.

Taką samą mniej więcej jak Szafarzyk linię graniczną wytknęła Encyklopedia Orgelbranda (mniejsza, tom IX str. 262). Czytamy tam: „obecne granice języka polskiego oznacza się linią, wychodzącą powyżej Grodna przy ujściu Czarnej Hańczy do Niemna, i idącą ku północo - zachodowi przez Sejny do Przerośla, gdzie wchodzi do Prus; stąd ciągnie się dalej w kierunku zachodnim poniżej m. Goldapu, przez Szabinę aż do jeziora pod Nordenburkiem. Odtąd przybiera kierunek południowo-wschodni i przechodzi około jeziora Nebolskiego pod Biskupice nad rz. Dinnarę, zakręca się ku północy pod Seeburg, ciągnie się w kierunku jeziora Jeziorka, dalej ku rzece Drwęcy aż do ujścia Wely pod Nowem miastem, następnie około Biskupie idzie ku Wiśle o dwie mile poniżej Kwidzywa. Stąd ciągnie się ku południowi wscho-

<sup>1)</sup> Szafarzyk liczył w r. 1842 Polaków 9365000 głów.

dnim brzegiem Wisły przez Grudziąż, Chełmno, Toruń, przeszedłszy Wisłę, bieży ku północy przez Dąbrówkę i Ostrowo, mimo Bydgoszczy, zbliża się ku Wiśle i około Swieca, Nowego, Gniewa bieży zachodnim jej brzegiem aż pod Tczew, określa na zachód Gdańsk i dochodzi pod Sopotem do morza, stąd ciągnie się ku północy brzegiem morskim, dalej na zachód aż do jeziora Gardieńskiego, skąd przyjmuje kierunek południowy a później wschodni i przez Koźmierz, Stojencin i Janowice dochodzi do Lawenburku nad Elbą; dalej zakręca się na północ do Goldentowa, gdzie przyjmuje kierunek południowy, lub południowo-zachodni i przechodzi około jeziora Lupowskiego, Bytoma, Kremersbruchu, rz. Brdy, Tucholu, Złotowa (Flatowa), Wysokiego, aż do ujścia Kudowy do Noteci, dalej Notecią aż do ujścia do niej Drawy, stąd w kierunku południowo-wschodnim dochodzi do Warty pod Międzychodem i przechodzi około Babimostu, Keblewa, Wschowy, gdzie się przybliża do Odry, Zaborowa, Bojanowa, Rawicza, Międzyborza, Reichthalu, Gorzowa. Odtąd skręca się na zachód, przechodzi Odrę przy ujściu Brenicy, pomiędzy Brzegiem i Opolem, idzie około Niemodlina i Styniawy za Prądnik i Białę, gdzie zbliża się do granic austriackich; stąd począwszy od m. Sulic ciągnie się granicą języka czeskiego aż do granicy ziem węgierskich pod górą Sułową, około wsi Beskydu i Podwysokiej. Odtąd idzie w kierunku wschodnim po granicy Galicji aż do Spytkowic pod Jordanowem, gdzie przechodzi do Węgier i obejmuje kilka wsi komitetu orawskiego; następnie przez górę Chotar zwaną zwraca się ku Galicji i idzie jej granicami aż do Piwnicznej nad Popradem, skąd ciągnie się granicą narzecza małosyjskiego, początkowo w kierunku wschodnim przez Biecz, Jasło, Duklę, Krosno, Brzozów, skąd zakręca się ku północy i około Grodziska, przez Leżajsk pod Momotami wchodzi w granicę Królestwa Polskiego; dalej, ciągle w kierunku północnym, idzie przez Szczebrzeszyn, na wschód od Lublina, przez Radzyń, Międzyrzec, Białę; od ujścia przysieki do Bugu idzie granicą narzecza białoruskiego około Bielska, Białegostoku, Sokółki, Dąbrowy do Grodna. Granice te obejmują całe Królestwo Polskie, za wyjątkiem północnej części gub. suwalskiej oraz

wschodniej siedleckiej i lubelskiej; część Prus wschodnich i zachodnich, część Pomorza, W. Ks. Poznańskie z małymi wyjątkami, część Szląską, Cieszyńskie, oraz zachodnie powiaty galicyjskie.



Obszar etnograficzny polski według Szafarzyka w 1842 roku.

Mapki, załączone przy pracy niniejszej, pozwolą czytelnikom sprostować w niektórych punktach i mapę Szafarzyka i linię graniczną, przytoczoną z Encyklopedji.

Obrachunki, które niżej podamy, są tylko przybliżeniem,

bardzo zapewne niedokładnem, ale jednak coś one niewątpliwie oświetlą, jakieś pojęcie o rzeczy dadzą. Dla państwa niemieckiego znajdujemy obliczenia gotowe w cytowanym dziele Komornickiego; z ziem, położonych w granicach Austrii i państwa rosyjskiego, bierzemy do obszaru etnograficznego te powiaty, w których statystyka urzędowa lub podane wyżej przypuszczenia i kombinacje rachunkowe wskazują na większość Polaków.

W Prusach (według Komornickiego):

obszar etnograficzny wynosi	na niem ludności	w tem Polaków (obrachunek na r. 1901)
46261 kil. kwadr.	3430000	2400000

W Austrii.

Ks. Cieszyńskie. Obszar etnograficzny polski tworzy mniej więcej 1575 kil. kw., na niem mieszka 240000 ludzi, w tem Polaków (w r. 1901) około 200000.

Galicja. Obszar 28 powiatów z większością polską wynosi około 25500 kil. kw. na tem ludności (r. 1901) około 2700000 ludzi, w tem Polaków 2550000 głów.

W państwie rosyjskiem obrachunek jest następujący:

Królestwo Polskie wynosi ogółem 127310,3 kil. kwadr., i w r. 1901 posiadać będzie 9800000 mieszkańców. Od tego odejąć trzeba:

	z przestrzenią	a ludnością
5 pow. litewskich g. suwalsk. <sup>1)</sup>	8963,2 kil. kw.	440000
4 pow. siedleckiej <sup>2)</sup> i 3 pow. gub. lubelskiej <sup>3)</sup> , w których ludność katolicka nie sięga 50 procent . . . . .	.11719,1 kil. kw.	690000

Dodać zaś do tego obszaru etnograficznego polskiego wypada dwa powiaty gub. grodzieńskiej (białostocki, sokolski) przestrzeń około 5000 kil. kw. z ludnością około 327000.

W tem Polaków:

<sup>1)</sup> Władysławowski, wilkowyski, marjampolski, kalwaryjski, sejneński.

<sup>2)</sup> Białski, włodawski, konstantynowski, radzyński.

<sup>3)</sup> Hrubieszowski, tomaszowski, chełmski.



w 7 całkowitych gub. Królestwa Polskiego. . . . .	5850000
w polskich pow. gub. suwalskiej . . . . .	130000
w katolickich pow. gub. lubelskiej . . . . .	680000
"          "          "  siedleckiej . . . . .	330000
w polskich pow. gub. grodzieńskiej . . . . .	230000
Razem . . . . .	<u>7220000</u>

Czyli ogółem obszar etnograficzny polski.

	terytorjum	ludność	w tem Polaków
Prusy . . . . .	46261	3430000	2400000
Austria . . . . .	27075	2940000	2750000
Rosja . . . . .	111628	8333000	7220000

**Cały obszar etnograficzny** wynosi **184964** kilometrów kwadratowych, na niem mieszka (obliczenie na r. 1901) **14703000** ludzi, w tem Polaków **12370000**, czyli na obszarze etnograficznym na 1000 mieszkańców przypada 841,<sub>3</sub> Polaków.

Z tego widzimy, że na obszarze etnograficznym znajduje się nas  $\frac{2}{3}$  ogółu, z reszty: około 4 milionów mieszka w prowincjach sąsiednich, stanowiąc nieraz znaczny procent wśród ogółu, zaś jakieś 2 miliony przebywa rozsiane po świecie.

Jeszcze raz zwracamy uwagę, iż jest to rachunek bardzo luźny, bez żadnej pretensji do ścisłości, na którą nie pozwala ani natura rzeczy, ani przeprowadzone dotąd badania. Sądzimy jednak, iż takie przybliżone obliczenie pozwoli się nieco zorientować w zawitych a słabo oświetlonych stosunkach etnograficznych.

Jesteśmy przytem pewni, że późniejsze, dokładniejsze badania liczby nasze powiększą i obszar rozszerzą i cyfrę zamieszkałych na nim Polaków podniosą. Liczby nasze uważać można za minimum—gdzie była tylko jakaś wątpliwość, nawet jakiś pozór wątpliwości, jakakolwiek możność sporu, tam zmniejszaliśmy liczby na naszą niekorzyść. To też każdy rachmistrz, choćby najsurowszy, choćby najnieżyczliwszy, jeśli tylko znać się będzie na przedmiocie i zechce go traktować sumiennie, obliczenia nasze stwierdzić musi.

*Ludwik Straszewicz.*

# T A J E M N I C A

przez Antoniego Czechowa.

*Antoni Czechow należy do najwybitniejszych wśród młodych pisarzy rosyjskich. Jego dzieła dramatyczne cieszą się powodzeniem na teatrze, jego „opowiadania“ znane są dobrze całej inteligencji rosyjskiej. Szczególniej wielkie wrażenie przed laty kilku wywarła powieść Czechowa „Muzyki“ (chłopi). Mówiono o niej wtedy i pisa-no tyle niemal, co o nowych pracach Tolstoja. „Muzyki“ mają tak miejscowy koloryt, że prawdopodobnie na żaden język przełożone nie będą, a gdyby nawet były, pozostaną niezrozumiałe. W pewnym stopniu stosuje się do i do opowieści innych, wszędzie język pełen jest zurotów charakterystycznych, a bardzo trudnych do oddania.*

*Świeżo Czechowa Akademia petersburska, powołała na honoro-wego członku razem z Tolstojem.*

Pierwszego dnia świąt wielkanocnych rzeczywisty radca stanu, Nawagin, powróciwszy z wizyt, wziął z przedpokoju arkusz z podpisami osób wizytujących i poszedł do gabinetu. Zdjął szaty uroczyste, napił się sałcerskiej i zasiadł wygodnie na kozetce z arkuszem w rękę. Doszedł zaledwie do połowy długiej litanji podpisów, gdy nagle drgnął, parsknął w dziwny sposób i klasnął w palce. Na twarzy jego odbiło się wielkie zdziwienie.

— Znów! — zawołał, uderzając dłonią w kolano. — To rzecz dziwna! Znowu! Znowu podpisał się ten, djabli wie-dzą, co za jeden, Fediukow! Znów!

Między licznymi nazwiskami rzeczywiście figurował pod-pis jakiegoś Fediukowa. Co za jeden ów Fediukow — radca

niemiał pojęcia. Przeszedł myślą wszystkich znajomych, krewnych i podwładnych, sięgnął pamięcią w najdawniejsze czasy, niemógł jednak przypomnieć sobie nic podobnego do Fediukowa. Co dziwniejsza, że ów nieznany Fediuków od trzynastu lat już stale figurował na liście świątecznych gości. Ale kto to był, skąd i co za jeden — o tem nie wiedzieli ani żona jego, ani szwajcar.

— Dziwna rzecz! — powtarzał radca, chodząc wielkimi krokami po pokoju — dziwna i niepojęta rzecz! Djabelska historia! Zawołać mi tu szwajcara — krzyknął głośno. — Co u licha, przecież w końcu dowiem się czegoś! Słuchaj, Grzegorz! — zwrócił się do wchodzącego szwajcara, — znów podpisał się ten Fediukow! Widziałeś go?

— Nie, jaśnie panie...

— Bój się Boga, przecież podpisał się! Musiał być w przedpokoju? Był?

— Nie był, jaśnie panie!

— Jakżeż mógłby się podpisać, gdyby nie był?

— Nie wiem, jaśnie panie!

— Więc któż ma wiedzieć? Spisz w przedpokoju! Przypomnij sobie, może wchodził kto nieznajomy? Pomyśl no!

— Nie, jaśnie panie, nie było nikogo nieznajomego. Byli panowie urzędnicy, do jaśnie pani, przyjechała pani baronowa, byli z parafji po święconem, więcj nikt...

— Więc to jakiś niewidzialny człowiek podpisywał, czy co?

— Niewiem, jaśnie panie, ale Fediukowa nie było tu żadnego. Na to nawet przysiędz mogę...

— Dziwna rzecz, niepojęta, zdumiewająca! powtarzał zamyślony radca. — To przecież śmieszne nawet. Podpisuje się, djabli wiedzą, kto, przez trzynaście lat, i niema sposobu dowiedzieć się, co za jeden. Chyba to jaka mistyfikacja? A może który z urzędników, podpisując swoje nazwisko, zapisał tego Fediukowa?

Radca zaczął studjować podpis. Podpis był zamaszysty, rozwlekły, dawnego pokroju, z zakrętami i zygzakami, nie podobny bynajmniej do żadnego z reszty podpisów. Następował po nazwisku Sztuczkiń, sekretarza gubernialnego, człowieka zahukanego i bojaźliwego, który prędej umarł by

ze strachu, aniżeli pozwoliłyby sobie na żart tego rodzaju.

— Tajemniczy Fediuków znów podpisał się na liście — rzekł radca, wchodząc do pokoju żony. — I znów nie można się dowiedzieć, co to za lichy!

Pani radczyni, zawołana spirytystka, wszystkie nadzwyczajne zdarzenia tłumaczyła sobie łatwo.

— Cóż w tem dziwnego, — rzekła. — Ty w nic nie wierzysz, a ja powtarzam ciągle, że w naturze wiele jest rzeczy nadzwyczajnych, których słabym rozumem objąć nie jesteśmy w stanie! Jestem pewna, że ten Fediukow — to sympatyzujący z tobą duch... Na twojem miejscu wywołała bym go i zapytała, czego chce.

— Et! głupstwo, nonsens!

Radca nie miał żadnych przesądów, lecz historia z podpisem była tak tajemniczą, że pomimowoli przychodziły mu do głowy najdziwniejsze przypuszczenia. Przez cały wieczór myślał o tem, że Fediukow — to duch jakiegoś zmarłego urzędnika, wypędzonego ze służby przez przodków jego, który teraz mści się na nim; a może krewny którego z wydalonych przez niego urzędników, lub której z dziewcząt, znanych mu niegdyś.

Całą noc widział radca we śnie starego chudego urzędnika w wytartym mundurze, z cytrynowo-błądą twarzą, włosami szpecinowatemi i ołowianemi oczami; urzędnik mówił coś głosem grobowym, grożąc kościstym palcem.

Radcy groziło zapalenie mózgu. Przez dwa tygodnie milczał ponuro i tylko chodził i myślał. Wreszcie upokorzył swą dumę sceptyka i rzekł do żony:

— Wywołaj Fediukowa!

Spirytystka, uradowana, kazała natychmiast przynieść papier i ekierkę, posadziła przy sobie męża i rozpoczęła seans.

Fediukow okazał się posłusznym...

— Czego potrzebujesz? — pytał radca.

— Pokutuj... brzmiała odpowiedź.

— Coś robił na tym świecie?

— Grzeszyłem...

— Widzisz! — szepnęła żona. — A wierzyć nie chciałeś!

Radca długo rozprawiał z Fediukowem, wywołał potem Napoleona, Hannibala, nieboszczyka gubernatora, ciotkę Klaudję i od wszystkich otrzymywał odpowiedzi krótkie, lecz pełne głębokiego znaczenia. Cztery godziny męczył się z ekierką i zasnął spokojny, szczęśliwy, że poznał nowy, dotąd tajemniczy świat. Teraz już codziennie zajmował się spirytyzmem i nawet w biurze wykladał urzędnikom, że w naturze jest w ogóle wiele rzeczy nadzwyczajnych, na które dawno już powinni zwrócić uwagę nasi uczeni. Hypnotyzm, medjumizm, spirytyzm, czwarty wymiar opanowały zupełnie jego umysł. Ku wielkiej radości żony, po całych dniach czytał dzieła spirytystyczne i myślał tylko o ekierkach, stolikach wirujących i tłumaczeniu zjawisk nadprzyrodzonych. Za przykładem z góry, wszyscy urzędnicy zajęli się spirytyzmem i to tak gorliwie, że stary dziennikarz poprostu zwarjował i razu pewnego wysłał przez woźnego depeszę taką: „Izba obrachunkowa w piekle. Czuję, że staję się złym duchem. Co robić? Odpowiedź zapłacona. Bazyli Krynoliow“

Po przeczytaniu setki broszur spirytystycznych, radca poczuł nareszcie nieprzewartą chęć napisać coś w tej kwestji. Po pięciu miesiącach pracy zreferował olbrzymi artykuł pod tytułem: „Moje zdanie.“ Pracę swoją postanowił posłać do dziennika spirytystycznego.

Pamiętnym był mu dzień, w którym artykuł swój miał wysłać. Radca pamiętał, że dnia tego w gabincie jego znajdował się sekretarz, przepisujący artykuł z bruljonu i djaczek z parafji, wezwany w jakimś interesie. Oblicze radcy promieniało. Z ojcowską miłością obejrzał swój plód, ciesząc się jego okazałym wyglądem, i z uśmiechem szczęścia rzekł do sekretarza:

— Myślę, że lepiej wysłać rekomendowanym. Będzie pewniej...

Spostrzegłszy djaczka, powiedział:

— Aha, dobrze. Mam właśnie interes. Umieszczam syna w gimnazjum, potrzebna mi zatem jego metryka.

— Dobrze, jaśnie wielmożny panie!—mówił, kłaniając się, djaczek. — Dobrze, rozumiem...

— Będę mógł mieć na jutro?

— Naturalnie, jaśnie wielmożny panie! Będzie na jutro z pewnością. Proszę przysłać jutro do parafji przed nabożeństwem. Proszę zapytać tylko o Fediukowa...

— Jak?! — krzyknął radca poblady.

— Fediukowa, jaśnie wielmożny panie!

— Więc nazywacie się... Fediukow?

— Tak, jaśnie wielmożny panie, Fediukow.

— To wy podpisywaliście się u mnie na arkuszu w święta?

— Tak, jaśnie wielmożny panie! — przyznał się zmieszany djaczek. — Kiedy chodzimy po Świąconem po mieszkaniach wysoko postawionych osób, zawsze podpisuję się. Lubię bardzo... Jak tylko zobaczę w przedpokoju arkusz, nie mogę się oprzeć chęci podpisania swego nazwiska...

Nie słysząc nic, nie rozumiejąc, oniemiały radca chodził szybko po gabinecie. Machinalnie dotknął się portjery przy drzwiach, trzy razy machnął ręką, uśmiechnął się bezmyślnie, wskazując palcem w przestrzeń.

— Więc artykuł wysyłam zaraz, panie naczelniku! -- odezwał się sekretarz.

Wyrazy te oprzytomniły radcę. Spojrzał na sekretarza i na djaczka, i tupiąc nogą, krzyknął przerywanym, podniesionym głosem:

— Dajcie mi święty pokój! Dajcie mi pokój, mówię wam. Czego wy chcecie odemnie?

Sekretarz z djaczkiem wyszli z gabinetu i już byli na ulicy, a radca wciąż tupał nogami i wykrzykiwał:

— Dajcież mi święty pokój! Czego chcecie odemnie, Dajcie mi pokój!

*Przełożył Michał R.*

# L U B L I N.

Niewyjaśniły dotąd badania historyczne ani początku Lublina, ani pochodzenia nazwy jego. K. W. Zieliński utrzymuje, że powstał on na miejscu dawnej osady rybackiej „Dłotlicze“. — Nie znajdujemy również nazwiska założyciela, choć wielu pisarzy naszych badało dzieje starego grodu.

Lublin długo zajmował w Królestwie Polskim pierwsze po Warszawie miejsce.

Wyprzedziła go w ostatnich czasach pod względem zaludnienia i rozwoju przemysłowego fabryczna Łódź. Ale, jeśli weźmiemy pod uwagę ilość zabytków dawnych, jeśli rozpatrzemy przeszłość Lublina, to stanie on jako odwieczny sędziwy gród, co odegrał w dziejach ojczystych niepoślednią rolę, miał dni pomyślności wielkiej i klęsk dotkliwych, a po dziś dzień zachował charakter swojski i poważny. Położony na wyniosłym wzgórzu, wzdłuż malowniczej doliny rzeki Bystrzycy, od strony piaseckich rogatek, przedstawia długą i piękną panoramę: szeregiem widnieją szczyty wyniosłych wież i kopuł kościelnych, rysuje się dawny zamek królewski, a cała część miasta, od katedry aż do bramy gródzkiej, nosi typowy wygląd starych miast włoskich.

Świadectwa historyczne zaznaczają fakt, że za Miecysława I-go, stanął tu kościół św. Mikołaja na przedmieściu Czwartek, a była to najpierwsza świątynia z czasów wprowadzenia Chrześcijaństwa. Za Bolesława Chrobrego istniał już tu drewniany obronny zamek.

W 13-ym wieku oblegał miasto bezskutecznie Roman ks. Halicki. Następnie po dwakroć spalili go najpierw w 1241 r. Mongołowie pod wodzą Bojdara, a później w 1244 Litwini z Prusakami i Jadzwingami.

W tymże roku zniszczone miasto zajął Roman książę Halicki. Wystawił wśród zamku murowaną wieżę, obwarował wałami i przekopami całe miasto. Ale spokoju tem nie zapewnił, bo Lublin, wciąż odbijany i zdobywany, spalonym został przez Mendoga w 1255 roku.

We 25 lat po tem wyparł Lwa, syna Daniela Halickiego, Leszek Czarny, a odniosszy w dwa lata później walne zwycięstwo nad Jadźwingami, zbudował na pamiątkę kościół farny Ś-go Michała. Wedle znanego podania, śpiącemu pod dębem Leszkowi miał się ukazać archanioł Michał, zwiastując mu one zwycięstwo. Otóż pod wielkim ołtarzem zachowano pień tego dębu. Kościół przetrwał pięć wieków, i do-



Kościół Ś-go Michała na Kalinowszczyźnie.

piero w 1856 roku świątynia, jako grożąca zawaleniem, została rozebrana. Resztki pnia dębowego przeniesiono do obecnej katedry lubelskiej.

Od r. 1302 Lublin należał już stale do Polski. Prawo magdeburskie i 100 włók ziemi nadał mu Władysław Łokietek. Ale dopiero Kazimierz Wielki, pobiwszy Tatarów, oble-



gających Lublin w 1341 roku, prawdziwie zabudował miasto. Otoczył je murem i przekopami, wznosił bramy: Krakowską i Grodzką, odbudował i obwarował zamek królewski, wystawił kościół i klasztor Dominikanów. W tę porę mieszczanie lubelscy zbudowali kościół i szpital Ś-go Ducha sumptem własnym. Miasto, mając zapewnione liczne przywileje i szybki wymiar sprawiedliwości, pomyślnie rozwijać się poczęło.

Otoczał je też opieką troskliwą Władysław Jagiełło. Wystawił on na Zamku oryginalnej budowy kościół 3-tej Trójcy w 1395 roku. Jagiełło również pobudował w 1420 r., kościół Panny Marji z klasztorem Brygidek, na pamiątkę zwycięstwa pod Grünwaldem.

Kazimierz Jagiellończyk, uczynił Lublin miastem wojewódzkim. Za Zygmunta I-go zaprowadzono wodociągi, a oryginalny akt tej ugody ogłosił Hieronim Łopaciński w książce „Dla Sierot,“ wydanej dwa lata temu na rzecz sali sierot, staraniem niżej podpisanego. Za Zygmunta Starego zaprowadzono również blech i szlifiernie, wystawiono wielki młyn i zastrzeżono mieszczanom monopol na wyrób płynnego piwa lubelskiego. Wyznaczono osobną dzielnicę dla żydów. Dochód z blechu i szlifierni przeznaczono na naprawę wałów miejskich.

Za Zygmunta Augusta handel w Lublinie rozwinął się znakomicie. Sprowadzano towary z dalekiego wschodu i zachodu.

Tu, jak wiadomo, zawartą została pamiętna w dziejach Unja Litwy z Koroną. Na pamiątkę wystawiono pomnik murowany, który na przedstawienie Stanisława Staszycza zastąpiono żelazną kolumną z wizerunkiem i nadpisami; zbudowano ją z rozkazu Cesarza Aleksandra I-go.

Za Stefana Batorego zaprowadzono trybunał dla województw małopolskich.

Za Zygmunta III Lublin liczył 40,000 ludności, miał liczne fabryki, kilkanaście kościołów i bogate pałace magnatów.

Od tej pory liczne kłęski nawiedzały miasto. Kozacy spalili je w 1656 roku. Następnie zrabowali Szwedzi i wycisnęli duży okup. Wreszcie najechali Tatarzy. A pożary i zaraza morowa zniszczyły Lublin do reszty.

Kraj był wyczerpany wojną i ubogi, nie mógł przyjść z pomocą ginącemu miastu.

Ostatecznie pożar w 1701 roku zrujnował budowlę w obrębie wałów miejskich.

Za czasów Augusta II-go jarmarki z Lublina przeniesiono do Łęcznej. To ujęło dochodów miastu. Kupcy podu-

padli, porozwijały się cechy rzemieślnicze. Natomiast osiedlili się liczni żydzi i zagarnęli w swoje ręce handel.

Gruzy i pogorzelnisko świadczyły o smutnej doli Lublina. Dopiero wielkiej noty i zasług męż, wojewoda lubelski, Kajetan Hryniewiecki, za panowania Stanisława Augusta stanął na czele komisji dobrego porządku i ocalił Lublin od zagłady. Wynalazł fundusze, zwiększył je i, zawezwawszy bogatszych obywateli, jakiś ład zaprowadził. Rynek oczyścił z gruzów, odrestaurował bramy i Ratusz, wybrukował ulice, domy ponaprawiał. Lublin dzwigać się począł. Zamek w 1825 roku odbudował ówczesny rząd Królestwa. Tylko okrągła baszta zachowała dawną formę, reszta, całkiem przerobiona, utraciła charakter pierwotny. Obecnie w zamku jest więzienie i szpital więzienny.

Kościół Ś-tej Trójcy zachował swój pierwotny charakter. Jest go tyk z końca XIV wieku. Sklepienie nawy oparte na jednym filarze. Drzwi wchodowe, chór, malowidła, gotyckie okna noszą cechy współczesne.

Brama krakowska, wystawiona w 1342 roku przez miasto, była odrestaurowana przez Stanisława Augusta w 1787 roku i jest obecnie niższa niż dawniej (180 stóp). Na wierzchu znajduje się nad gałką cyfra S. A. R. Tu mieści się zegar miejski i galerja żelazna, stanowiąca czatownię straży pożarnej. Od strony ulicy Broniowej znajduje się starożytny wizerunek św. Antoniego, a od Krakowskiego Przedmieścia obraz N. M. Panny pęzła Witolda Urbańskiego, obecnie silnie uszkodzony. Na bramie wygrywają każdej nocy co godzina hejnały.

Brama Grodzka, prowadząca do Zamku, utraciła dawny charakter, gdy piętro zamieniono na mieszkania.

Brama jezuicka nie wchodziła w obręb murów miejskich, wieżę zbudowano w 1826 roku z polecenia rządu. Ma ona styl nieokreślony, go tyk naśladowujący. Jest najwyższą w Lublinie. To też z ganku rozpościera się rozległy a malowniczy widok na kilka mil dokoła.

Z dawnych murów pozostała mała cząstka w podwórzu kamienicy D. Aleksandra Janiszewskiego przy ulicy Królewskiej.

Ratusz miejski, późniejszy trybunał, obecnie sąd zjazdu sędziów pokoju wybudowało miasto w pośrodku starożytnego rynku w 1389 roku. Odrestaurowany został za Stanisława Augusta i w tej postaci dotąd pozostaje.

W rynku znajduje się kamienica Sobieskich z ornamentacjami okien, pięknego rysunku; dom Klonowicza i wiele innych starych budowli, bardzo zresztą zmienionych.

Najstarszym kościołem jest kościół Ś-go Mikołaja na Czwartku. Ale mury nie są już te, co były budowane przez Mieczysława I-go. Pochodzą one najwyżej z XVI wieku. Ozdoby wewnętrzne charakteryzują wiek XVII. Figura Ś-go Mikołaja w wielkim ołtarzu rzeźbiona misternie. Kościół odnowiono w 1825 roku.



Kościół Bernardynów w ulicy dolnej Panny Marji.

Kościół Dominikanów, wybudowany przez Kazimierza Wielkiego, wskutek przeróbek i dobudowań stracił dawny charakter. Kaplice boczne budowali Firleje i Janusz Tyszkiewicz. Olejne obrazy wyobrażają znalezienie Krzyża Ś-go, którego część, największą na całym świecie, posiada właśnie kościół dominikański. Przywiązane jest do tego podanie, że gdy biskup Andrzej wioził tę relikwię, został cudownym sposobem przed kościołem zatrzymany, tu pozostawił drzewo Krzyża Ś-go, i sam żywota pobożnego, zamieszkałszy

tutaj, dokonał. Janusz Tyskiewicz ofarował oprawę, kosztującą 6.666 dukatów.

W skarbcu, prócz relikwji Krzyża Ś-go, mieści się wiele bardzo bogatych ornatów starożytnych, stół, na którym podpisana być miała Unja lubelska, piękne kielichy, monstrancje it. d. Na sklepieniu freski, wyobrażające sąd ostateczny.

Kościół Wizytek, fundowany przez Jagiełłę ma prześliczny fronton zębaty, piękne kopuły i artystycznie wyrobione krzyże żelazne na szczytach wieżyc. Po dziś dzień dzwon z wieży tego kościoła wzywa do modlitwy za duszę poległych pod Grunwaldem bohaterów.

Klasztor przerobiono na internat gimnazjalny. Druga połowa, z której dochód należy do biskupa chełmskiego, jest zamienioną na mieszkania prywatne. Ogród obszerny w małej części przyłączony do kościoła. Na murze, otaczającym ogród, są ślady dawnej wieży wodociągowej z XVI wieku.

Kościół Bernardynów mieści w sobie pomnik Wojciecha Oczko, znanego lekarza i sekretarza dwóch królów, zmarłego w 1620 roku. Świątynię zbudowano za pieniądze przysłane (wedle podania) przez nieznaną osobę w skrzyni, na wozie, w cztery woły zaprzężonym. Skrzynia dębowa, blachą okuta, do tej pory przechowuje się w skarbcu; widziałem tam również ciekawą książkę, rodzaj „Silva verum,“ w której spisywane były kolejną lat ważniejsze wydarzenia.

Kościół Katedralny, dawniej jezuicki, fundowany przez Bernarda Maciejowskiego w 1582 roku. Piękne freski w trzech nawach malował Józef Majer w 1757 r. Tegoż artysty freski znajdują się w kościele katolickim w Chełmie, oraz w kościele w Kisielinie na Wołyniu. W Katedrze lubelskiej zasługuje na uwagę zakrystja, zbudowana akustycznie w ten sposób, że wyraz, wymówiony cicho w jednym rogu, doskonale słychać w kącie przeciwnym. Obok zakrystji znajduje się sala posiedzeń kapituły, a w niej skarbiec: prześliczne haftowane stare ornaty z wizerunkami, tak delikatnie wyszytymi w medalionach, że wydają się jakby miniatury malowane, krzesło Jana III-go, aparaty kościelne. W samej świątyni znajduje się starożytna chrzcielnica z wyobrażeniem S-go Michała, z dawnej fary Leszka Czarnego przeniesiona, piękne organy, wiele cennych obrazów w ołtarzu głównym i bocznych, oraz wizerunek Chrystusa, przeniesiony z sali trybunalskiej. Legenda o nim głosi, że odwrócił na bok głowę podczas wyroku, niesłusznie wydanego z krzywdą wdowy. Wyrok ten inaczej osądził następnej nocy djabli, zamiast znaku pieczęci wypaliwszy na papierze rękę z pazurami.

Katedrę w ostatnich czasach odnowiono, Na przeróbce stracił stylowy fronton, gdzie zmniejszono ilość kolumn do czterech. Przy wejściu do zakrystji śp. biskup Walenty Baranowski umieścił marmurowe tablice z wizerunkami olejnymi Wincentego Pola i Kajetana Koźmiana.



Zamek Królewski w Lublinie.

Kościół Świętego Ducha kosztem miasta postawiony w 1342 r. Przeróbki zatarły styl dawny. Brama obok będąca, zwana Ś-go Ducha, zniesiona. Miejsce, gdzie był szpital, zajęte na straż ogniową. Plac, gdzie był ogród i cmentarz, zamieniono na targ miejski. Ostateczne badania wykazały, że Sebastjan Klonowicz nie umarł w nędzy w szpitalu Ś-go Ducha. Posiadał on dom własny, dotąd stojący

na rogu ulicy Olejnej i rynku, i w tym domu żywota zasłużonego dokonał.

Obok kościoła Ś-go Ducha jest obecny Ratusz miejski z wysoką wieżą, na której wyobrażony kozioł, na drzewo skaczący, jako herb miasta Lublina. Przerobiony z dawnego kościoła. W archiwum magistrackiem mieści się wiele ciekawych dokumentów, miasta dotyczących, jest dawny plan Lublina, na pergaminie malowany, nieco uszkodzony, klucze miejskie, i dwa duże miecze katowskie.

Kościół Kapucynów, w 1728 roku zbudowany przez ks. Pawła Sanguszkę, posiada piękną kaplicę w stylu gotyckim ze statuą N. M. Panny, wzniesioną ze składek za staraniem O. Prokopa, gwardjana kapucynów lubelskich. O. Prokop Leszczyński, znany pisarz, słynny kaznodzieja, mąż cnót wielkich i życia ascetycznego, były prefekt liceum w Krzemieńcu, zmarł w Zakroczymiu, gdzie po zwinięciu kapucynów lubelskich zamieszkał. Są jeszcze w Lublinie kościoły: Bernardynek przy ulicy Królewskiej, Karmelitów, (stara budowa z pięknym frontonem w stylu bałtycko-wiślanym), kościół Szarytek przy szpitalu Ś-go Wincentego, kościół bonifraterski przy szpitalu Ś-go Jana Bożego, Augustyjanów na Kalinowszczyźnie i kościół Misjonarzy, przy którym mieści się seminarjum.

Lublin obecnie poczyną wznosić się pod względem handlowym i przemysłowym. Ludność wynosiła w 1897 roku 47,576 mieszkańców, w tem połowa mniej więcej chrześcian, połowa żydów.

Z instytucji społecznych Lublin posiada: Towarzystwo Kredytowe ziemskie, Tow. Kredytowe Miejskie, Kasę Przemysłowców lubelskich, bank Wzajemnego kredytu, filje banków Łódzkiego i Handlowego Warszawskiego, Towarzystwo dobroczynności z salą sierot, nowo pobudowaną na 60 osób, z domem zarobkowym, przytułkami noclegowemi oraz schronieniem starców i kalek. Prócz tego jest jeszcze schronienie Ś-go Ducha, zostające pod zarządem magistratu, oraz całego szpitala. Istnieje także i pracuje towarzystwo lekarzy lubelskich, pracownia chemiczno-bakterjologiczna miejska, Towarzystwo Muzyczne, Tow. Cyklistów, Tow. wzajemnej pomocy rzemieślników, Syndykat rolniczy, Magazyny Warrantowe, Kasa Oszczędności, Stowarzyszenie Kupców, Gimnazjum męskie i żeńskie. Szkoły prywatnej żeńskiej niema żadnej. Szkoły początkowe wiele pozostawiają do życzenia. Staraniem obywateli miasta ma powstać szkoła rzemieślnicza. Z zakładów przemysłowych posiada Lublin: cukrownię akcyjną, cementarnię, trzy młyny, z których młyn „Papiernia“

jest jednym z największych w kraju, dużą i doskonale prowadzoną fabrykę narzędzi i odlewów p. Mieczysława Wolskiego i S-ki, garbarnię firmy braci Domańskich, znaną zaszczytnie ze swoich wyrobów i t. d. W okolicy istnieje cukrownia i młyny amerykańskie.



Ratusz miasta Lublina.

Lublin posiada piękny ogród miejski, założony przez śp. Brzezińskiego. Obszerny i starannie utrzymany cmentarz na Rurach brygidzkowskich, dom przedpogrzebowy, z zapisu śp. Doktora Wasilkowskiego wystawiony.

Przy nowo mającej się pobrać drodze żelaznej Zamajskiej ruch jeszcze się powiększy, i pozbawione dotąd komunikacji okolice żyzne i leśne zyskają łatwiejsze drogi zbytu. Obszerne torfowiska w Lubelskim i Chełmskim powiecie mają przed sobą przyszłość, również jak hodowla ryb, coraz szersze przybierająca rozmiary. Także podniosła

się w gubernji lubelskiej hodowla koni, zaś owczarstwo zdawien dawna miało ustaloną renomę. Gleba lubelska należy do najlepszych w całym kraju. Składają ją glinki przepuszczalne, borowiny i czarnoziemy. Łąk dostatek. Pierwsze miejsce zajmują gruntowe łąki nadbużańskie, nadwieprzańskie i nadbystrzyckie. Dużo lasów ordynackich i sporo przestrzeni lasów rządowych i prywatnych.

*Gustaw Dołęski.*

---



## WIZERUNKI LITERACKIE.

### Zygmunt Kaczkowski.



Był czas, że Kaczkowskiego tak czytano, jak my dziś czytamy Sienkiewicza. Jego „Rozbitka“ nazywano najlepszą powieścią polską.

Pamiętam wrażenie moje, gdy przed laty pochłaniał „Anuncjatę“. Przyjechałem na wakacje do domu z trzeciej zdaje się klasy. Matka dała mi tę powieść, komunikując zachwyty swój własny i całego towarzystwa, które ją tylko co wspólnie przeczytało. Pomimo że byłem

po egzaminach, spragniony wolności, powietrza, odpoczynku, zapomniałem o wszystkim i rozgorączkowany czytałem i czytałem. Gdy mnie zawołano do stołu, gdym szedł spać, gdy ojciec wyciągnął mnie na pole do żniwiarzy, zawsze miałem przy sobie tom „Anuncjaty“. Tylko na krótkie chwile, jakby dla złapania tchu, wybiegałem na dziedziniec, na ogród, żeby się czuć swobodnie Bieżyńskim, bohaterem powieści. Wtedy wojowałem, dokonywałem czynów heroicznych, okupywałem błędy i winy Bieżyńskiego poświęceniem, szlachetnością, męstwem.

Przed kilku laty wpadła mi znowu „Anuncjata“ do ręki. Pamiętałem jeszcze wybornie i dawne wrażenia własne i treść książki i nawet sceny oddzielne. Chciałem odnowić w sobie rozkoszne wzruszenia dzieciństwa — zacząłem czytać. Boże!.. co się stało? Toż to całkiem inna książka... nudna, ekliwa, miejscami niedorzeczna. Przeczytałem całą, alem wiele kart opuścił... niepodobna było przebrnąć.

Tak się zestarzał, zbladł, zwietrzył cały prawie Kaczkowski, trudno niemal poznać, czem się tak zachwycali ojcowie, trudno uwierzyć, że się zachwycali. Ale los podobny nie jednego Kaczkowskiego spotkał. Ogólne to całkiem zjawisko. Tylko najwyższe talenty i gieniusze są w stanie przetrwać próbę czasu, tylko w ich dziełach znajdują się pierwiastki nieśmiertelności. Niegdyś świat cały szalał niemal z powodu romanśów Walter-Skota, we wszystkich piśmiennictwach miał pisarz angielski tłumy naśladowców. A proszę dziś spróbować to czytać? Może zdołalibyśmy zmordować jednego „Iwanhoe“! Dodać trzeba, iż współcześni nigdy nie odgadną, czy ich bożyszcze trwać i jaśnieć będzie dla ich synów i wnuków. Dziadowie nasi wierzyli święcie w nieśmiertelność Walter-Skota, a ojcowie w niespożytą piękność Kaczkowskiego.

Pochodzi to stąd, iż w smaku, w usposobieniach ogółu panują prądy zmienne, jak w modach na suknie kobiece. Pisarz, odpowiadający zapotrzebowaniom chwili, poruszający myśli, które w tem momencie społeczność żywo obchodzą, schlebiają słabościom i t. d., musi budzić zainteresowanie i często podobać się, jeśli nie wszystkim, to większości. Zmienia się prąd, przychodzą nowe pojęcia, nowe pożądanja, — wczorajsza literatura idzie do archiwum. Tylko prawdziwie wielcy artyści potrafią wyśpiewać pieśń, która poruszy serce człowieka wszelkich czasów. Artystów takich ludzkość cała przez długi szereg wieków trwania swego wydała zaledwie kilku, może kilkunastu.

Kaczkowski był przedewszystkiem portrecistą typów szlacheckich środka wieku osiemnastego. Straszny był to czas i typy straszne. W życiu publicznem nie widać obywateli, nie widać cnót, nie słyhać o obowiązkach; natomiast, jak wrzody na ciele gnijącym, występują: przedajność, warcholstwo, pry-

wata, rwanie sejmów. W życiu prywatnem szkarada: pija-tyki, bójki, zajazdy, porywanie dziewcząt—krzywda ludzka.

Kaczkowski pisał w czasach, kiedy ogół zwracał bez-krytyczny wzrok ku przeszłości, kiedy nie rozróżniał momen-tów pięknych od smutnych. Znany jest nałóg ludzki upatry-wania w rówieśnikach wad wszelkich, a zalet w poprzedni-kach. Temu nałogowi czynił zadosyć Kaczkowski. Wybaczano szlachcie rozpustę, chwytano wszelkie jaśniejsze punkciki, tęskniono do lepszych czasów. Ale już wtedy Słowacki rzu-cał przekleństwo na te właśnie potworności obyczajowe, które opisywał Kaczkowski, a któremi się ogół zachwycał. Nazy-wał Dejaniry palącą koszulą, kazał wyrwać z duszy. Nie-bawem potępił je i przeklął naród cały, jako źródło hańby, jako główną przyczynę klęsk. A że Kaczkowski nie był ar-tystą wielkim, chociaż umiał pisać językiem pięknym, więc... poszedł do archiwum.

Czy należy potępienie czasów fatalnych przenieść na autora? Ach, nie, wcale nie! Kaczkowski malował prawdę, jak ją znalazł w opowieściach babki i w starych pismach, nie powiedział nigdy, że ją pochwała, że ją narodowi do na-śladowania zaleca. Co więcej, powieści jego budziły, pomimo swej treści, uczucia dodatnie — sam ich doznałem przy czy-taniu „Anuncjaty“. Takie wypadki zdarzały się nieraz w hi-storji literatury. Na wrażenie składa się nietylko to, co autor pisze, lecz także nastrój czytelnika. A dusza ludzka trudna do odgadnięcia.

Prócz tego Kaczkowski pisał i powieści współczesne, a w tych wiele jest uczucia, myśli, zdrowia i siły.

Niewątpliwie też Kaczkowskiego zaliczyć należy do twórców dzisiejszego języka i pojęć naszych. W piśmien-nictwie polskiem stoi on zaraz w drugim szeregu: po Mickie-wiczu i Słowackim, ale obok Syrokomli, Kraszewskiego, Korzeniowskiego i t. d. Powtórzmy tu to, cośmy już raz powiedzieli w „Kurjerze“: Kaczkowski nie może być u nas obcy człowiekowi wykształconemu, ale zbyt wiele i zbyt często czytać go i nie można i nie należy.

Życie Kaczkowskiego bardzo było bogate w nadzwyzajne wypadki. Urodził się w 1829 r. w Sanockiem, w Ga-

licji. Po wczesnem skończeniu szkół mieszkał bądź na wsi, bądź we Lwowie, ale należał ciągle do umysłowego i politycznego życia lwowskiego. Z przekonań był wówczas gorącym, czerwonym demokratą tego odcienia, który słusznie nazywano chłopomanją. Podczas rzezi tarnowskiej w r. 1846 chłopci schwytali Kaczkowskiego i wraz z ojcem, skutych, odstawili do Sanoka. Władze austriackie skazały ojca na dwadzieścia lat twierdzy, syna—na śmierć. Wypadki późniejsze przeszkodziły wykonaniu wyroku, ale wywarło to wszystko wielki wpływ na duszę młodzieńca, uspokoiło go, zmieniło mu znacznie przekonania. Odtąd Kaczkowski staje się w życiu publicznem rzecznikiem umiarkowania.

Powieści pisać zaczyna około r. 1851-go. Szybko zdobył sobie rozgłos i uznanie wielkie. Pisał coraz więcej, ale nie przeszkadzało mu to zajmować się ciągle i żywo sprawami publicznymi.

Kiedy około r. 1860 zaczynały wśród opinii zrywać się wichry burzy późniejszej, we Lwowie grono najpoważniejszych mężów, literatów i polityków, założyło w celu przeciwdziałania naprzód tygodnik „Kółko rodzinne“, a potem dziennik „Głos“. Kaczkowski był duszą obu wydawnictw. Pisał „Żydowskich“, rodzaj kroniki, w której wzywał ludzi do spokoju i rachuby. Niemniej przeto w r. 1861 dostał się znowu do więzienia właśnie za „Głos“ na lat pięć. Ułaskawiony—wyszedł niebawem i wrócił do czynnej pracy. Tu go spotkało nieszczęście od więzienia większe. Oskarżyli go rodacy, iż był agentem tajnym dyrektora lwowskiej policji i skazali na wygnanie z kraju. Było to coś potwornie głupiego i bezecnego. Dziś trudno wprost uwierzyć, że się podobny wypadek mógł kiedykolwiek wydarzyć. Dowód był tak niezgrabnie i tak mocno naciągnięty, że w spokojnym czasie nikt by o nim niechciał mówić poważnie. Chodziło zaś o obywatela, znanego w kraju całym z zasług, chodziło o pisarza wielkiego. Kaczkowski, rzecz prosta, wziął to bardzo do serca, jeździł, pisał, starał się, aby wyrok uchylono, ale nie stanowczego wykołatać nie zdołał. Powtarzamy raz jeszcze, iż cała sprawa była bzdurstwem wierutnem i jeśli wstyd spada na kogo, to jedynie na oskarżycieli i na sędziów. Nie-

mniej przeto ludzie, pokrewni ówczesnym wrogom Kaczkowskiego, do dziś dnia mówią o tem, jako o plamie, ciężącej na pamięci redaktora „Głosu“.

Wypadek ten zламаł Kaczkowskiego na zawsze. Niebawem nadeszły w Galicji czasy, kiedy rozum, wiedza, sąd spokojny autora „Rozbitków“ mógł się bardzo krajowi przydać. Ale on już nie miał sił i ochoty. Grał na giełdzie w Wiedniu. Wygrywał, a potem zgrał się i pojechał szukać szczęścia w Paryżu. Tam brał udział—trzeba powiedzieć prawdę—w różnych najzwyczajniejszych spekulacjach!

A jednak od czasu do czasu fala powracała, zrywał się do życia społecznego: pisał powieści, artykuły, projektował założenie wielkiego dziennika politycznego w Wiedniu. Ale to już były rzeczy poronione. Wydał całą książkę przeciwko Stańczykom: „Tekę Nieczui“, rzecz napisaną z werwą i talentem, ale namiętnie i niemal potwarczo. Snać w pogoni za majątkiem zapomniał Kaczkowski, jak takie ciosy bolą i że się taką bronią posługiwać nie godzi.

Zmarł w r. 1896 w Paryżu.

Oto najgłówniejsze prace Kaczkowskiego:

*Powieści historyczne:* Mąż Szalony, Murdelio, Gniazdo Nieczujów, Starosta Hołobucki, Grób Nieczujów, Anuncjata, Sodalis Marjanus.

*Powieści współczesne:* Dziwo—Żona, Wnuczęta, Bajronista, Rozbitek, Stach z kępy.

*Prace naukowe:* Kobieta w Polsce, O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycji do historii drugiej połowy XVIII wieku.

*Prace publicystyczne:* Żydowscy, Teka Nieczui. Rewolucyjne sądy i wyroki.

*Powieści z drugiego okresu (paryskiego):* Graf Rak, Olbrachtwowi rycerze, Wasi Ojcowie, Zaklika, Święta Klara.

Obecnie wychodzi w Warszawie „Wybór Pism“ Z. Kaczkowskiego w 10 tomach, z przedmową I. Chrzanowskiego. Znajdują się tam wyłącznie powieści historyczne.

Władysław Dobro-Wolski.

# Piśmiennictwo.

---

## Ludzie bezdomni.

*Powieść w dwu tomach Stefana Żeromskiego. Warszawa 1900.*

Gdybym o powieści tej pisał kilka tygodni temu, byłbym autora jej zaliczył do „najmłodszych“ w literaturze. Obecnie już nie mogę. Jeszcze młodsi odeń zaznaczyli w „Strumieniu“, że mają powieści Żeromskiego za kierunek przeżyty. A nie mogę być pewny, czy jacyś prorocy młodsi od jeszcze młodszych nie kuja już piorunów na redakcję „Strumienia“, czy nie ogłoszą jej jutro za grzyb omszały i spróchniały od zbyt długiego życia. Tak to bywa na tym świecie: jeszcze człowiek nie dokończył chęć się swoją młodością, a już inni zaczynają mu wymyślać od starych; a człowieka najmłodszego niema wcale na ziemi.

Stefan Żeromski, autor licznych, nieraz bardzo udatnych i obiecujących obrazków, szerokiemu ogółowi nie jest jeszcze znany. Za to ma gorących zwolenników wśród kolegów po piórze.

Literaci zawsze muszą się skupiać w kółka, oddziały, w falangi bojowe: trzeba bronić sztandaru, trzeba szerzyć wspólne przekonania. Bardzo to dobre, gdyż się wytwarza środowisko, sprzyjające twórczości, stanowiące podniętę do pracy; ogromna większość ludzi nie znosi samotności, potrzebuje dokoła siebie gwaru, zwłaszcza, jeśli w tym gwarze można usłyszeć, lechące przyjemnie, słowa uznania. Ma to jednak i strony złe. Pomijam nawet, że bardzo często (nie zawsze!) literackie spory i literackie tryumfy nie posiadają

wielkiej doniosłości i trwałości; następne pokolenie nie rozumie zazwyczaj, o co ojcom chodziło, nie jest w stanie odczytać od początku do końca książki niedawno wielbionych autorów. Gorsze to, iż obóz literacki staje się dla swoich członków, a szczególnie przywódców rodzajem klaki teatralnej—cokolwiek napiszą, ogłaszane jest za arcydzieło literackie, niemal za początek nowej ery. Jeśli kto z poza obozu poważy się wątpić o nadzwyczajnym pożytku i piękności takiego arcydzieła, tego falanga okrzyknie ciemnym obskurantem, filistrem, a czasem to i niegodziwcem, zdrajcą narodu. Dodać trzeba, iż to wszystko robi się całkiem szczerze, ba, z głęboką wiarą w posłannictwo: niema w umysłach ludzkich zjawiska pospolitszego nad złudzenie.

Człowiek chętnie wierzy w sąd dlań pochlebny, zaś we wszelkiej uwadze krytycznej widzi objaw głupoty lub złej woli, niechęci osobistej czy stronniczej. Dlatego autorowie wyroku ostatecznego szukają zawsze niemal w przyjemnych zdaniach przyjaciół z tej samej falangi

Bajka Krasickiego opowiada o szurcze, którego zadusiły kadzidła. W piśmiennictwie naszym uduszeń podobnych w czasach ostatnich zdarzyło się kilka. Za napisanie udatniejszej nieco powiastki, lub dramatu, za jakąś zapowiedź talentu, autora otoczył duszący dym uznania nadmiernego, na-przód od przyjaciół w prasie, a potem i w salonach literackich. Po takich tryumfach naturalnem następstwem był zawrót głowy lub sen na laurach, i autor obiecujący ginął w niepaniści powszechnej.

Tylko największe talenty nie dadzą się zbić z tropu przesadą zachwyków przyjacielskich. Ale też talenty największe zwykle nie chodzą w gromadzie.

Powieść, oznaczona w nagłówku, wywołała w niektórych pismach wybuch uniesień. Spierano się nawet o to, czy literatura w ciągu istnienia swego może mieć drugi taki utwór i drugiego takiego autora. Jeden z recenzentów, uprzedzając możność atakowania Żeromskiego za „Ludzi bezdomnych“, z góry odstraszał takich śmiałków (według niego „byle siekaczów z kuchni literackiej“) ostrzem ironji.

Pomimo wielokrotnego sparzenia się, łatwo ludziom wierzę. Począłem więc czytać powieść Żeromskiego niemal z nabożeństwem, z góry już obmyślać zacząłem, w jaki sposób przyłączę się do chóru chwalców.

Nie należę do tej falangi, co Żeromski, czy moje nieoglądały go dotychczas, ale z pewnością nie mniej od przyjaciół pragnę, aby piśmiennictwo polskie obdarzył arcydziełem, cieszył bym się też z serca całego, gdybym mógł po-

wiedzieć: to pisarz, co Sienkiewicza, co Mickiewicza przeraża. Wogóle zresztą raduje mnie powodzenie bliźniego.

Gdy zaś dobiegł do ostatniej stronicy tomu drugiego „Ludzi bezdomnych“, pomyślałem: jednak ci Francuzi to mądry naród; jak to oni dobrze skombinowali—wszystkie rodzaje literatury są dobre, prócz jednego, prócz... nudnego.

Powiem prawdę: ja to sobie myślałem już przed końcem... w różnych punktach obu tomów!

Bohater Żeromskiego nazywa się Judym. Ojca miał szewca, pijacznę, nicponia. Wychował się zaś u ciotki ladcownicy, w najgorszych warunkach, w zgorzeniu i poniewierce. Sam jest doktorem i, zdaje się, człowiekiem bardzo porządnym. Skąd się to wzięło—niewiadomo. Ani z dziedziczości, ani z wychowania—więc skąd? Pewnie tak zrządził przypadek, który w całej powieści gra rolę decydującą.

Judym nie tylko skończył medycynę w Warszawie, ale pojechał na dalsze studia do Paryża. Tu przypadkiem spotkał panią Niewadzką, z jej dwiema pięknymi wnuczkami i jeszcze, zdaje się, piękniejszą panną Joanną Podborską. Po jakimś czasie wrócił do Warszawy i miał odczyt w gronie lekarzy. Odczyt się nie powiódł, najprędzej dlatego, że niepodobna było wyrozumieć, o co w nim chodziło, ale, bodaj, zbroiła tu i złość ludzka.

Jak na młodzieńca podziałało niepowodzenie i pewna kompromitacja—niewiadomo napewno. Bodaj, że się trochę wstydził, trochę gniewał, trochę zawzinał. Zawzinianie się jednak nie musiało być nadzwyczaj potężne, bo Judym nic dalej nie robi, tylko napróżno czeka na pacjentów.

Już jest z nim krucho, gdy przypadkiem dostaje miejsce w zakładzie kuracyjnym na prowincji, gdzie przypadkiem mieszka p. Niewadzka z wnuczkami i p. Podborską, które przypadkiem spotkał już raz w Warszawie.

Na nowem stanowisku Judym jest bardzo użyteczny, doprowadza do porządku szpital, podobno też robi i inne jakieś rzeczy, ma nadzieję kiedyś wszystko i wszystkich wziąć w garść, musi stoczyć walkę z samolubstwem ludzkim, z błagą, z omszałym porządkiem rutyny.

Ale tymczasem się zakochał. Z początku niewiadomo w kim; zdaje się w starszej wnuczce. Skoro jednak tę wykradziono, Judym przekonywa się przypadkiem, iż to panna Joanna stworzona na żonę dla niego. Był by się z nią ożenił z pewnością, gdyby przedtem nie zrobił awantury, całkiem przypadkowo, z administratorem zakładu. Musi wyjeżdżać. Zamierzał udać się do Warszawy, czystym przypadkiem znalazł się w Sosnowcu czy w Dąbrowie.



Tu otrzymał posadę, zawezwał Joannę, ale ponieważ przyjaciel jego zginął, czy zabił się, a on przypadkiem przeszedł koło wynędzniałych dzieci górników, więc bez ceremonji odprawia narzeczoną, deklamuje przytem jakieś banalne oklepanki, których człowiek dorosły wstydzić się powinien.

Co się dalej stało z Judymem i Joanną—niewiadomo. Takie urywanie powieści, gdy czytelnik spodziewa się znaleźć słowo najważniejsze, nakazane jest widoczne przez katechizm jakiejs szkoły literackiej. Tak przypuszczam, bo odrazu kilku autorów dało nam utwory, jakby pisane dla takiego urwanego końca: Kosiakiewicz, Sieroszewski, Żeromski.

Judym to nasz stary, dobry znajomy. Trochę się tylko odmienił z biegiem czasu, wskutek nowych wymagań literatury. Jest to syn ludu, dziecię nędzy, czujące w piersiach iskrę bohaterstwa, uniesienia szlachetne, potrzebę czynów niezwykłych.

Nawet w „Łobzowianach“ mamy postać podobną. Dużo jest ich w powieściach Korzeniowskiego, Kraszewskiego; ale najwięcej Judymów znaleźć się da u Bałuckiego. Tylko, że w powieściach Bałuckiego lekarz czy literat, syn szewca, pijaka, rysowany bywa wyraźnie: jest silny, rzuca się zuchwale do walki i albo zostaje bohaterem (Starzy i Młodzi), albo upada w walce z przewrotnością świata („Z obozu do obozu“). Dzisiejsza literatura ma taką jasność w pogardzie. I słusznie, bo ludzie z jednej bryły w rzeczywistości nie istnieją. Każdy miewa napady zamiarów bohaterskich, i każdy chwieje się wobec pokus, przeszkód i ciosów. To też Żeromski na obraz i podobieństwo innych autorów z tej samej falangi rozbełtał (wyrażenie w stylu Żeromskiego), zamącił swego Judyma pewną dozą Hamleta. Tak się przynajmniej zdaje, bo w powieści wyraźnie nie widać nic.

Życie Judyma upływa wśród drobnych, powszednich przygód, przez cały ciąg dwu tomów nie spotyka go żadna nadzwyczajna katastrofa. Każdy przeciętny człowiek, o którym nie piszą długich powieści i entuzjastycznych recenzji, zwalczać musi więcej przeciwności i znosić o wiele więcej, o wiele większych nieszczęść, nie tracąc przytem równowagi i pogody ducha, nie nudząc bliźnich. Judym tymczasem, bohaterskie dziecię nędzy, przy każdej sposobności wygląda jak pociąg, rozbity wykolejeniem: coś się w nim łamie, wybucha, świszczy, skrzypi, rwie. Byle drobiazg—pokazują mu się wizje; byle przykrość—wpada w zniechęcenie, apatię; świat cały i pokój, w którym się znajduje, przypominają mu wtedy deski trumny, a ludzie plugawe śmieci, rozwiewane przez wiatr. I wszystko to ciągnie się przez jedną, przez

drugą, trzecią... dziesiątą stronicę. Niczem nieusprawiedliwione, niezrozumiałe, a przedewszystkiem... nudne. Nie ponure, nie melancholijne, nie straszne, lecz jedynie nudne. Ten biedny Judym musi być chory, ale choroby takiej nie zna ani życie, ani medycyna, natomiast cierpią na nią bardzo często bohaterzy nowelek damskich, których się pisze bardzo dużo, a drukuje (chwała Bogu!) bardzo niewiele.

Największe nieszczęście, jakie spotyka Judyma (lekarza), jest utrata miejsca w uzdrowisku, do którego się przywiązał niewiadomo za co i po co, bo tam panuje malarja, a niedołęstwo i upór administratora zatruwa całą okolicę zgnilizną.

Drugą osobą powieści jest panna Joanna, panienka bardzo ładna, i zacna, i, zdaje się, rozsądna. Ale cóż, jakiś zły duch (zły dla czytelników) opętał ją manją pisania... dziennika. Tu już rachować na stronicę nie można—dziennik ciągnie się przez rozdziały całe! Znowu walki, łamania się, spowiedź duszy wyjątkowej—znowu wszystko podobne do wyznań nowelstek. Okropna nuda! W dodatku w mglistym obrazie nie możemy dokładnie obejrzeć duszy dziewczyczej, a co najgorsza, ta dusza wcale nam niepotrzebna. Z całego dziennika jeden tylko szczegół ma związek z dziejami Judyma: panna Joanna widziała go raz przypadkiem (naturalnie!) w tramwaju. Nic więcej.

Spieszę przyznać, iż w dzienniku jest jeden ustęp zabawny. Joannę w domu pp. Blumów, gdzie daje lekcje, ściga umizgami jakiś facet. Pod dniem 23 listopada panienka pisze: „Będę zmuszona do porzucenia lekcji... Musiałam się bronić. Dziś ch. m. w. w. p. i m. Popamięta on tę sekundę!“ Odgadnij czytelniku treść tych liter, ja nie mogłem.

Inne osoby są już mniej nudne, głównie dla tego, że się z nimi rzadziej spotykamy i krócej przestajemy. Do powieści dla tego, zdaje się, głównie zostały wprowadzone, aby czytelnik mógł się dowiedzieć, iż autor zna gruntownie Paryż, a bywał też i we Włoszech, Szwajcarji, zwiedzał fabrykę tytoniu, fabrykę stali, kopalnię węgla, oraz może ze znajomością rzeczy rozprawiać o medycynie. Podobno—tak mnie upewniano—jest w tem dużo „kolorytu“, ale ja dobrze nie rozumiem, co to słowo w danym wypadku znaczy.

Z całego personelu na wyróżnienie zasługuje tylko administrator uzdrowiska Krzywosąd Chobrzański. Jest to postać i ciekawa nieco i prawdziwa i nowa.

Powieść Żeromskiego ma też pewne pokrewieństwo ze starodawnymi romansami. Mianowicie wszystkie niemal osoby jego posiadają moc szczególną w oczach i w głosie, potrafią nimi wyrabiać rzeczy nadzwyczajne, zaglądać

w głąb duszy, nadawać coraz nowe wyrazy, uderzać, podnosić. A nigdy nie wiadomo, po co to robią!

Zwyczajny czytelnik niewątpliwie podzieli nasze zdanie o „Ludziach bezdomnych“ i nie zrozumie przyczyny zachwy-  
tów. Pochodzi to stąd, iż zwyczajnemu czytelnikowi nie są  
znane dogmaty katechizmu danej szkoły. Tu tkwi klucz nie-  
porozumienia. Dla wtajemniczonych bojowników tej samej  
falangi są tam zapewne subtelności godne podziwu i jakieś  
symbole, i arcydzieła psychologiczne. Kto klucza nie ma,  
kto dogmatów tej szkoły nie uznał ani za dobro, ani za pię-  
kno, ani za prawdę, dla tego wszystkie obrazy Żeromskiego  
zarówno natury jak duszy ludzkiej, są mętne, nieudolne,  
nudne.

Nazwano tę powieść „społeczną“. Dla czego? Pewnie  
wskutek treści nieudanego odczytu Judyma, którego nie zro-  
zumieli koledzy i niezrozumiał czytelnik. Może wskutek  
opisów podwórka, strychu w biednej dzielnicy Warszawy,  
no, i fabryk. Ale naprawdę, żadne zagadnienie społeczne nie  
zostało wplątane do powieści, nie powiedziano nic takiego,  
czego by setki powieściopisarzy nie oklepali przedtem do  
ostatniej granicy. To też czyta się wszystko bez wzrusze-  
nia, a przez cały ciąg dwu tomów ani jeden promyk humo-  
ru nie urozmaica szarej treści.

Jedyna scenka, sprawiająca niejakie wrażenie, jest wy-  
padkową przystawką, z biegiem powieści nic niczem związaną.  
To scenka u łóżka suchotnicy-matki. Rzecz napisana wed-  
ług starych wzorów, ale udatna.

Język Żeromskiego w tej powieści jest pretensjonalnie  
cudacki, znajdujemy tam np. pomysły takie: „oczy pełgały“,  
„opary miętosły się“, „słodkawa, tchórzliwie-zwycięska pod-  
świadomość“...

Domyślić się nietrudno, jakie słowa wyrwą się z ust  
a może i z pod piór falangi Żeromskiego po przeczytaniu ni-  
niejszego sprawozdania. Sam autor „Ludzi bezdomnych“  
mierzyć będzie nieprawość moją odległością zdania mojego  
od uniesienia przyjaciół. A jednak to nie ja go krzywdzę,  
lecz oni. W „Ludziach bezdomnych“ widać wyraźnie, iż  
autor od dymu kadzideł dostaje już zawrotu głowy, czy też za-  
sypia na laurach. Pewność siebie, przeświadczenie o swem  
znaczeniu nadaje powieści ton niesympatyczny, pozostawia  
jakiś osad niesmaku.

Nie o osobę Żeromskiego mi chodzi, bo go nie znam,  
i nie o literacki obóz—wszelkie kierunki dawały piśmiennictwu  
dzieła trwałej wartości. Ale mi żal tego skarbu cennego,  
tego daru bożego, którym się duch narodów karmi, a który

nazywa się talentem. Dużo się już u nas tych skarbów zmarnowało—żadnego nie skrzywiła krytyka, a wielu zgubili chwalcy. Więc strach ogarnia, gdy się czyta fałszywe krzyki uniesień, gdy się widzi rozkładowy ich wpływ, gdy zamiast postępu dostrzega się upadek.

Orzeszkowa napisała świeżo: „Trwoga jest cieniem, chodzącym za nadzieją“.

*Lach.*

## Argonauci.

*Powieść Elizy Orzeszkowej, 2 tomy, Warszawa 1900.*

Należę z pewnością do najgorliwszych wielbicieli Orzeszkowej, nie tylko talentu jej, ale zasług, ale tej czujności społecznej, która czyni z niej najbystrzejszą może obserwatorkę wszelkich zmian, wszelkich zjawisk życia naszego, a z dzieł jej robi prawdziwe zwierciadło ludzi, czasu, obyczajów.

A jednak niemogę powiedzieć, abym „Argonautów“ czytał z wielką rokoszą, abym zamykał książkę wzruszony, jak bywało z innymi powieściami Orzeszkowej.

Argonauci to ludzie samolubni, myślący wyłącznie o zgromadzeniu majątku, po który albo robią wyprawy odległe, albo o wyprawach myślą. Głównym typem argonautów w powieści jest przedsiębiorca, nazwiskiem Darwid. Wszystko mu się udaje, gdy chodzi o fortunę, bo dla niej wyłącznie pracuje, bo jej wyłącznie duszę swą poświęcił. Za to rodzina, opuszczona przez męża i ojca, idzie w gruzy. Żona prowadzi romans z jakimś facetem ni z pierza ni z mięsa, dwoje starszych dzieci wyrasta na dziwolągów, zarażonych żądzą użycia, cynizmem, sobkostwem. Wynikają zatargi, starcia, skandale i katastrofy, które zabijają trzecie dziecko, jeszcze zdrowe moralnie i przez wszystkich ukochane. Kończy się na tem, że matka z córką idą w świat w jedną stronę, syn w drugą, sam Darwid nie jest w stanie wytrzymać i pali sobie w łeb. Wypływa na wierzch prawda stara i niezawodna: samym chlebem człowiek nie wyżyje, tam tylko może być szczęście i zdrowie, gdzie jednostka przez rodzinę jednoczy się ze społecznością—uczuciami i myślą.

W „Argonautach“ to jest przedewszystkiem przykre, że nie widać ani jednego punktu jasnego, ani jednego człowieka normalnego. A Orzeszkowa tak porywająco typy dodatnie malować potrafi! W mroku oko ludzkie się znuży, a cóż dopiero umysł i serce. Ciężko, boleśnie! Trzecia córka Dar-

wida, Kara, to urocze dziecko, ale od pierwszej chwili każdy rozumie, iż ono wśród tych ludzi żyć nie będzie.

Autorka nie mówi, gdzie się rzecz dzieje, ale z treści wynika, iż chyba w Warszawie. Myśmy tu takich potworków jak młodzi Darwidowie, brat i siostra, jak Blauendorf nie spotykali. I wyrażen takich, jakich oni używają, a nawet nadużywają, nie słyszeliśmy. Orzeszkowa jest wielką dostrzegawczynią, a życie wielkomiejskie morzem rozległym, więc wierzymy łatwo, iż podobny gatunek ludzki gdzieś się wylęga i grasuje, ale to nie są okazy pospolite, a więc nie są ważne i niebezpieczne.

Co zaś do samego Darwida, to czy słusznie kojarzyć energję, pracowitość przemysłowca z bezwzględnem samolubstwem? Naprzód to się nie da wcale ani uzasadnić teoretycznie, ani stwierdzić praktycznie. Przemysł francuski np. wydał w wieku bieżącym największych może, najdalej wzrokiem sięgających filantropów. A i u nas można by znaleźć przykłady świetne żywych uczuć społecznych w sercach ludzi, podobnych do Darwida i z zajęć i z rezultatów pracy. Bieg spraw jest taki, iż Darwidów—kolosów pracy, pomysłowości, energii—kraj nasz potrzebuje i mieć musi. Są oni zarazem źródłem i skutkiem rosnącego przemysłu oraz handlu; argonatyzm występuje tu jako wypadek dodatkowy.

Jest oczywiście rzeczą wagi ogromnej, aby kompasem postępowania ludzi takich nie było samolubstwo, zysk osobisty. Społeczeństwo nasze niewątpliwie dociera w tej chwili do tego zagadnienia, zaś rozwiązanie stanowić będzie o wielu rzeczach w przeszłości.

Znowu podziwiać trzeba i czujność i przenikliwość Orzeszkowej. Ale jednocześnie rodzi się pytanie, czy w danym razie powieść jej występuje jako czynnik dla potrzeby publicznej użyteczny?

I tu właśnie tkwi wątpliwość nasza. Darwid Orzeszkowej jest zanadto jednorodny, z jednej bryły wykuty, bez wahań, bez słabości, bez żadnych popędów sympatycznych. Takich ludzi niema na świecie. Przez to Darwid nie jest do nikogo podobny, nie może więc być ani wzorem ani krytyką. Jeśli autor maluje nie jakiegoś zbrodniarza, wyrzutka, lecz wytwór życia, przy danych warunkach normalny, konieczny, powinien choć gdzieś w punkcie jakimś mieć dlań współczucie. Inaczej zgrzeszy przesadą, w twór swój ducha nie tchnie, uczyni manekina. Tak bodaj czy się nie stało z Darwidem.

Pomimo tych uwag, zalecamy każdemu powieść Orzeszkowej do przeczytania. Nic piękniejszego w tych czasach

nie wyszło. Jak we wszystkich powieściach Orzeszkowej, tak i w „Argonautach“ z każdej stronicy bije, chwyta czytelnika zupełne wcielenie się w życie społeczne przez wielką, gorącą, bezinteresowną a rozumną miłość. Nigdzie zaś nie urazi żadna pretensjonalność, żadne pozowanie, wszystko jest szczere, wszędzie treścią myśl głęboka, przetrawiona, odczuta. Orzeszkowa nie tylko patrzy i obserwuje, ale każdy szczegół życia naszego wywołuje w jej sercu bądź ból, bądź uciechę i udziela się czytelnikowi. Są to zawsze „gorne chwile,“ które człowiek spędza z książką serdecznej autorki.

Lach.

## Co i jak czytać.

*Wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne, przez Wł. M. Kozłowskiego, Warszawa 1900.*

Jestto spory tom; praca oryginalna autora polskiego. Zawiera wstęp zatytułowany: „Wykształcenie samego siebie i szkoła,“ oraz dwie części, każda złożona z wielu rozdziałów. Część pierwsza: *Wykształcenie i książka*. Rozdziały: Uboczne źródła wykształcenia. Potęga książek. Niektóre próby normowania czytelnictwa. Co znaczy prawdziwe wykształcenie. Żywiół ogólnie ludzki i żywiół narodowy w wykształceniu. Umiejętność czytania. Naturalne następstwo w czytaniu. Wybór książek. Jak czytać utwory poetyckie. Wiedza i wykształcenie. Publicystyka i życie. Część druga: *Synteza lektury i filozofja życia*. Rozdziały: Synteza lektury i filozofja życia. Moralność i szczęście. Pogląd na świat. Ideały. Jednostka i społeczeństwo. Na końcu znajdują się dodatki i zawierają spisy książek, zalecane przez Martin'a, Comte'a, Lubbocka, przez autora książki, wreszcie przez Chmielowskiego (literatura polska) i Korzona (historja polska).

W przedmowie autor powiada, iż dzieło to jest owocem kilkunastu lat namysłu i kilku lat pracy.

W możliwie bliskiej przyszłości postaramy się dać dokładną ocenę książki p. Kozłowskiego, zwrócić uwagę na różne szczegóły, tu spieszyliśmy tylko zawiadomić czytelników, iż praca taka się ukazała.

# Z DZIEDZINY NAUKI.

## **Plaga alkoholu.**

W sercach naszych budzi się żal i współczucie, gdy przeglądamy listy ofiar, poległych na placu boju. Te same uczucia, połączone z przerażeniem, ogarniają nas przy czytaniu opisów plag, które w postaci głodu, pomoru lub cholery, w rozmaitych okresach dziesiątkowały ludzkość. Otóż istnieje dzisiaj plaga daleko groźniejsza dla narodów niż wojna i pomór. Plaga ta, świeżej daty, łączy się niestety z wytworami cywilizacji, posuniętej do ostatecznych granic. Nie zabija ona swych ofiar wśród wrzawy bitwy, nie szerzy swych spustoszeń pomiędzy żałobnymi orszakami, przeciągającymi przez ulice miast, wyludnionych pomorem. Działalność jej jednak, choć nie rzuca się natrętnie w oczy, jest fatalna; po cichu, wytrwale ujawnia się ona bez przerwy. Zło toczy organizm społeczny na kształt raka, którego pochod jest stopniowy lecz niezawodny, bo wpada w główne źródła życia.

### **Plagą tą jest alkoholizm!**

Co rozumiemy pod alkoholizmem? Należy podać ściśle określenie tej nazwy, aby uniknąć w tym przedmiocie wszelkiej przesady. Alkoholizm nie jest to samo, co upicie się. Można przebrać niekiedy miarkę, a nie być alkoholikiem. Na odwrót, można być alkoholikiem, nie upiwszy się ani razu.

Alkoholizm nie bywa wynikiem umiarkowanego używania napojów wysokowych. Chcąc uczynić zbyt wiele, szkodziśmy często sprawie popieranej. Człowiek, który wypija kilka szklanek piwa przy obiedzie, chory, powracający do zdro-

wia, który używa wina, poleconego mu przez lekarza, robotnik, wreszcie, wychylający po pracy uciążliwej kieliszek wódki—nie może być zaliczony do nieszczęśliwych, dotkniętych plagą alkoholizmu. Alkoholizm nie ma nic wspólnego z powyżej przytoczonymi wypadkami; wystarczy odrobina zdrowego rozumu, aby zdać sobie z tego sprawę. Nie chodzi przecież wcale o zmuszanie całego świata do picia wyłącznie wody, mleka lub herbaty. Ustanowiwszy tę różnicę, rozpocząć można z tem większą stanowczością wojnę przeciwko rzeczywistej pladze.



Typ alkoholików według fotografii d-ra Sikorskiego prof. uniwersytetu w Kijowie.

*Alkoholik podlega w ogóle wstrząśnieniom gwałtownym, które wybuchają nagle silnie, bez związku z uczuciami stałymi i nie znajdują żadnego hamulca, żadnej przeciwwagi. Wskutek jednak chorobliwego podrażnienia mięśni, wyraz pozostaje jak maska nieruchomy, jak skamieniały, w bezmyślnym wyglądzie, który jest cechą zastarzałych alkoholików.*



Typy alkoholików we Francji.

Nadużywanie lub stałe używanie alkoholu — oto gdzie tkwi istota alkoholizmu.

Alkohol jest znany od dawnych bardzo czasów. Arabowie wynaleźli go w wieku XI i nadali mu tę nazwę.



Wyciągano go najpierw z wina (alkohol naturalny), następnie z owoców i ziarn, sfermentowanych w alembiku (alkohol przemysłowy). Płyn ten był przez kilka wieków wyłączanie wytworem pracowni naukowych. W wieku XVII używanie alkoholu rozpowszechniać się zaczęło wśród młodzieży na dworach monarszych. Nie zagrażało jednak wówczas jeszcze niebezpieczeństwo, ponieważ produkcja była niedostateczna, a cena wysoka. Nasz okres wielkiego rozwoju gospodarczego i postępu naukowego doszedł do wytwarzania alkoholu po niskiej cenie. Wyciąga się alkohol z kartofli, z buraków, z drzewa. Są to „alkohole przemysłowe“, zalewające rynki w sposób, umożliwiający całemu światu zatruwać się za bezcen.

Dzisiaj piją wszystkie warstwy społeczeństwa pod rozmaitemi pozorami. Robotnicy piją, aby uzupełnić pokarm lub zapobiedz niedogodnościom, połączone z niektórymi zawodami: kowal pije, aby ugasić pragnienie, wywołane żarem kuźni, górnik, aby oczyścić gardło z pyłu i t. p. Prawie każdy robotnik, udający się rano do pracy, zalewa czy „zabija robaka.“ W rzeczywistości zabija on sam siebie prędzej czy później, alkohol bowiem, spożywany najczęściej, przedewszystkiem jest zdradliwy. Włóścianie piją na targach i jarmarkach.



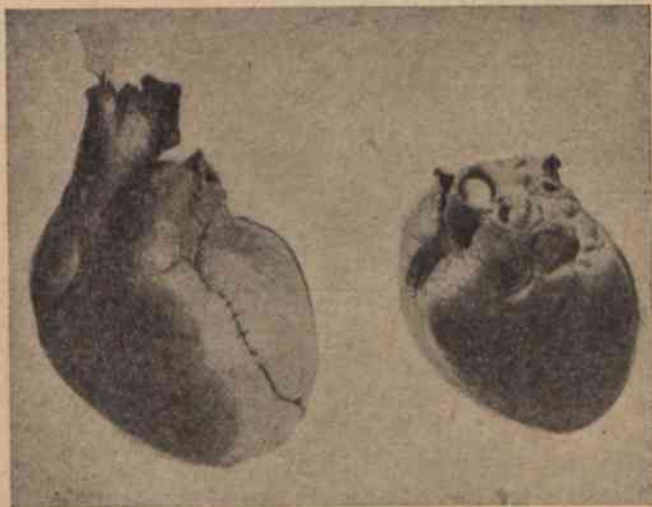
Typ kobiety alkoholizki według fotografii prof. Sikorskiego.

Chcąc zrozumieć należycie szkodliwe skutki alkoholu, uprzytomnić sobie na samym wstępie wypada, że alkohol jest zawsze i pod każdą postacią trucizną.

Alkohol z wina najczystszy, zastrzyknięty w dozie 45 gramów, zabija natychmiast królika wagi 4 kilogramów. Wśród 478 alkoholików, umieszczonych w jednym ze szpitalów szwajcarskich, dr. Forel naliczył 133 chorych (33%), którzy nie pijali nic innego tylko wino, piwo lub cidre (jabłecznik).

A przecie alkohol winny jest najmniej szkodliwy, wszystkie inne zawierają trucizn więcej i bardziej gwałtownych. Najgorsze są zaś dodatki, któremi pomysłowość fabrykantów zanieczyszcza wódki.

Weźmy np. dwa naczynia z wodą i rybkami złotemi, do jednego wpuśćmy 6 kropel kwasu pruskiego, a do drugiego taką samą ilość esencji piołunowej, używanej do zaprawiania wódek. Rybki zdechną w obu naczyniach, ale esencja piołu-



Serce człowieka dotkniętego alkoholizmem (waży 900 gramów)

Serce człowieka zdrowego (waży 250 gramów)

nowa prędzej je zabije. To daje dokładne pojęcie o rzeczy wobec tego, iż kwas pruski jest jedną z najgwałtowniejszych trucizn, para z niego już przyprawia człowieka o śmierć.

Mała doza alkoholu nie zabija i może nawet nie szkodzi, przynajmniej w tym sensie, że skutek jednego kieliszka wódki nieda się zauważyć. Niemniej każda kropla wódki czyni w organizmie człowieka spustoszenie pewne, które nie znika. Gdy codziennie do drobiazgu dodaje się drobiazg, rezultat wypaść może poważny, a fatalny. Tą drogą dochodzi się do *alkoholizmu chronicznego*.

Człowiek, dotknięty nim, nie wie o swoim nieszczęściu, zapada na różne choroby, cierpi na bezsenność, na żołądek, a nieznając źródła nieszczęścia, codziennie siłą jego sam powiększa.

Lekarze objaśniają nas, w jaki sposób alkohol działa na organizm. Przez żołądek wnika on, prawie bezzwłocznie w krew, którą zabarwia na czarno. Działalność jego jest natychmiastowa, ponieważ nie podlega on przemianie, a jest gwałtowna, ponieważ alkohol ulatnia się bardzo powoli przez skórę, płuca i nerki, które po drodze drażni. Gdy się raz dostał do organizmu, prowadzi dzieło śmierci bez przerwy.

Atakuje alkohol najpierw przyrządy trawienia. Żołądek, to rozszerzony u piwoszów, to skurczony u pijących wódkę, pokrywa się niebawem ranami, które mogą wywołać wymioty krwawe. Trawienie staje się uciążliwe, ponieważ osłabiona jest czynność soków żołądkowych. Zaflegmienie albo wymioty szlamiste są objawem tych zaburzeń. Wątroba nabiega krwią i powiększa swą objętość, staje się ciężką i obolą; jest to „wątroba tłusta“ pijaków, albo też znów się kurczy, a we wszystkich kierunkach przerastają ją tkanki twarde, skamieniałe. Smak znika, obieg krwi ulega zaburzeniom, drażnienie płuc ujawnia się w suchym i uporczywym kaszlu, prowadzącym prostą drogą do suchót.

Do jakiego stopnia dochodzi zanik smaku u pijaków i do jakich prowadzi w tym kierunku złudzeń, świadczy wypadek następujący: stary pijak w jednym szpitalu paryzkim nie chciał brać do ust przepisanego mu mleka, gdyż — upewniał — ono pali w gardle. Po cichu dostawał sobie spirytusu, zaprawionego piołunem, i twierdził, że to mu „delikatnie odświeża“ podniebienie. Niemniej niż wątrobę atakuje alkohol nerki, wywołuje w ich cierpienia, które prowadzą prostą drogą do przedwczesnej mogiły.

Najstraszniejsze spustoszenia sprowadza alkohol w układzie nerwowym człowieka: pamięć słabnie, w śnie ścigają człowieka zmyry, na jawie przywidzenia straszliwe; przychodzi paraliż lub warjactwo.

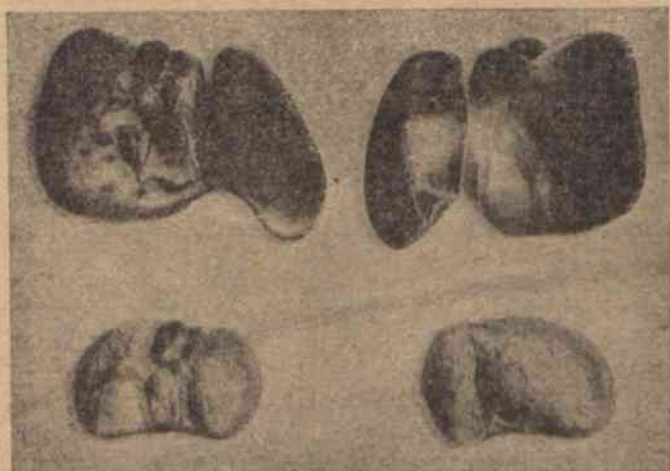
Każdemu alkoholikowi grożą konwulsje „delirjum tremens“, a to jest ostatni stopień upadku dla istoty ludzkiej.

Najświeżniejszy umysł pod wpływem alkoholu przyćmiewa się i gaśnie. Wszystkie narody Europy od tego wroga straciły wielkich poetów, artystów.

A wróg potężnieje w wielu krajach — gdzie mu tylko sił przybędzie, wraz z nim rośnie liczba samobójstw, obłąkań i zbrodni. We Francji liczba ogólna warjatów potroiła się w okresie od 1860 do 1892 r. Wzrost ten odpowiada ściśle zwiększeniu się używania napojów wyskokowych. Alkohol działa na zbrodniczość: dwie trzecie zbrodniarzy, umieszczonych w więzieniach, stanowią alkoholicy. Wpływa on na samobójstwa. W r. 1891 we Francji na 100 samobójstw 11 popełnionych zo-

stało przez alkoholistów. Na 1000 zarażonych alkoholizmem 300 rocznie dostaje suchot i umiera. Jeśli do tego doliczyć cyfrę śmierci wskutek chorób specjalnych, wpływających z alkoholizmu, i przypadki wszelkiego rodzaju, na które wystawieni są pijacy, to przekonać się łatwo, w jakim stopniu alkoholizm przyczynia się do zwiększenia śmiertelności.

Faktem zaś jest najstraszliwszym, że działalność alkoholizmu nie ogranicza się na dotkniętej nim jednostce. Wniknąwszy w organizm człowieka, alkoholizm skazuje na chorobę całe potomstwo tego człowieka. Alkoholizm jest dziedziczny. Jak owo starożytne „fatum,” które prześladowało



#### Wpływ alkoholu na wątrobę.

*Na górze widzimy wątrobę człowieka zdrowego u strony zewnętrznej i wewnętrznej. Na dole skurczona wątroba alkoholika ze śladami strasznego zniszczenia.*

daną rodzinę aż do ostatnich jej latorośli, napada on na następujące po sobie generacje aż do zupełnego ich wyniszczenia. Dzieci alkoholików obarczone są skrofułami, epilepsją, idiotyzmem. Tym sposobem alkoholik jest zarazem samobójcą i dzieciobójcą gorzej niż dzieciobójcą, bo przed śmiercią nieszczęśliwe ofiary nałogu ojca przechodzić muszą jeszcze długie, strasliwemęczarnie.

Oto przykłady:

Zastarzały alkoholik miał siedmioro dzieci. Dwoje najstarszych zmarło w młodym wieku, w konwulsjach. Trzecie zawarjowało mając lat 22, czwarte jest idiotą, piąte

również, szóste zdenerwowane w najwyższym stopniu i bliższe obłądu, siódme (córka) podlega napadom szału.

Inna rodzina.

Dziad był pijakiem, ojciec alkoholikiem. Dwanaścioro dzieci: osiem umiera w młodym wieku, w konwulsjach, Pozostaje dwóch chłopców, jeden epileptyk o zbrodniczych instynktach, drugi alkoholik z napadami obłądu, i dwie córki, jedna histeryczka, druga prostytutka.

Na 83 dzieci epileptycznych, badanych w szpitalu paryskim „la Salpêtrière,“ 60 miało rodziców pijaków.

Otoczono jaja kurze atmosferą, przesiąkniętą wyziewami alkoholu, a wylęgły się z tych jaj same potworki lub chore kurczęta.

Dano jeść alkohol sakom,—a szczenięta ich albo zdechły w młodym wieku, albo cierpiały na epilepsję.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nieodzownem następstwem alkoholizmu jest ruina materialna, umysłowa, moralna. W kraju, dotkniętym przez tą plagę, ustaje praca, zanika energia, upadają obyczaje.

Od alkoholizmu ginęły już rodziny, a mogą ginąć narody.

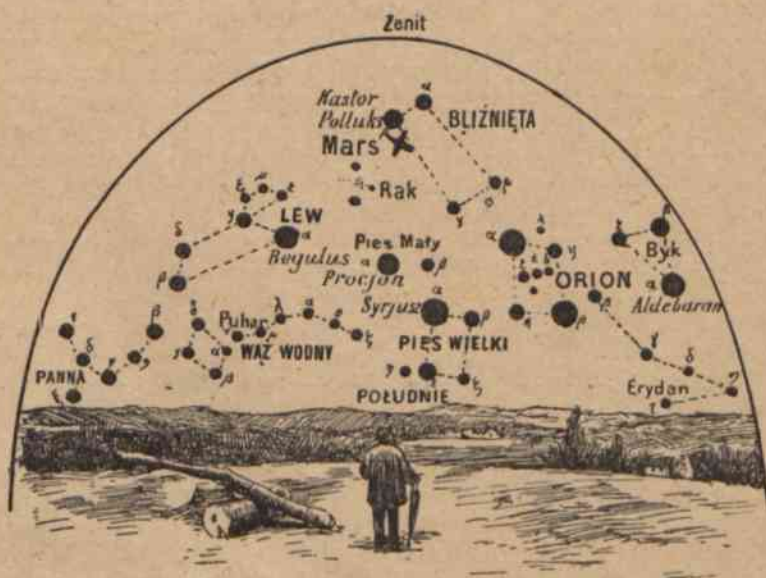
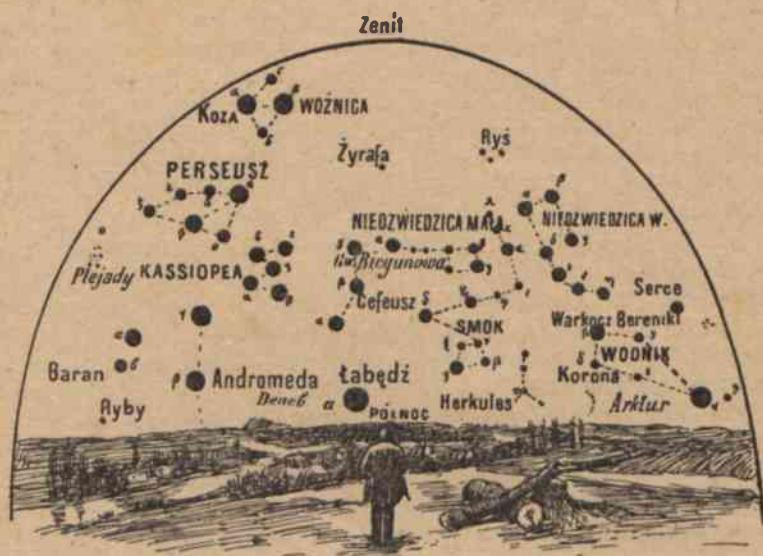
Szczególniej podobno Francja jest w tej chwili zagrożona. Co raz słyszeć się tam dają głosy pełne trwogi: ostrzegają, perswadują, błagają rodaków o litość nad samymi sobą.

„Niema do stracenia ani dnia, ani godziny, pisze patriota francuski. Wróg nietylko u bram naszych, nietylko w murach naszych, on u nas samych, w żyłach naszych. Jeśli największym wysiłkiem energii nie wyrzucimy go natychmiast i odrazu, on nas pokona. Przed Francuzami stoi wyraźnie zadanie takie: albo Francja zdobędzie się na środki nadzwyczajne ku zwalczeniu alkoholizmu, albo naród francuski zniknie z oblicza ziemi“.

L. P. T.

## Karta nieba na miesiąc Marzec.

Obróciwszy się na północ, w zenicie naszym nie widzimy żadnej gwiazdy większej. Nieco w lewo spostrzegamy *Woźnicę*, który, według podań starożytnych, przedstawia Erychtona, synu Wulkana i Minerwy, wynalazcę wozu, w czwórkę koni zaprzęzonego. Niżej widzimy *Perseusza*, *Kassjopeę*, *Andromedę* i *Barana*, dalej, na wprost siebie, jedną z najpiękniejszych gwiazd, *Łabędzia*,



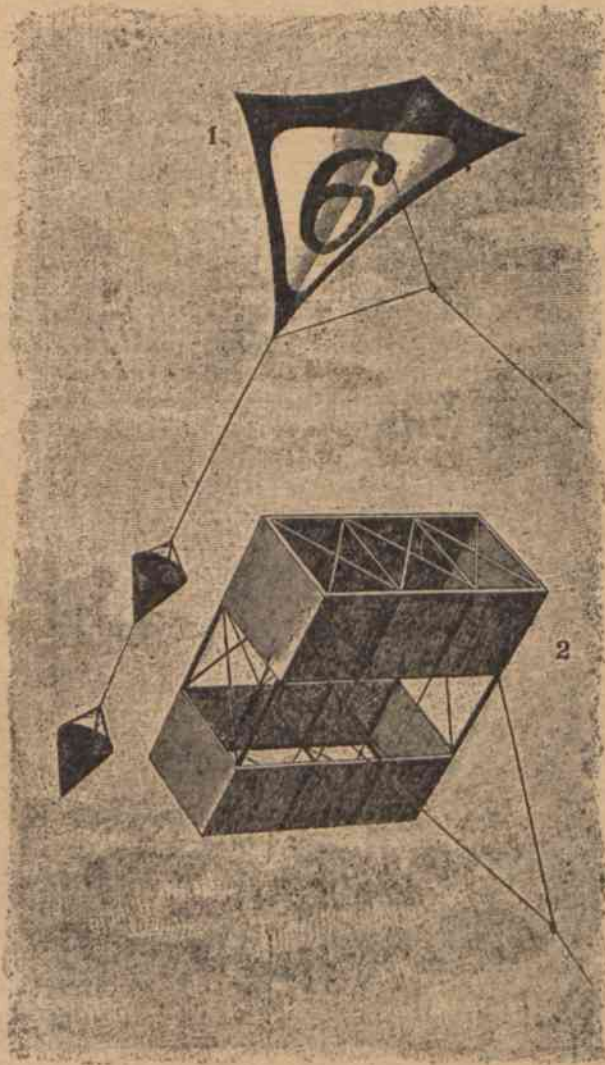
Dalej—gwiazdę *biegunową*, która jest prawie nieruchomą, gdyż zakreśla tylko koło o promieniu  $1^{\circ} 15'$  Chińczycy ją nazywają *Królem*, ponieważ wydaje się nieruchomą, a wszystkie inne gwiazdy krążą u jej stóp. We Włoszech nosi nazwę *gwiazdy zagórskiej* (*tramontane*), jako widzialna po za górami. Dalej na prawo widzimy *Smoka*, który strzegł jabłek złotych w ogrodzie Hesperyd i został zabity przez Herkulesa. Wyżej spostrzegamy *Niedźwiedzicę Wielką*, *Koronę* i *Wodnika*. W tej ostatniej konstelacji najpiękniejszą gwiazdą jest *Arktur*.

Na południu, znajdujemy *Bliznieta*; blisko zenitu, obok *Raka*, dalej konstelację *Psa małego* z gwiazdą 1-ej wielkości, *Procjonem* i konstelacją *Psa wielkiego* z taką gwiazdą, *Syrjuszem*, najpiękniejszą gwiazdą na niebie, czyli najjaśniejszem słońcem. Na prawo widzimy *Orjona*, *Byka* i *Erydana*. Na lewo—*Węża wodnego*, *Puchar* (Ikara czy też Bachusa) i nisko nad samym horyzontem *Pannę*.

Z planet widzimy wspaniałą *Wenus*, czyli *gwiazdę wieczorną*, wschodzącą zaraz po zachodzie słońca, *Merkurego*, który wcześniej jednak staje się niewidzialnym, *Jowisza* na wschodzie horyzontu, świecącego po północy i *Saturna*, który oświeca wschód w końcu nocy w konstelacji *Strzelca*. *Mars* jest niewidzialny.

**Latawce w nauce.** Latawiec, który oddawna był jedynie zabawką, obecnie stał się ważnym przyrządem do doświadczeń naukowych. Zwłaszcza amerykańscy meteorologowie chętnie posługują się nim, jak np. obserwatorjum Blue-Hill w Massachusetts. Niedawno latawiec tamtejszy osiągnął prawdziwie fantastycznej wysokości 3,791 metrów, czyli trzech i pół wiorst. Właściwie latawiec ten składał się z całego systemu latawców, w rodzaju tandemu, a ważył wraz z narzędziami meteorologicznymi około 40 funtów; przytrzymujący go drut stalowy ważył około 120 funtów. Automatyczne przyrządy, które latawiec niósł na sobie, notowały temperaturę i wilgoć powietrza, siłę wiatru i ciśnienie atmosferyczne. Cały szereg wzlotów wykazał, że na wysokości 3,000 metrów temperatura waha się między 6 i 17 stopniami niżej zera, oraz że cała siła wiatru wzrasta stale w wyższych warstwach atmosfery. Okazuje się, że latawiec nie tylko służy za narzędzie pomocnicze do przepowiadań metereologicznych, lecz dostarczył może wielu cennych wskazówek dla aeronautów. Pomysł użycia latawca do celów naukowych nie jest nowym. Już w 1749 r. szkot Aleksander Wilson puszczał latawca z przyczepionymi doń termometrami. Znane są także prace Franklina i innych uczonych. Były to jednak pojedyncze próby, nie znajdowały naśladowców i wkrótce ginęły w zapomnieniu. Obecnie latawiec stał się jednym z bohaterów dnia, wszyscy się nim interesują i uczeni

skwapliwie notują jego czyny. Być może, iż wkrótce puszczenie latawców stanie się sportem. Dołączony rysunek dowodzi, że latawiec, służący do celów naukowych, mało podobny do tych,



jakie w dzieciństwie budowaliśmy z arkusza papieru, wzmocnionego patykami i opatrzonego długim ogonem. Przy latawcu naukowym arkusz papieru zastąpiony bywa rodzajem pudła, dość



skomplikowanej konstrukcji, ogon zaś stanowią puste metalowe stożki. Niedawno w Wiedniu zbudowany został latawiec o dwóch sterach; prostopadłym i poziomym. Doświadczenia, robione z latawcem tym w okolicach Krakowa, stwierdziły, że przyrząd taki może unieść w górę ciężar wagi 80-ciu funtów.

**Wpływ muzyki na nerwy.** Oddawna zauważono, iż osoby, poświęcające się muzyce, bywają zazwyczaj bardzo nerwowe. Słyszeliśmy o znakomitych mistrzach, którzy rzucali w uczennice swoje ciężkie foljaly nut lub wybijali takt smyczkiem na głowie fałszującego ucznia. Lekarz niemiecki, Wetzgold, słynny specjalista w chorobach nerwowych, twierdzi na podstawie faktów, że muzyka wogóle, a gra na fortepianie w szczególności usposabia do wszelkiego rodzaju chorób nerwowych. Rzecz prosta, że mowa tu o nadużyciach, do których uczony lekarz zalicza uczenie muzyki małych dzieci. Szkodliwy wpływ muzyki oddziaływa najbardziej na młode dziewczęta, spędzające przy fortepianie po kilka godzin dziennie. Na 1000 kobiet, które zaczęły uczyć się muzyki przed 12-ym rokiem życia, 600 choruje na nerwy; przeciwnie zaś, z kobiet, niedotykających się nigdy do fortepianu, zaledwie dziesiąta część podlega chorobom nerwowym. Dr. Wetzgold przychodzi w rezultacie do wniosku, iż nie należy bezwarunkowo pozwalać na naukę muzyki młodzieży przed dojściem do 16 lat wieku.

**Różnice temperatury.** Za 80-tym stopniem szerokości północnej w Grinellandzie, (kraju podbiegunowym Ameryki Północnej) obserwowano dni, w których termometr wskazywał 71 stopni (Celsjuszu) niżej zera. W kraju zaś tuaregów w Saharze zachodniej upały dochodzą do 68 stopni. Gdyby człowiek mógł w jednej chwili przenieść się od bieguna pod równik, różnica temperatury wyniosłaby 139°. Takie zmiany temperatury znaleźć można i na znacznie mniejszych odległościach, gdyż podczas największych upałów na wysokości kilku wiorst nad głowami naszymi panuje zimno podbiegunowe. W sierpniu r. z. wypuszczono balon, zaopatrzony w przyrządy do notowań meteorologicznych, które wskazały, że dnia tego na wysokości 6,200 metrów (około 6 wiorst) zimno dochodziło do 80 stopni. W innych wypadkach przyrządy w balonach notowały temperaturę 67° niżej zera. Wiadomo także, iż w głębi ziemi temperatura stopniowo podnosi się. Tak np. na Szląsku w studni, niedochoodzącej 2-oh wiorst głębokości, termometr wskazywał 70° wyżej zera.

## *Dzieje Boerów.*

Siedm zaledwie dziesiątków lat minęło od czasu, kiedy rozległe krainy, stanowiące dziś rzeczpospolitą Transwalską, a zaludnione wówczas gęsto przez szczep Beczuanów i pokrewne mu plemię Bantu, stały się ofiarą najazdu idącej od północy dzikiej hordy Moselekacza, okrutnego wodza pokrewnych Zulom Matabelów. Co tylko ująć zdołało przed straszną rzezią, chroniło się do sąsiedniego szczepu Kafrów. Żyrafy, nosorożce, słonie bujały po olbrzymich przestrzeniach, zasianych gruzami, na miejscu, gdzie dziś wznoszą się bogate miasta, jak Pretorja, Johannesburg. Ten najazd od północy natrafił w pochodzie swym na drugą falę ludów, płynącą od południa; były to pierwsze szeregi wielkiej emigracji holenderskiej z angielskiej kolonji Przylądka w latach 1835—1837. Po zaciętej walce zmusiły tłumy wychodźców dzikich najeźdźców do cofnięcia się w kierunku północno-zachodnim, do tej części Afryki, położonej między rzekami Limpopo i Zambesi, w której Matabelowie do dziś dnia przemieszkują pod następcami Moselekacza.

Boerowie (t. j. chłopci, od Bauer) holenderscy, którzy tego trudnego dzieła dokonali, byli potomkami owych kolonistów holenderskich, których w XVII w. osiedliła wschodnio-indyjsko-holenderska kompanja. Wkrótce po osiedleniu się ich wzmogła się liczba kolonistów europejskich przez przybycie wielu Hugonotów francuzkich, którzy po zniesieniu

edyktu nantejskiego w r. 1685, pragnąc zachować wolność wiary, tłumnie opuszczali Francję i przenosili się najpierw do Holandji, a ztamtąd, za namową i na koszt kompanji, przewożeni byli do kolonji Przylądka. Kompanja holenderska zrobiła niezawodnie dobry uczynek, stwarzając dla tych dobrowolnych wygnańców francuzkich nową ojczyznę na dalekiej ziemi afrykańskiej, z drugiej jednak strony środki, jakich używała dla wyzucia przybyszów z ich narodowości, obniżyły w znacznym stopniu wartość tego dobrodziejstwa.

Wydane zostało mianowicie prawo, wzbraniające francuzkim kolonistom używania języka ojczystego w stosunkach z rządem kolonjalnym; co więcej, nie mogli go używać przy wykonywaniu praktyk religijnych w kościele. Okoliczność ta, jak również przewaga liczebna kolonistów holenderskich, tłumaczy fakt, że się tak szybko zatarło poczucie odrębności narodowej wśród Francuzów, osiadłych w Afryce. Dziś jedynie nazwiska o brzmieniu francuzkiem, jak Du Plessis, Joubert i t. p. przypominają, że właściciele ich niegdyś Francję ojczyzną swą nazywali. O pochodzeniu francuzkiem przypominają również tu i owdzie rysy twarzy, ciemne oczy, ciemne włosy, jak niemniej żywe usposobienie, zamiłowanie do dowcipu i inne cechy umysłowe. Biorąc jednak na ogół, zamieszkała tu ludność, na którą złożyły się czynniki francuzki i holenderski, przejęła się w zupełności obyczajami i zwyczajami niderlandzkiemi.

Boerowie, od chwili osiedlenia się w Afryce, byli zawsze narodem spokojnym, skromnym, pracowitym, silnym i szczerze przywiązanym do swego kościoła reformowanego. Wybitną cechą ich charakteru jest zamiłowanie ogniska rodzinnego, które zmusza ich do ciągłej a usilnej pracy dla dobra i szczęścia najbliższych. Nie o pieniądzach marzy Boer, ale o tem, żeby kawałek ziemi, będący jego własnością, jaknajlepiej obrobić. To też wielkość spadku nie mierzy się u nich ilością odziedziczonych pieniędzy, lecz dobrocią i wydajnością ziemi. Jakiś patryarchalny, konserwatywny rys cechuje cały naród Boerów; przywiązany szczerze do dziedzictwa swych ojców, do obyczajów i mowy ojczystej, gotów

jest ostatnią kroplę krwi przelać w obronie tych nietykalnych świętości.

Los chciał, że właśnie ten spokojny i łagodny naród musiał, dzięki chciwości ludów oświeconych i nieoświeconych, przez cały niemal wiek tułać się z kąta w kąt, ostrzem miecza torować sobie drogę, potokami krwi, wylanemi w obronie niezależności, znacząc swe ślady. Nie da się też zaprzeczyć, że srogie te przeciwieństwa losowe zrobiły z spokojnych i łagodnych Boerów z biegiem czasu ludzi upartych, którzy w narzucanych sobie, choćby nawet bardzo użytecznych reformach, widzą tylko targnięcie się na ich wolność, na dawne przywileje.

Wielki jednak błąd popełnił od samego początku angielski rząd kolonialny przez stanowisko, jakie zajął wobec kwestji niewolnictwa w Afryce południowej. Pragnąc z jednej strony szczerze zniesienia tego hańbiącego dla ogółu ludzkości stanu, z drugiej strony, przy urzeczywistnieniu tych pragnień, zbyt mało uwzględniał stosunki, panujące wśród kolonistów miejscowych. Koloniści holenderscy obchodzili się z niewolnikami swymi daleko lepiej, aniżeli mieszkańcy innych kolonji, zniesienie więc niewolnictwa w tych warunkach, w jakich to uczynili Anglicy, wywołało wśród nich słuszne rozgoryczenie i skargi na straty pieniężne, wywołane przez nagłe pozbawienie ich rąk do pracy. Bezpośredni następstwem tego niezadowolenia było właśnie owo tłumne wychodźstwo Holendrów z kolonji Przylądka w r. 1837. Że grały w tem rolę czynniki nietylko materjalne, ale i moralne, dowodem fakt, że nietylko ludzie biedni opuszczali kraj, z którym wiązała ich przeszłość dwuwiekowa. Wszyscy bez wyjątku Boerowie, biedni i bogaci, rzucali ojcowiznę i niepewni jutra szli w daleką pustynię, rozciągającą się z przeciwnej strony rzeki Oranje.

Ta wędrówka, czyli t. zw. w gwarze holenderskiej „*Trekken*“ poza granice kolonji, było z dawien dawna właściwością Boerów; i nie zdołały temu zapobiedz surowe nawet środki, przedsiębrane przez gubernatorów Przylądka. Tym jednak razem zniesienie niewolnictwa było powodem wychodźstwa tak tłumnego, jakiego dotąd kraje te nie widziały:

w ciągu kilku lat 10 tysięcy kolonistów porzuciło posiadłości angielskie, szukając szczęścia i nowej ojczyzny poza ich granicami.

Ruszyło więc poza rzekę graniczną olbrzymie mrowie ludzi, uwożąc na ciężko ładownych wozach swój dobytek. Po 2 długich latach, pełnych znoju i trudu, zaciętych walk z lwami i krwiożerczymi Matabelami, znaleźli się wychodźcy u stóp gór Smoczych. Przed nimi roztaczał się kraj, o którym marzyli w długiej wędrówce. Był to dzisiejszy Natal. Nad rzeką Tugelą napotkali szczep Kafrów i Zulów. Wódz ich Dingaan ostąpił im wprawdzie za pewne umówione wynagrodzenie wielki kawał ziemi, nie przeszkodziło mu to jednak pewnego pięknego dnia, po podpisaniu umowy, wymordować całą deputację. Było to w r. 1838. W sercach Boerów zawrzało straszne pragnienie zemsty. Przysięgli sobie, że nie spoczną, póki nie zemszczą się za „krwawą niedzielę.“ Nie odstraszała ich liczebna przewaga przeciwnika. Z początkiem r. 1840 przekroczyli Tugelę i w bitwie, stoczonej w styczniu pod Veethkop, sprawili straszną rzeź w szeregach nieprzyjacielskich. Dokonawszy dzieła zemsty, powrócili do Natalu i 14 lutego 1840 r. proklamowali uroczyście rzeczpospolitą Batawię.

Ale to nie zgadzało się wcale z zamiarami angielskiego rządu Przylądka, który już wówczas zwolna starał się rozszerzyć wpływ swój na całą Afrykę południową. Aczkolwiek Anglicy nie rościli sobie żadnych pretensji do posiadłości, na których powstało nowe państwo i aczkolwiek państwo to przedzierał nawet od kolonji ich wązki pas ziemi Zulów, mimo to dalecy byli od uznania praw młodej rzeczpospolitej Boerów, jak również utworzonej wkrótce potem rzeczpospolitej Orańskiej. Od samego początku stosunek obu tych wolnych państw do Anglii był naprężony i Anglja chętnie byłaby je niezawodnie podbiła, gdyby jej nie były odbierały swobody ruchów częste wyprawy łupieckie Kafrów. Ażeby się choć trochę zabezpieczyć przed nimi, zawarł ówczesny gubernator kolonji Przylądka w r. 1840 przymierze z Kafram, poczem już w maju 1842 r. czuli się Anglicy do tego stopnia silni, że, pod pozorem, jakoby Natal był właści-

wie posiadłością angielską, mogli tam posłać znaczniejszą załogę wojskową. W r. 1843 wcielony został Natal do kolonji angielskich.

Boerowie, którzy wolność swą i niezależność tak drogo okupili, dalecy byli od pogodzenia się z tym stanem rzeczy. Chwycili powtórnie za broń, osaczyli załogę angielską w Durbanie, i byłiby ją niezawodnie wzięli w całości do niewoli, gdyby nie posiłki, nadesłane w ostatniej chwili. Dłuższy opór chybiłby celu, poddali się więc władzy królowej angielskiej, zwłaszcza że głównodowodzący armią angielską, rodowity „Afrykander,” ofiarował im warunki bardzo łagodne. Była jednak większość takich, którzy [nie zgodzili się żyć pod berłem angielskiem; po raz więc drugi zebrali swój dobytek, a naładowawszy go na wozy, ciągnięte przez woły, ruszyli po raz drugi w dziką pustynię. Zanim jednak opuścili umiłowany kraj, spróbować chcieli, czy nie zdołają zmienić swego położenia przez zwrócenie się wprost do gubernatora kolonji Przylądka. Trudnej tej misji podjął się sędziwy, sterany w bojach z Zulami, Andrzej Pretorius. Dosiadłszy konia, puścił się w drogę długą, znojną i niebezpieczną. Gdy wreszcie po przebyciu 1440 klm. stanął u granic kolonji angielskiej, przekonał się, że nie będzie mógł uzyskać posłuchania u gubernatora, który zgadzał się porozumieć się z wysłannikiem Boerów piśmiennie, mówić z nim jednak nie chciał. Przed odjazdem przesłał Pretorius gubernatorowi dłuższy list, który się kończył następującym charakterystycznym ustępem: „Gdzie był rząd z swoją władzą opiekuńczą, gdyśmy wśród nędzy i trudów toczyli krwawą walkę w dzikiej pustyni? Prawda, żeśmy sami chcieli tak a nie inaczej, gdyby nas jednak pozostawiono własnemu losowi, nie byłibyśmy naszego kroku nigdy żalowali i potrafilibyśmy utworzyć dla siebie dostateczną opiekę. Co jest przyczyną, że od chwili przybycia żołnierzy angielskich do Natalu, liczba nas nie zwiększyła się ni o jednego holenderskiego przybysza, aczkolwiek bogactwa kraju zachęcały do tego? Jakież niewygody znosić musimy w pustyni i co jest tego powodem? Oto to, że jej królewska mość raczyła Natal otoczyć łaskawą swoją opieką, i że opieka ta przez większość

tych, którzy jej doświadczyli w kolonji Przylądka, uważana jest za rozbój, ujarzmienie, zgubę. Wracam jutro z ciężkiem sercem do Natalu. Nie dopiąłem celu, dla którego setki mil znosiłem trudy i niewygody, dla którego odjechałem żony i dzieci, pozostawionych bez żadnej opieki. Przebyłem więc długą drogę bez żadnej potrzeby i wracam do moich wyborców, żeby im donieść, że go ani widziałem, ani słyszałem, tego lwa kolonji, pana Henryka Pottingera.“

Pretorius powrócił więc do domu, nic nie wskórawszy, nie uzyskawszy posłuchania u gubernatora. Odmowa ta miała skutki bardzo dla obu stron niepożądane, była bowiem początkiem drugiej tłumnej wędrówki większej części oburzonych Boerów. Rzucają zagrody z żonami i dziećmi i wędrują przez góry Smocze, do zamieszkałych z tamtej strony rzeki Oranji, współplemieńców, posiadających własną, wolną ojczyznę; u nich szukać chcą spokoju, którego ich bezlitośnie pozbawiła Anglja. Napróżno następcą Pottingera [na stanowisku gubernatora Przylądka, Sir Harry Smith, który gorąco pragnął rozszerzyć wpływ angielski na północną część kolonji, dokładał wszelkich starań, ażeby Boerów odwieść od tego zamiaru. Postanowienie ich było niezłomne; oświadczyli wręcz, że nie są w stanie bez opieki i obrony żyć wśród Kafrów. Gdy im gubernator zapowiedział, że i tę ziemię, na której się osiedlić zamierzają, ogłosi natychmiast jako własność angielską, oświadczyli, że albo oprą się temu z bronią w rękę, albo też powędrują jeszcze dalej na północ. Anglja jednak, która z chciwością dążyła do rozciągnięcia swego panowania nad całą Afryką, nie dała się odstraszyć tą groźbą; i rzeczywiście, już w kwietniu 1848 r. ogłosił Harry Smith zwierzchnictwo angielskie nad całym terytorjum orańskim, nadając mu nazwę „Oranje-River-Sovereignty.“ Słusznie też uważali to Boerowie za nowy zamach na swoje prawa, zagwarantowane im w umowach pisanych; nowa wojna była nieunikniona. W mgnieniu oka wypędził Pretorius urzędników angielskich z okręgu Winburg i stanął pod murami Bloemfontein, zmuszając załogę angielską do poddania się. Gdy jednak oręż angielski odniósł w sierpniu wielkie zwycięstwo pod Bloemplaats, nie pozostało Pretoriusowi nic

innego, jak powędrować z Boerami swymi raz jeszcze dalej na północ. Przeszedłszy rzekę Vaal, założyli tu nową osadę, Transvaal, albo, — jak ją później urzędownie nazwano — „rzeczpospolitą południowo-afrykańską.“

Anglicy, którzy obecnie prócz angielskiej kolonji Przyładka posiadli cały Natal i t. zw. „Orange-River-Sovereignty,“ drogo opłacić musieli tę nową zdobycz. Polityka ich, jakiej się trzymali względem ludności tubylczej, polegająca na wielkiej względności i łagodności względem dzikich Kafrów i ciągłym podszczuwaniu ich przeciw Boerom, wydawać począła wyniki, dawniej już przepowiadane. Rząd angielski nie zdawał sobie nigdy sprawy z tej przykrej wprawdzie i smutnej, ale istotnej prawdy, że dla ludów dzikich niewolnictwo, wykonywane w tej łagodnej i patryarchalnej formie, jak to miało miejsce u Boerów, jest szkołą moralności i dobrych obyczajów, że człowiek dziki, jeżeli niema zginąć, musi być najpierw do przyjęcia wolności odpowiednio przygotowany, że więzy, któremi go skępowała cywilizacja, nie mogą być zerwane nagle, lecz muszą być zwolna rozluźniane, i dopiero po dłuższym czasie zupełnie zdjęte. Tej prostej prawdy naród angielski nie pojmował nigdy. Przejęty poczuciem miłości chrześcijańskiej, stara się naukę Chrystusową o równości i braterstwie zamienić w czyn i trzyma się, przynajmniej urzędownie, owej polityki barbarzyńskiej ludzkości, która pozorną wolność dzikich szczepów okupywać każe niewymowną nędzą innych ludów a niekiedy i potokami krwi. W innych wypadkach zawsze tak praktyczny Anglik, nie czuje wcale, że postępuje tu jak marzyciel; co więcej, dumny jest nawet z siebie, pomimo ciągłych niepowodzeń tej polityki, pomimo zgubnych rezultatów, jakie nagła emancypacja Czarnych wszędzie wydała. Gdzie podobne zapatrywania są podstawą, na której rząd i naród buduje swoją politykę, tam na zatarg z smutną rzeczywistością nie długo czekać trzeba.

I w Afryce południowej wybuchały raz poraz zacięte i krwawe wojny między Anglikami i Kaframi. Anglicy, pragnąc dzikich trzymać na wodzy, zagarniać musieli coraz to większe obszary. Pociągało to za sobą, rzecz prosta, olbrzymie koszta. Rząd angielski zapóźno się ocknął, że tak dalej



być nie może. Komisarze angielscy postanowili więc pozyskać sobie najprzód przyjaźń Boerów, osiadłych na północnym brzegu rzeki Vaal, przez uznanie ich niezależności, przez co równocześnie wrogo względem nich usposabiali mieszkańców wolnego państwa Orańskiego. W ten sposób w dn. 17 stycznia 1852 r. przyszło między Anglią i Transvaalem do umowy, t. zw. „Sand-River-Convention,” której najważniejsze postanowienia były:

„Komisarze, upelnomocnieni przez rząd angielski, pozwalają wychodźcom z tamtej strony rzeki Vaal rządzić się własnymi prawami, bez żadnej ze strony Anglii ingerencji. Rząd angielski niema również prawa mieszać się w jakikolwiek sposób do spraw kraju, położonego na północ od rzeki Vaal. Rząd angielski zastrzega sobie również, żeby w kraju tym ani dziś ani na przyszłość nie było wykonywane niewolnictwo w jakiegokolwiek formie.“ Piąty artykuł wreszcie pozwalał wychodźcom boerskim zakupywać amunicję w kolonjach angielskich, obie zaś strony zastrzegały wzajemnie, że nie będą sprzedawać amunicji ludności tubylczej.

Zamiary Anglii, polegające na tem, ażeby przez uprzywilejowanie jednego z państw, sąsiadujących z sobą, a przedzielonych tylko rzeką Vaal, uczynić mieszkańców ich dla siebie obcymi, udały się na razie wprawdzie, ciągle jednak powstania plemienia Basutosów skłoniły Anglię już w r. 1854 do przyznania Boerom z „Orange-River-Sovereignty“ tych samych przywilejów, z jakich korzystali rodacy ich z tamtej strony rzeki Vaal.

Teraz więc dopiero mogły się obie rzeczpospolite boerskie uważać za zupełnie niezależne. Nie trwało to jednak długo. Gubernatorowie angielscy czyhali tylko na sposobność, ażeby znowu uzyskać wpływ na bieg spraw tych państw, a zamiarom ich sprzyjał w wysokim stopniu słaby ustrój państwowy obu rzeczpospolitych. Sposobność ta nie dała długo na siebie czekać. Odkrycie bogatych kopalni djamentów nad rzeką Vaal rozbudziło na nowo chciwość Anglików. Niepomni zawartych umów, zajęli bezprawnie część ziemi, która dotychczas stanowiła niezaprzeczoną własność państwa Orańskiego. Wprawdzie budowa kanału Suezkiego i nadzieja

owładnięcia nim obniżyła znacznie w pojęciu Anglików wartość kolonji południowo-afrykańskich, trwało to jednak krótko. Gdy w r. 1867 odkryto w pobliżu Oranje-River olbrzymie bogactwa djamentów, a wkrótce potem także obfite pokłady złota, postępowanie Anglii zmieniło się w jednej chwili. Zagarnięcie bezprawne kraju Griqua, będącego dotąd — własnością państwa Orańskiego, przyszło jej z równą łatwością, jak przedtem obdarzenie państwa tego wolnością. I nie tajono się teraz wcale w Londynie z tem, że udzielenie niezależności państwom boerskim było wielkim błędem politycznym i że w w interesie pomyślnego rozwoju kolonji południowo-afrykańskich należałoby błąd ten naprawić przez powtórne pozbawienie wolności mieszkańców tych krajów.

Sposobność do tej naprawy nadarzyła się wkrótce. Długo tajona nienawiść, jaką przejęte były dzikie szczepy Zuluów, Beczuanów i Matabelów względem Boerów transwaalskich, wybuchło w końcu w otwartej wojnie. Dzicy zwrócili się po pomoc do Anglików. Anglija nie odmówiła, choć tylko pośrednio; 12 kwietnia 1877 r. ogłoszona została proklamacja, uznająca rzeczpospolitą transwaalską za posiadłość angielską i zaprowadzająca tam rządy angielskie. Gdy osobiste zabiegi Pawła Kruegera w Londynie, ażeby zapobiedz przyłączeniu Transwaalu do Anglii, nie odniosły skutku, zaczął wspólnie z Joubertem i Pretoriusem przygotowywać naród do zbrojnego powstania. W całym kraju odbywały się zebrania patryjotyczne, a forma przysięgi, jaką uchwalilo w r. 1879 zebranie najwybitniejszych obywateli w Wonderfontein, świadczy najwymowniej o zapale, z jakim dzielny ten naród przygotował się do obrony wolności.

„W obliczu Boga Wszemmocnego — brzmiała przysięga — który zna serce nasze i którego pomocy błagamy, my, obywatele rzeczpospolitej afrykańskiej postanowiliśmy w naszym i dzieci naszych imieniu złączyć się w święty związek, stwierdzony uroczystą przysięgą. 40 lat mija, jak ojcowie nasi, przejęci pragnieniem wolności i swobody, opuścili kolonję Przylądka. Stworzyliśmy Natal, wolne państwo Orańskie i rzeczpospolitą południowo-afrykańską; rząd angielski trzykrotnie zdeptał naszą wolność. Sztandar nasz, skąpany

w łzach i krwi ojców naszych, został zdarty. Okres ten 40 letni był jednym pasmem trosk i udręczeń. Jak złodziej w nocy, ukradła nam Anglja naszą Rzeczpospolitą. Nie możemy i nie chcemy tego ścierpieć. Bóg chce tego, że zgoda i jedność ojców naszych i miłość ku dzieciom zmusza nas, ażebyśmy potomkom naszym oddali dziedzictwo ojców nietknięte. Jednoczymy się też wzajemnie, a podawszy sobie dłonie jak mężowie i bracia, przyrzekamy uroczyście, że krajowi naszemu i ludowi dochowamy wierności i, z okiem w niebo, do ostatniego tchnienia pracować będziemy dla podźwignięcia naszej Rzeczpospolitej, Tak nam, Panie Boże, dopomóż“.

Takimi uczuciami przejęci wyruszyli Boerowie w końcu stycznia 1880 r. na pole walki za wolność. Dnia 16 grudnia nastąpiło ogłoszenie wolnej Rzeczpospolitej; w niespełna 3 miesiące potem, po licznych walkach, w których zabłysnął oręż Boerów, w których, jak np. pod Majuba-Hill udało się im rozbić w puch przeważające zastępy Anglików, ujrzeli się rzeczywiście wolnymi. W całym Trnswaalu nie było ani jednego Anglika. Żeby uniknąć dalszych klęsk, zawarła Anglja konwencję w Pretorji, uznającą niezależność Transwaalu. W r. 1884 umowę tę zawieszono i zamieniono ją na inną, która zabraniała jedynie Boerom zawierać przymierza z obcemi państwami z wyjątkiem Orańskiego. O zwierzchnictwie Anglji umowa ta nie wspomina wcale.

I oto Boerowie musieli znowu chwycić za oręż w obronie swej wolności. I znowu zawrzała w Afryce zacięta walka, która tyle krwi już kosztowała, a niewiadomo, wiele jeszcze jej popłynie. Ale może niedaleką jest chwila, w której dzielni obrońcy swej ojczyzny z dumą spoglądać będą mogli na dzieci, bo im wiernie dochowali przysięgi i nietkniętą oddali ojców spuściznę.

L.

## Z DZIEDZINY POLITYCZNEJ.

W dalszym ciągu powszechną uwagę zwracają na siebie wiadomości, nadchodzące z Afryki południowej, gdzie od kilku już miesięcy drobny, lecz bohaterski naród prowadzi rozpaczliwą walkę z potężnym najeźdźcą. Dotychczas walkę tę wieńczy skutek pomyślny dla Boerów; nie wiadomo jednak, jak się ukształtują stosunki na widowni boju, skoro Anglja zgromadzi na niej wszystkie swe siły. Nie ulega już bowiem dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że naród angielski w ogromnej swej większości pragnie lekkomyślnie podjętą, niesprawiedliwą i zbrodniczą tę wojnę przeprowadzić aż do skutku, t. j. aż do ujarznienia dwóch rzeczypospolitych południowoafrykańskich. Takiego zamiaru dowodzi przedewszystkiem przebieg świeżo ukończonych w angielskim parlamencie obrad nad adresem do korony. W toku tych obrad odbywały się, co prawda, dość liczne głosy protestu; głosy te jednak zwracały się wyłącznie prawie przeciwko niedołęznemu przygotowaniu i prowadzeniu wojny, nie zaś przeciwko samej wojnie. W tym punkcie zgadzała się, pomijając nieliczne wyjątki, opozycja ze stronnictwem rządowem, że należy wyżyć wszystkie siły kraju, aby zapewnić sztandarowi angielskiemu zwycięstwo.

Ofiarność ta, czy brutalna żądza panowania, posuwa się tak daleko, że opinia publiczna w Anglji godzić się już zaczyna z myślą zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej. Zważyć zaś należy, że byłby to krok, z którym pod względem doniosłości równaćby się nie mógł żaden inny wypadek w dziejach Anglji. Krok ten wywołałby taki przewrót w stosunkach angielskich, że Anglja nie byłaby już

dawną Anglią. Gospodarcze, polityczne i psychologiczne względy sprzeciwiały się w tem państwie, nawet w czasach najkrytyczniejszych, zaprowadzeniu powszechnej służby wojskowej. Anglik, jak słusznie zaznacza jeden z dokładnych znawców stosunków angielskich, nie jest do tego stopnia, co mieszkaniec stałego ładu Europy, przywiązany do swej ziemi rodzinnej. Jego ojczyzną jest „większa Brytania“, rozpościerająca się we wszystkich częściach świata, i przyjmująca chętnie nadmiar sił z kraju macierzystego. Angielski ojciec rodziny rzadko kiedy ma sposobność gromadzić około siebie swych synów, lub przywoływać ich do siebie z niewielkiej odległości. Są oni rozproszeni po wszystkich stronach świata, jeden majtkiem na morzu, drugi lekarzem w Australji, trzeci kupcem w Indjach. Szerzą oni kulturę angielską po całym świecie i zakładają ogniska cywilizacji w okolicach, w których przed kilkudziesięciu jeszcze laty panowali barbarzyńcy i ludożercy. Przynosi to olbrzymie korzyści krajowi macierzystemu; chroni go z jednej strony przed najgorszym rodzajem przeludnienia, przed nadmiarem proletariatu umysłowego, a z drugiej zapewnia jego przemysłowi nowe rynki zbytu i ożywia jego handel. Nie flota angielska, nie armja kolonialna stworzyły potęgę Anglii; stworzyli ją synowie rodzin angielskich, którzy z męstwem, cechującym wyspiarzy i nie krępując się przywiązaniem do ogniska domowego, wyruszyli w najodleglejsze nawet strony, jako pionierowie i oficerowie narodowej kultury. Ale w Anglii nie było ćwiczeń wojskowych, odwołujących młodego kupca lub przemysłowca z odległych wybrzeży Azji do rodzinnego garnizonu, ani powsz chnej służby wojskowej, zabierającej mu najpiękniejsze lata życia. Młody Anglik, jeśli pominiemy zwyczaj i obyczaj, nie zna pana nad sobą. Jest on osobistością, skazaną niezłocznie po opuszczeniu ław szkolnych na własne swe siły zarówno na gospodarczem, jak i umysłowem polu. Obecnie całą tę masę indywidualności przyjdzie umundurować, wymusztrować, wcisnąć w karby wojskowej karności i to stanowić będzie dla Anglików najfatalniejsze następstwo lekkomyślnie podjętej wojny. Pieniężne ciężary nie są największą przeszkodą, jaką militarizm stawia rozwojowi cywilizacji. Naród chłopów może on w danym razie doprowadzić do karności, a poniekąd nawet ucywilizować. Naród kupców musi zmienić warunki swego bytu, swą indywidualność, aby się z nim pogodzić. A jednak polityka zabarcza nie ma innego środka tylko milirytaryzm. Gdy jeszcze za pieniądze kupowano żołnierzy, rzeczą było możliwą prowadzić politykę imperjalistyczną krwią innych. Gdy dyplomacji angielskiej udawało się wyzyskiwać na swoje cele współzawodnictwo

mocarstw stałego ładu, mogła ona prowadzić swoje wojny przez swych sprzymierzeńców. Dzisiaj cudzoziemiec nie sprzedaje się już za pieniądze; dzisiaj żadne państwo nie pozwoli się sztuczkami dyplomatycznymi wciągnąć w służbę Anglii. Flota zaś nie wystarcza do obrony dalekich krajów, zagrożonych przez narody rasy białej. Wykazał to nadzwyczaj szybko zatarg transwaalski. Olbrzymi rekin podolać nie może buldogowi, trzymającemu się na lądzie. Do obrony kraju macierzystego wystarczyłaby jako tako wyćwiczona milicja, ponieważ o wylądowaniu znaczniejszej armji nieprzyjacielskiej, wobec przewagi floty angielskiej, nie może być mowy. Jeżeli jednak chodzi o imperjalistyczne panowanie nad kolonjami, to Anglja zdobyć się musi na armję lądową, któraby była w stanie nie tylko stawiać czoło zewnętrznemu przeciwnikowi, ale i trzymać w postuszeństwie ludność miejscową. Niedaleka przyszłość okaże, czy naród angielski zdolny jest do takiego wysiłku.

Rozumie się samo przez się, że przeciwnicy i współzawodnicy Anglii z uczuciem radości przyglądają się temu przewrotowi, przygotowującemu się w wewnętrznych stosunkach państwa. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że zaprowadzenie powszechnej służby wojskowej osłabi siłę przemysłową i handlową Wielkiej Brytanji, a tem samem ułatwi współzawodnictwo innym mocarstwom. W pierwszym rzędzie tych mocarstw, czyhających na gospodarczą spuściznę po Anglii, stoją Niemcy, których przemysł i handel zamorski rozwija się w ostatnich czasach coraz pomyślniej, i które z coraz większą energją walczą we wszystkich stronach świata z dotychczasową angielską przewagą handlową. Powszechne też w Niemczech panuje przekonanie, że gospodarcze to współzawodnictwo, prędzej czy później, doprowadzi do zbrojnego zatargu. Dzisiaj jeszcze wszelkie widoki zwycięstwa w takim zatargu są po stronie Anglii. Potężna flota angielska w jednej chwili zniszczyłaby mogła niemiecki handel zamorski, i pozbawić Niemców świeżo zdobytych i nabytych kolonji. Dlatego też Niemcy odłożyły na później obrachunek za świeże upokorzenie, jakie je spotkało ze strony Anglii przez zatrzymywanie niemieckich okrętów handlowych, a tymczasem wyężdżają wszelkie siły, aby w przyszłości sprostać i na morzu swemu przeciwnikowi, czy współzawodnikowi. W tym też celu przedstawiony został przed kilku dniami reprezentacji narodu projekt podwojenia dotychczasowej floty niemieckiej. Pomimo, że kosztą tego powiększenia wynosić będą przeszło półtora miliarda marek, a ludność niemiecka upada już dzisiaj pod ciężarami militarzmu, wszelkie prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać

za tem, że opanowana „szaleń morskim“ większość parlamentu uchwali powiększenie floty. Swoją drogą nie brak w Niemczech poważnych bardzo głosów, przestrzegających przed wyczerpującym wszelkie siły narodu wyścigiem w zbrojeniu się jednocześnie na lądzie i na morzu, i rząd zmuszony będzie staczać ciężkie walki z opozycją, zanim jego projekt uzyska moc prawną. Trudności przedstawia przede wszystkim finansowa strona projektu, kwestja pokrycia wydatków, połączonych z budową nowych okrętów. Zwolennicy powiększenia floty, rekrutujący się wyłącznie prawie z najzamożniejszych sfer ludności, wśród kupców i przemysłowców, pragnęliby zważyć nowy ciężar na szerokie warstwy narodu i przemawiają za powiększeniem podatków konsumcyjnych. Zamiarowi temu opierają się jednak stanowczo stronnictwa, stanowiące większość parlamentu, które domagają się słusznie, aby koszta powiększania floty zwalono na barki warstw ludności, osiągających z tego powiększenia największe korzyści. Ponieważ jednak rządowi głównie chodzi o uzyskanie nowych okrętów, a kwestja, kto je zapłaci, podrzędne dla niego posiada znaczenie, przeto mało jest prawdopodobny, z powodu pokrycia wydatków na powiększenie floty, zatarg pomiędzy rządem a reprezentacją narodu. W każdym jednak razie sprawa ta nie pójdzie zupełnie gładko i przygotować się wypada na energiczną walkę pomiędzy broniącym swego projektu rządem a dość liczną i silną opozycją. Na razie projekt ten spoczywa w komisji parlamentarnej, która niewątpliwie nada mu formę, odpowiadającą zapatrywaniom i wymaganiom większości ciała prawodawczego.

Odmienny zupełnie objaw spostrzegamy w reprezentacji narodu francuzkiego, której również przedstawiono przed niedawnym czasem projekt powiększenia floty. Gdy więc w Niemczech większość parlamentu, zgadzając się w zasadzie na potrzebę wzmocnienia siły morskiej państwa, występuje przeciwko rozmiarom tego wzmocnienia, a w szczególności przeciwko liczbie okrętów, których się domaga rząd, w parlamencie francuzkim odzywają się głosy, dowodzące, że projekt rządowy jest niewystarczający, obejmuje bowiem za szczupłą liczbę nowych statków wojennych. Rozumie się samo przez się, że rząd francuzki bez namysłu usłucha tej rady i zmieni swój projekt w duchu zwolenników energiczniejszego niż dotychczas „wyścigu na morzu“. I we Francji zbrojenie się to na morzu zwraca się przedewszystkiem przeciwko Anglii. Tutaj jednak wzrastającą nienawiść ku Anglikom wywołały więcej polityczne niż handlowe względy. W przeciwieństwie do niemieckiego, francuzki handel zamorski w ostatnich czasach nie tylko żadnego nie wyka-

zuje wzrostu, ale nawet cofa się poniekąd, a w każdym razie nie myśli o współzawodniczeniu na rynkach zagranicznych z handlem angielskim. Natomiast interesy polityczne Francji ścierają się coraz silniej z angielskimi w rozmaitych częściach świata, a zwłaszcza w Afryce środkowej i Egipcie. Bądź jak bądź, współzawodnictwo z Anglią nie stanowi we Francji do tego stopnia, co w Niemczech, kwestji bytu gospodarczego, czy przyszłości gospodarczej państwa i z tego powodu przeciwieństwo pomiędzy temi dwoma mocarstwami, dzisiaj jeszcze dość groźne, prędzej czy później ustąpić może miejsca porozumieniu. Zresztą Francja, zajęta obecnie wyłącznie wystawą wszechświatową, jest usposobiona nadzwyczaj pokojowo i obawia się, przynajmniej na razie, jak ognia, wszelkich zatargów zagranicznych.

Natomiast na polu polityki wewnętrznej przygotowuje się w tem państwie poważny bardzo i niebezpieczny zatarg, a mianowicie walka pomiędzy państwem a kościołem. Obecny rząd francuzki składa się w swej większości z żywiołów bezwyznaniowych i przeciwnych kościołowi. Żywioły te czekały tylko na sposobność, aby dać ujście swym antykościelnym tendencjom. Sposobność tę nastąpiło im kilku biskupów, którzy wystąpili publicznie w obronie skazanych przez najwyższy sąd paryzki za niedozwoloną jakoby agitację polityczną OO. Asumpcjonistów. Opierając się na tem wystąpieniu biskupów, rząd obecny przedstawił parlamentowi projekt prawa, zagrażającego ciężkimi karami duchowieństwu, za nieposłuszeństwo wobec władzy państwowej. Z góry przewidzieć można, że walka ta pomiędzy państwem a kościołem zakończy się porażką państwa. Nie ulegą bowiem wątpliwości, że, w razie zatargu, ogromna większość katolickiej ludności obudzi się z dotychczasowego swego politycznego uspienia i stanie po stronie prześladowanego duchowieństwa, a wówczas skończą się od razu rządy wygadzanych adwokatów i wszelkiego rodzaju warcholów, panoszących się dzisiaj na wyżynach publicznego życia Francji.

Z Austrii nadchodzą w ostatnich czasach pomyślniejsze wiadomości. Wprawdzie dotychczas jeszcze nie został załagodzony zatarg narodowościowy pomiędzy Czechami i Niemcami, uniemożliwiający w tem państwie, od lat kilku, wszelkie prawidłowe rządy, niejaki jednak dane zdają się przemawiać za tem, że pomiędzy tymi dwoma, walczącymi z sobą do niedawna na zabój narodami, przyjdzie, jeżeli nie do zupełnego porozumienia, to przynajmniej do zawieszenia broni. Wbrew więc odzywającym się tu i owdzie obawom, czy nadziejom, prace zwołanej przez nowego prezesa gabinetu austriackiego d-ra Körbera, konferencji czeskich i niemieckich



mężów zaufania rokują wynik pomyślny. Osiągnięto już porozumienie w kilku ważnych sprawach, a istnieją widoki, że i reszta punktów spornych będzie załatwiona w sposób korzystny. W naradach tych nie biorą udziału skrajne i nieprzejednane żywioły obu obozów, nie ulega jednak kwestji, że ogromna większość zarówno czeskiego jak i niemieckiego narodu powita z uznaniem ugodę, stanowiącą jedyną drogę wyjścia z niecznośnego, a wielce szkodliwego dla ogólnych interesów państwa położenia. Nie może bowiem być mowy o prawidłowem ukształtowaniu się stosunków wewnętrznych w Austrii, dopóki srożyć się będzie ten spór fatalny, tamujący całą maszynę państwową.

Rozgłoszona przed niedawnym czasem przez dzienniki angielskie wiadomość o złożeniu z tronu i zamordowaniu cesarza chińskiego nie stwierdziła się dotychczas. Nie mniej przeto pozostaje faktem, że cesarz ten, sprzyjający reformom w duchu postępowym, usunięty jest od wszelkiej władzy i trzymany nieledwie w więzieniu przez energiczną i przeciwną wpływom europejskim, a zwłaszcza angielskim, cesarzową matkę. Rzecz prosta, że ujawniające się w tej zmianie zwycięstwo zacofanego, przeciwnego wszelkiemu postępowi i rozwojowi kierunku nie przyczyni się do powstrzymania coraz widocześniejszego rozkładu państwa chińskiego. W ogóle olbrzymie to na pozór, lecz zbutwiałe w swych podstawach państwo dotychczasowe swe istnienie zawdzięcza więcej współzawodnictwu zainteresowanych na dalekim Wschodzie mocarstw europejskich, niż własnej sile. Dni też jego będą policzone, skoro współzawodnictwo to ustąpi miejsca porozumieniu się co do podziału zdobyczy.

Zresztą zgłasza się obecnie coraz więcej kandydatów do spuścizny chińskiej. Pomijając już Włochy i Austro-Węgry, których aspiracje, przynajmniej na razie jeszcze, pozbawione są poważniejszego znaczenia, jako groźny i potężny współzawodnik mocarstw europejskich na Wschodzie występują Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. To współzawodnictwo tem jest niebezpieczniejsze, że Ameryka w świeżo zdobytych wyspach Filipińskich zyskała dogodny bardzo, bo oddalony nie wielką tylko przestrzenią morza od państwa chińskiego punkt oparcia do dalszej akcji we wschodniej Azji.

*K. P.*

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

Jedni z nas patrzą na świat przez różowe, drudzy przez czarne okulary. Jednym rzucają się w oczy przedewszystkiem smutne, drugim wesole objawy życia. Jedni odbywają ziemską swą pielgrzymkę w padole płaczu, drudzy wśród wesela i rozkoszy. Dla jednych wreszcie człowiek jest ucieleśnieniem wszelkiego złego, dla drugich istotą, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga. Tą odmienną organizacją wzroku duszy tłómaczą się dwa odmiennie kierunki w sztuce i literaturze, optymistyczny i pesymistyczny. Pesymista maluje obrazy nędzy i rozpaczliwej ludzkiej, optymista tworzy dzieła, wznoszące nas w sfery ideału. Oba te kierunki, o ile są szczerze, o ile zwłaszcza polegają na rzeczywistej obserwacji życia i jego objawów, mają poważne prawo istnienia. Obok jednak pesymizmu uzasadnionego, będącego wynikiem badań nad człowiekiem i jego naturą, istnieje i szerzy się przedewszystkiem wśród młodszej generacji autorów pesymizm sztuczny czy niedojrzały, pochwytywany bezkrytycznie z obcych wzorów, a stosowany z tego jedynie powodu, że ten kierunek na razie jest modny. Niedojrzały taki pesymista, chcąc zaimponować światu rzekomą swą dojrzałością, nie przypatrzwszy się z bliska rzeczywistemu życiu, rozdziera szaty nad ogólnym zanikiem moralności, stawia nam przed oczy świat, przerażający swą ohydą, lecz na szczęście, nie mający ze światem rzeczywistym nic wspólnego.

Doskonałym typem takiego niedojrzałego, nieprzetrawionego pesymizmu jest odegrana świeżo w teatrze Rozmaitości pięcioaktowa sztuka p. Bogdana Jaksy-Ronikiera p. t. „Karjera“. W utworze tym autor maluje trzy warstwy naszego społeczeństwa, arystokrację, średnią szlachtę i służbę

wszelkich kategorii, począwszy od rządcy i guwernantki a skończywszy na lokaju i pokojówce. Arystokrację reprezentuje obok kilku podrzędnych figur książę jakiś, naturalnie galicyjski—Galicyja stanowi dla naszych autorów stałą a niewyczerpaną kopalnię wszelkiego rodzaju, przeważnie jednak ohydnych, typów—i syn jego. Książę ojciec jest łotrem ostatniej próby, jednostką zbankrutowaną meterjalnie a więcej jeszcze moralnie. Przepuściwszy swój majątek i straciwszy pierwszą żonę, szczególny ten bohater żeni się z bogatą obywatelką wiejską, wdową, matką kilkorga dorosłych i dorastających dzieci i nie tylko prowadzi bezwstydną romanse z całą służbą żeńską, ale nadto sieje zarazę zepsucia im książek o treści wyuzdanej. W każdej warstwie społecznej, a więc i wśród książąt, zdarzać się mogą i zdarzają osobistości ohydne w guście księcia p. Bogdana Jaksy-Ronikiera. Autor jednak zdaje się nie znać z osobistego doświadczenia sfery, którą maluje. W przeciwnym razie wiedział by, że członkowie arystokracji, przynajmniej na zewnątrz zachowywać zwykli jakieś formy przyzwoitości, tymczasem jego książę wszędzie i zawsze, wobec mężczyzn i kobiet, w salonie i w buduarze, występuje jak prosty łobuz uliczny.

Przechodzimy teraz do księcia syna. P. Ronikier czytał coś o dziedziczności, o teorji, że wady ojców przechodzą na synów, a nawet potęgują się z każdym pokoleniem. Jeśli więc w księciu ojcu uderza posunięty do ostatecznych granic zanik moralności, to książę syn jest skończonym kretynem, lecz kretynem o najpodlejszych, zbrodniczych instynktach. Pomijamy już, że wprowadzenie na scenę tej zhydlęconej istoty, kłusującej ukochaną kobietę, aby ją oszpecić i w ten sposób pozbyć się współzawodnika, napełnia wstrętem widza, obdarzonego delikatniejszym uczuciem. Ale i z czysto artystycznego punktu widzenia postać tego rodzaju nie nadaje się do utworu scenicznego. Gdzie bowiem, wskutek zbrodni fizycznych, wyłączona jest wolna walka i odpowiedzialność jednostki za jej czyny, tam nie może być mowy o dramacie, będącym walką człowieka z własną namiętnością lub z zewnętrznymi przeciwnościami.

Autor nie zadawała się jednak wykazaniem zwyrodnienia na jednym tym przykładzie. Chce on dowieść upadku moralnego i fizycznego arystokracji w ogóle. W tym celu wprowadza jeszcze przy samym końcu sztuki na scenę młodą księżniczkę głuchoniemą.

Oczywiście, że wtargnięcie żywiołów w rodzaju księcia

i jego syna do uczciwej rodziny obywatelskiej, szerzyć musiało w tej rodzinie moralne zniszczenie. Co prawda, i ta warstwa społeczna w „Karjerze“ p. Ronikiera nie sprawia zbyt imponującego wrażenia. Składa się ona z figur bezbarwnych, słabych lub poświęcających samolubnym względem najświętsze nawet uczucia.

Obok tych dwóch warstw czy światów, pomiędzy którymi rozgrywa się zatarg dramatyczny, w sztuce p. Ronikiera defluje przed naszymi oczyma cała galerja służby, przypominająca kompletny kryminał. Poznajemy więc guwernera szantażystę i guwernantkę kokotę, rządcę, skończonego szubienicznika, lokai złodziei i pokojówki bezwstydnie zalotnice. W całym tym licznym zastępie nie ma absolutnie ani jednej postaci, wykazującej jakiegokolwiek cechy dodatnie.

Nasuwa się teraz pytanie, czy i o ile wstrętny ten obraz zgadza się z rzeczywistością. Otóż nie ulega kwestji, że każda z tych figur ohydnych, wzięta z osobna, istnieć może w życiu. Niepodobieństwem jest jednak, aby gdziekolwiek, jeżeli pominiemy kryminał i dom dla obłąkanych, istniało środowisko, złożone wyłącznie z osób dotkniętych moralnie lub fizycznie zboczeniami. Gdzie są cienie, tam jest i światło. Obok jednostek upadłych spotykamy wszędzie istoty mniej lub więcej dodatnie. Skupienie więc samych niedołęgów, łotrów i idjotów, jakie widzimy w „Karjerze“ p. Bogdana Jaksy-Ronikiera, zadaje kłam wszelkiej prawdzie życiowej.

W utworze tym uderza zresztą nie tylko pesymizm niedojrzały, ale i niedołączny, który, najbardziej nawet pesymistycznie nastrojony, może być jeszcze dziełem sztuki, może odznaczyć się poważnemi zaletami artystycznymi. Zalet tych w „Karjerze“ nie spotrzegamy ani śladu. Jest to sztuka nie tylko wstrętna ze względu na swą treść i na swój nastrój, ale i niedołącznie zrobiona, narażająca swą rozwlekłością, ciąglem powtarzaniem się jednych i tych samych motywów na ciężką próbę cierpliwości widza.

Nie dziwimy się autorowi, który spłodził to dzieło. „Nie od razu Kraków zbudowano“. Być więc może, że p. Ronikier, skoro otrząśnie się z obcych naleciałości i osobiście badać zacznie życie, wzbogaci nasze piśmiennictwo dramatyczne w utwory, które nam pozwolą zapomnieć jego „Karjerę“. Co jednak przekracza stanowczo sferę naszych pojęć, to odznaczanie tego niedojrzałego, pozbawionego wszelkiej wartości artystycznej, a przy tem budzącego jedynie niesmak, płodu przez sąd konkursowy, złożony bądź co bądź z inteligentnych osób. Trudno też wyobrazić sobie, utwór,

który by tak mało nadawał się do nagrody, jak właśnie „Karjera“ p. Ronikiera. Odznaczenie „Zaczarowanego koła“ Rydla wytłomaczyć można od biedy zaletami literackimi tego utworu; „Karykatury“ Kisielewskiego posiadają niewątpliwą wartość artystyczną; natomiast wyróżnienie „Karjery“ jest jednym dowodem więcej niezbadanych i trudnych do pojęcia wyroków sądów konkursowych.

\* \* \*

Do teatru Małego, goszczącego tej zimy w teatrze Lenim, ściąga tłumy publiczności farsa, tłumaczona z francuzkiego p. t. „Miejsca kobietom“. Jest to sprawa kobiet, przedstawiona w karykaturze, sztuka, w której nieprawdopodobieństwo treści walczy o lepsze z jaskrawością sytuacji i tłustością conceptów. Kto jednak w teatrze nie szuka nic innego, tylko możliwie bezmyślnej zabawy, ten nie zawiedzie się na tym utworze, napisanym z prawdziwie paryską werwą i zręcznością i odznaczającym się porywającym humorem. O tyle zresztą „Miejsca kobietom“ przewyższa zwykle idjotyczne farsy, że tu i owdzie spotykamy w tej nowości wśród steku błazeństw odbłyски trafnej satyry na niektóre współczesne urządzenia i zwyczaje francuskie.

\* \* \*

Są utwory, które nie starzeją się wcale. Należy do nich „Trójka Hultajska“ Nestroya, wznowiona w teatrze Ludowym. Zdawać by się mogło na pierwszy rzut oka, że stara ta jak świat i ograna na wszystkich możliwych i niemożliwych scenach, sztuka ludowa, utraciła już swą siłę przyciągającą, że mianowicie naiwna treść tego utworu nie zdoła już zainteresować dzisiejszej publiczności. Tymczasem olbrzymi maneż przy rogu ulic Grzybowskiej i Ciepłej zaledwie pomieścić może tłumy widzów, którzy co wieczór od kilku tygodni z wzrastającym zaciekawieniem śledzą przebieg akcji i każdy dowcip, każdy efekt teatralny, nagradzają wybuchami śmiechu i hucznymi oklaskami. Swoją drogą „Trójka Hultajska“ jest w swoim rodzaju idealną sztuką ludową, w której w treść bezpretensjonalną, lecz ciekawą, wplątana jest nadzwyczaj zręcznie nauka moralna. Więc też w części wesołe, w części smutne dzieje szewca Szydełki, stolarza Wiórka i krawca Igiełki, stanowiące osnowę tego utworu, wszędzie i zawsze liczyć mogą na wdzięczną publiczność. Dodać do tego należy, że sztuka ta wystawiona jest w teatrze Ludowym bardzo starannie i wykonywana bez zarzutu. □

# Ruch muzyczny

w 1899 r.

Gdy się już na dobre rok nowy zaczął, a dawny cokolwiek zniknął w przeszłości niedalekiej, trzeba raz jeszcze rzucić nań okiem zdaleka, ażeby upamiętnić sobie, co w nim w dziedzinie sztuki muzycznej zaszło doniosłego.

W państwie opery Włosi, despotycznie zagarnawszy palmę pierwszeństwa, nie mają najmniejszej ochoty ustępować jej innym narodom; opery włoskie rozgościły się we wszystkich większych i mniejszych teatrach kuli ziemskiej, a przytem język włoski, z powodu swej harmonijnej melodyjności, zapanował na wielu scenach operowych państw pierwszorzędnych, rywalizując szczęśliwie z miejscowym, a są nawet takie miasta, jak Londyn, gdzie dopiero teraz zdaje się jakby obudzać poczucie muzyki narodowej, gdyż teraz dopiero znaleźli się Stanford i Mackensie, którzy prowadzą zawziętą kampanię, i starają się o utworzenie opery angielskiej. Do jakich rezultatów ich te starania doprowadzą, jeszcze na razie nie wiadomo, ale pewnie wytrwali reformatorzy zwyciężą.

Włoska opera, włoski język i włoscy śpiewacy panowali więc w świecie muzyki operowej, ale mistrzom, kompozytorom włoskim nie zbyt świetnie się wiodło w roku ubiegłym. W najwyższym stopniu reklamowane „Iris“ Mascagniego, po wystawieniu z przepychem w Medjolanie w teatrze „La Scala“, oraz w innych jeszcze miastach włoskich, a nawet niemieckich, okazało się dziełem wymuszonym i słabem, i wywarło wrażenie bardzo średnie; twórca jednakże „Rycerskości wieśniaczej“ zdaje się bynajmniej nie upadać na duchu i wciąż

pracuje z gorączkowym pośpiechem, i zdążył już ukończyć nową operę „Maski,“ która bodaj czy przysporzy mu więcej sławy, niż Iris. Drugi z mistrzów włoskich w ubiegłym roku niczem nowem nie zasłynął, jednakże zyskał to przynajmniej, że jego Manon Lescaut i Bohème dotarło aż do Małej Azji, do Smirny.

Gdy w twórczości muzycznej włoskiej nastąpiło chwilowe omdlenie, niemiecka muzyka w osobie Ryszarda Wagnera, zjednywa sobie coraz szersze i liczniejsze szeregi wielbicieli, i grywaną jest obecnie z pietyzmem i uznaniem nawet tam, gdzie to do niedawna niepodobieństwem się zdawało; „Walkyrje“ wykonano w Madrycie, Barcelonie i Rzymie, „Tristana i Izoldę“ w paryskim Nowym teatrze, a „Siegreda“ na kilku scenach włoskich. Do Warszawy dotarł tymczasem tylko Rienzi i znany już Lohengrin, i to dzięki lwowskiemu teatrowi.

Z oper nowych najwięcej zaciekawienia wzbudziło pierwsze dzieło syna Ryszarda, Siegfryda Wagnera „Der Bärenhäuter.“ Opera ta nie posiada żadnej wybitnej wartości, jest niewolniczym naśladownictwem wagneryzmu, kopją wzorów ojca, zmieszana z wpływami u Humperdincka, twórcy „Jasia i Małgosi.“ W całym dziele brak odpowiedniej i dosadnej charakterystyki muzycznej. Dzieło Siegfryda Wagnera jednakże, ze względu na pamięć wielkiego ojca było już grane w Monachjum, Lipsku, Wiedniu, Hamburgu i Frankfurcie nad Menem, i wszędzie ze strony publiczności doznało bardzo życzliwego przyjęcia; można więc śmiało powiedzieć o tym kompozytorze: niezasłużony ale szczęśliwy!

Goldmark też wystąpił z nową operą, „Die Kriegsgefangene“ (Branka Wojenna), do której treść zaczerpnął z Iliady Homera. Dzieło to było już wystawione w Wiedniu i w Pradze czeskiej w niemieckim teatrze, lecz choć kompozytor został przychylnie przyjęty, nie można jednakże wierzyć w prawdziwie szczery entuzjazm dla nowego dzieła.

Max Schilling również nie z największym powodzeniem wystawił w Berlinie swoją „Ingwelde,“ a prócz tego jeszcze napisał trzyaktową operę „Der Pfeifertag.“ Wspomnieć też trzeba o komedji muzycznej d'Alberta „Abreise“ wystawionej w Szczecinie, jak również o „San-Line“ (Święto noworoczne) Viktora Holländre, grane ze średnim powodzeniem we Wrocławiu; o „Genesius“ Feliksa Weingartnera i o „Dzwonie zatopionym“ Henryka Zoellnera, — wszystkie te opery miały pewne powodzenie.

Francuzka muzyka wzbogaciła się też kilkoma operami, z których zasługują na wyróżnienie: „Beauconp de bruit

pour rien“ Pawła Pugeta, i „Cendrillon“ Masseneta, — oba dwa dzieła wystawiono w operze komicznej paryskiej. Nie powiodło się Vidalowi: jego baśń muzyczna „Królowa Fiametta“ miała w paryskim Odeonie powodzenie średnie, zaś czteroaktowa opera „La Bourgonde“ upadła zupełnie. Zato sztuka francuzka dostała się po za granice Francji: w Lizbonie wystawiono „Sapho“ Masseneta, a w Aleksandrji Sapho, oraz „Samsona i Dalilę“ Saint Saënsa.

Flamandzka muzyka zyskała tylko jedno dzieło — „Godolewa“, dramat muzyczny Edgara Tinela. Czesi zaś wystąpili w swej stolicy z operą „Cert a Kaca“ Antoniego Dworzaka, która doznała przychylnego przyjęcia, ale „Dalibor“ Smetany, dostawszy się na scenę lipską w czasie walki narodowej, spotkał się z nieprzychylnem przyjęciem i przeszedł nie-spostrzeżenie.

W Rosji wystawiono kilka świeżych rzeczy; Moskwa ujrzała „Narzeczoną Cara,“ Petersburg „Bojarinę Szelogą“ Rimskiego Korsakowa, a Odesa wreszcie nie przyjętą w Petersburgu operę Fedorowa „Fontanna Bachezysaraju.“ Z dawniejszych zaś oper rosyjskich „Rusalka“ dostała się na scenę włoską, „Demon“ na scenę wiedeńską, a „Eugeniusz Oniegin“ został wykonany w Warszawie.

Choć w roku ubiegłym nie ujrzelśmy w Warszawie żadnej nowej opery na scenie teatru Wielkiego, zyskaliśmy jednakże „Janka“ Żeleńskiego, oraz „Marję“ i „Pojatę,“ dwie nowe opery Gawrońskiego, a z dawniejszych oper naszych, Halka, była grana w Bydgoszczy i Wrocławiu.

Chociaż rok ubiegły nie był świetny dla opery włoskiej, świetnie za to rozwinęła się muzyka oratoryjna, zwłaszcza w dziełach młodego księdza D. Lorenza Perosiego. Jest on niewątpliwie zdolnym i rokującym nadzieję na przyszłość muzykiem, ale bardzo mu jeszcze daleko do tego, co o nim głosi włoska krytyka i reklama. Błędem jest powszechnym niedoceniać młodych talentów, lecz kto wie, czy nie większym jeszcze jest przecenianie ich wartości, gdyż to wstrzymuje w nich chęć do dalszej pracy. Perosiego „Wskrzeszenie Łazarza“ oprócz miast włoskich było wykonywane w Dreźnie, Amsterdamie, a nawet w Meksyku, a prócz tego jeszcze w Krakowie, Warszawie i Częstochowie. Drugie jego oratorium, które mu sławę zjednało, jest „Zmartwychstanie Chrystusa,“ wykonane w Medjolanie i w Paryżu; zostało jednak już chłodniej przyjęte, niż poprzednie. Trzecie wreszcie „Narodzenie Chrystusa,“ i wykonana w Turynie msza „Benedicamus Domini“ — powitano jeszcze chłodniej, — nie doznały powodzenia zupełnie.



Książd Perosi w dziełach swoich nie umie jeszcze zaplanować nad narzuconą przez siebie nową formą i często błąka się, jak gdyby w labiryncie; myśli u niego wciąż się urywają i nie idą łącznie; przytem w licznych orkiestrowych przejściach przebija się teatralność. Słowem, książd Perosi, choć jest niewątpliwie talentem, z którym się liczyć trzeba, lecz krytycznego momentu jeszcze nie przeżył i łatwo popaść może w manierę. Prócz tego w sali Palestryzny w Rzymie wykonano jeszcze z powodzeniem „La Passione di Christo“ Pascucciego, a przytem sędziwy Verdi napisał „Quattro pezzi sacri“ a Don Ambrogio „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy.“

Gdy tak we Włoszech powstawały świeże oratorja, w prawdziwej ich ojczyźnie, w Niemczech, w kraju Bacha i Händla, w roku ubiegłym słyszano tylko jedno ważniejsze, dzieło nowe tego rodzaju; mianowicie w Dreźnie i Magdeburgu wystawiono oratorjum Brucha „Gustaw Adolf,“ a prócz tego August Klughardt napisał „Zburzenie Jerozolimy.“ Zato „Stworzenie Świata“ Haydna było wykonane w Lipsku i Londynie, w Hanau „Faustscenen,“ a w Neapolu „Paradies und Peri“ Schumanna.

Nasza muzyka kantatowa nie zyskała żadnego ważniejszego dzieła, lecz tylko udatną bardzo przeróbkę Maszyńskiego „Powrót taty,“ z balady Moniuszki. Z dawniejszych dzieł za to słyszeliśmy ponownie Moniuszki „Sonety Krymskie“ na koncercie symfonicznym i „Litanię Ostrobramską“ № 3 w Towarzystwie Muzycznym, oraz na budowę gmachu dla tegoż Towarzystwa w Dolinie Szwajcarskiej „witeziankę“ Noskowskiego. Należy też nadmienić, że „Widma“ Moniuszki (Dziady) zostały wykonane w Pradze czeskiej w uscenizowanej szacie tak właśnie, jak je u nas grywał lwowski teatr.

Muzyka symfoniczna mniej była bogata w dzieła skończone i wielkie, w każdym razie w tej dziedzinie powstało kilka wybitniejszych utworów, a więc Richard Strauss przedstawił kilka nowych poematów jak „Heldenleben“ i „Also sprach Zarathustra,“ Humperdinck „Rapsodję maurytańską“ i Dvorzak „Symfonię E moll z nowego świata“, Ksawery Scharwenka napisał nowy koncert fortepianowy, Sinding skrzypcowy, a Georg Schumann, Wilh. Berger, Kleinberger i wielu innych napisali nowe kameralne kompozycje. Jakżeż ubogo w porównaniu z tem wszystkim przedstawia się nasza muzyka! Suita skrzypcowa Pachulskiego, koncert fortepianowy Hofmana i koncert skrzypcowy Młynarskiego, oraz kilka drobniejszych symfonicznych Godebskiego, oto prawie wszystko co zyskaliśmy, lub co poznaliśmy w ubiegłym roku.

Niczem jednakże najwspanialsze dzieła, jeśli nie zostaną właściwie pojęte i dobrze zrozumiane. Orkiestra więc prócz wykonawców potrzebuje zdolnego dyrygenta, który by ją pokierował, a muzyka kameralna kilku zdolnych, inteligentnych i zgranych muzyków. Najlepszymi dyrygentami są obecnie: Artur Nikisz, Ryszard Strauss, Mahler, Schuch, Weingartner, Lamond, Lamoureux, Colonne i Maszkowski. Między zaś kwartetami jest najśłynniejszy czeski; z innych—Joachima, meklemburski, lipski i t. p. Jak nasze orkiestry i ich dyrygenci, tak również i kwartety nasze pozostawiają wiele do życzenia. Najlepszy jest kwartet Adamowskich w Bostonie, potem lwowski kwartet. Co się zaś tyczy kwartetu warszawskiego instytutu muzycznego, jest on tylko chwilowym,—prawdziwy zaś stały kwartet został wprawdzie utworzony, lecz się szybko rozchwiał.

Gdy zagranicą mnóstwo jest chórów, w Warszawie mamy ich niewiele, a w prowincjonalnych miastach po jednym chórze najwyżej. Stosunkowo więcej polskich chórów jest w Galicji. W Wiedniu i w Berlinie znajduje się kilka chórów polskich, a w Ameryce, zwłaszcza w Chicago i okolicach znajduje się ich bardzo wiele. Co się tyczy Poznańskiego, istnieje tam dwadzieścia sześć chórów, a w ubiegłym roku 24 lipca odbył się zjazd związku w sile 500 osób przy udziale 10,000 słuchaczy; dyrygował przeważnie Bolesław Dembiński, zwyciężył Berlin. Gdy mowa o Berlinie, trzeba nadmienić, iż utworzyło się tam teraz pod przewodnictwem prof. Fleischera Międzynarodowe stowarzyszenie muzyczne, którego filje zakładano we wszystkich główniejszych miastach Europy. Zadaniem tego stowarzyszenia będzie śledzić za postępem sztuki we wszystkich krajach. U nas powstało też świeże towarzystwo muzyczne w Łodzi, a przy warszawskim towarzystwie utworzono sekcję Chopina, którego rocznicę śmierci obchodzono uroczyście wszędzie, gdzie tylko mowa polska istnieje.

Mieliśmy kilka odczytów o muzyce, wygłosili je: Gostomski, Hösicke, Przybyszewski i Noskowski. Pism muzycznych polskich wychodzi obecnie pięć: Echo muzyczne w Warszawie, Wiadomości artystyczne we Lwowie, i Ziarno w Chicago; prócz tego dwa jeszcze kościelne: śpiew kościelny w Płocku i Muzyka kościelna w Kościanie. Przedstawicielami gregoriańskiego kierunku są—ks. Gruberski, ks. Kowalski i Henryk Makowski. Antoni Kątski zmarł w sędziwym wieku... Oto w krótkości dzieje muzyki w ubiegłym roku.

*Feliks Starczewski.*

## „WIELKA WOJNA“.

*Powieść Sienkiewicza „Krzyżacy” zdaje się zbliżać do Grünwaldu. A że Sienkiewicza czyta ogół niemal cały, więc powszechne jest niewątpliwie zainteresowanie tą wielką chwilą dziejową, kiedy nie dwa narody, ale zbiorowiska narodów z bronią w rękę usiłowały rozstrzygnąć spór odwieczny, pomścić krzywdy, zaspokoić ambicje.*

*Rozprawa Grünwaldska przypada na rok 1410. Minęło blisko 500 lat! A przedtem było Psie Pole, jeszcze przedtem zwycięstwa Chrobrego i zapasy Mieszka. A i dawniej słowiańskie plemiona broniły się kamieniem i oszczepem od giermańskiego najazdu — ale o tych walkach nawet już historia zapomniiała.*

*I oto po tylu wiekach, po takim przelewie krwi, po tylu doświadczeniach dziejowych, po tylu tryumfach myśli ludzkiej, walka ani się nie skończyła, ani nie osłabła, nienasycała się zawziętość.*

*Inna jest walka dzisiejsza — ale gorsza, stokroć gorsza! Ranny boleśniejsze zadaje i bardziej żrącą nienawiść głębiej do serc ludzkich zapuszcza. Biedny ród człowieczy!*

*Sądźmy, że czytelnicy nasi z chęcią przeczytają podany tu opis Grünwaldskiej bitwy, skreślony piórem wielkiego mistrza słowa i znakomitego historyka, Karola Szajnochy.*

Walka z Krzyżactwem obchodziła tak blisko oba pobratane narody, iż, pomagając w niej jeden drugiemu, pomagał każdy swojej własnej potrzebie. Lubo więc Polacy w całej wojnie niezaprzeczenie naczelne trzymali miejsce, zdało się wątpliwą niekiedy rzeczą, czy Polska Litwie, czy Litwa Polsce pomaga. Nie brak nawet twierdzeń wyraźnych, że jedynie dla Litwy podnieśli teraz oręż Polacy. Na wszelki wypadek przekonujemy się ztąd o tem niewątpliwszej wielkości wojny.

Im trudniej bowiem do rozróżnienia wikła się w niej obopólna pomoc zjednoczonych narodów, tem różnorodniejsze, tem rozliczniejsze wynikną z niej rezultaty, tem większą zmianę sprawi ona w losach przeciwników walczących.

Jakoż nie inaczej jak tylko „wielką” wojną, wielką bitwą, wielką potrzebą, bez żadnego zresztą przydatku miejsca lub czasu, zwano ją u nas przez długie lata, zwali ją samiz zwycięzcy, zwali ją synowie i wnukowie zwycięzców. Biorąc owszem na uwagę bezprzykładny podówczas ogrom użytych ku wojnie środków, uwzględniając wcale odmienny charakter obudwóch nieprzyjacielskich obozów, tu obozu Niemców, Nadreńczyków, Francuzów, Anglików, Szkotów i t. p., jednym słowem rycerstwa z całej zachodniej połowy świata — tam obozu Polski, Litwy, Rusi, Tatarów, Wołochów, Bessarabów, Ormian i t. p., jakoby zastępów całej wschodniej połowy, przywiązywano do tej „wielkiej” wojny już wówczas znaczenie starcia się z sobą dwóch wcale odmiennych kończyn ludzkości europejskiej, miano ją za walkę między zachodem a wschodem, między teutonizmem a słowiańszczyzną. Gdzie zaś tak wielkie zastępy wyruszają naprzeciw sobie do boju, tam bezwątpienia równie dawne, równie nieprzejednane przyczynty ostrzą miecz przeciwnikom.

Wzniósł się zakon niemiecki do zenitu swojej chwały i potęgi za W. mistrza Winryka, a wynikię ztąd niebezpieczeństwo dla Polski i Litwy zjednoczyło oba zagrożone narody. Zespolona Polska i Litwa okazała się zdolną dotrzymać placu teutonizmowi, przychodziła do coraz śmielszej świadomości sił swoich, a przykry tego widok, a gorzkie dla Krzyżactwa uznanie, że wszystkie dotychczasowe wysilenia zakonu jedynie ku temu posłużyły, aby sobie samemu przemocnego stworzyć nieprzyjaciela, jątrzyły Krzyżaków coraz jadowitszą, coraz zapamiętalszą nienawiścią ku temuż nieprzyjacielowi. Przy wzmagającej się z dniem każdym potędze i śmiałości po stronie pokrzywdzonej, przy również wzbierającej żółci po stronie pokrzywdzicieli — na coż więcej jeszcze powodów. Bez wszelkich też dalszych szczegółów moglibyśmy wyruszyć już wprost pod Grünwald.

Ale w grze losów ludzkich każda pojedyncza chwila ma swoje prawa, każda może nadać wypadkom pewną barwę odmienną, poszczególną. Pod wpływem takich przyczyn chwilowych przybrała nasza „wielka” wojna pewien właściwy sobie, indywidualny charakter, biegła tak często zmieniającą się kolejną zdarzeń, przedstawiła w końcu tak niespodziewane wspaniałe widowisko, że, przestając na owych przyczynach ogólnikowych, pozbawilibyśmy się najpiękniejszych rysów obrazu.

Owoż, zbliższa na rzeczy patrząc, przypominamy sobie naprzód przedkoronacyjne zobowiązanie się Jagiełły do przywrócenia dawnych uszczerbków państwa. Dobra wiara za-ene go króla nie znała nic świętszego nad obietnicę. Całe jego panowanie dotychczasowe było szeregiem pełnionych zobowiązań. Przyjąwszy chrześcijaństwo, ochrzciwszy Litwę, przywrócił on wraz z Jadwigą ziemie Czerwonoruskie, przywrócił Opolczykowe niegdyś prowincje, starał się nawet przywrócić starodawne dzierżawy szlązkie. Odbył się tym końcem w Wrocławiu (r. 1404) osobisty zjazd Jagiełły z terazniejszym panem Szlązka, czeskim królem Wacławem, skłon-ny m w istocie do ustąpienia Polsce ziem nadodrzańskich. Niedojście nadziei wrocławskich przypisuje kronika jedynie oporowi rady królewskiej, nie chcącej przystać na zawarowane przez Wacława dostarczanie pewnej siły zbrojnej z księstw ustąpionych.

Do późniejszej więc pory odraczając sprawę o Szlązk, myślał Jagiełło dalej o przywróceniu Pomorza krzyżackiego. Równie wierni zaś charakterowi swemu Krzyżacy — płynęli dalej niepohamowanym prądem swego żywota, żywota grabieży i ucisku. Ztąd Jagiełło i panowie koronni stawali coraz śmieiej w obronie swoich, od tak dawna gwałconych, praw, a Krzyżactwo objęło tymczasem Nową Marchię, garnęło z Nową Marchią niektóre pograniczne powiaty polskie, mianowicie owo fatalne dla zakonu Drezdenko, umiało sobie przyswoić niedogodną chrześcijańskiej Litwie, Żmudź. Następca przesław-ego mistrza Winryka, umiarkowany Konrad Jungingen, pragnął wprawdzie zachować spokój z Koroną, zdobył się na determinację odprzedania Polsce ziemi dobrzyńskiej, wykrztu-

sił tem dla miłości pokoju ofiarę większą, lecz nie umiał zdobyć się już na mniejszą, nie zdołał zrzec się Drezdenka\*).

I byłoby to zapewne nie ocaliło losów Krzyżactwa, gdyż spotężona raz Polska i Litwa, występując coraz zaczepniej, byłaby prawdopodobnie z dalszemi ozwała się pretensjami. Jakoż w tem właśnie leży główna tragiczność zdarzeń, że powzięta raz przez zakon fałszywa, przepaścista droga żywota, prowadzi go śród samej pomyślności pozornej w upadek niechybny, porywa go jeśli nie tą, tedy ową ścieżką w przepaść konieczną, a różnica tej albo owej ścieżki, tej albo owej przyczyny ostatecznej, stanowi tylko o takiej lub innej barwie, o takim lub innym kształcie ostatniej katastrofy.

Wskazawszy zaś upadkowi Krzyżaków ścieżkę Drezdenka, chciał los niejako pokazać, jak olbrzymie następstwa mogą z drobnych na pozor urosnąć przyczyn, jak w danym raz kierunku jeden krok nierozważny domierza zguby, jedna kropka zbyt uczynna rozlewa kielich, jeden powiew wietrzyka zabija skłonного do nagłej śmierci obzercę. Potrafiło krajozercze Krzyżactwo pochłonać bezkarnie wielkie Pomorze, Zmudź, Nową Marchię, a udławiło się małym Drezdenkiem.

Kilkoma tygodniami przed ostatecznym nabyciem Nowej Marchii przez zakon, złożył terażniejszy posiadacz Drezdenka, Ulryk von der Ost, osobnym dokumentem z dnia 25 maja r. 1402, hołd posłuszeństwa dawnej przodków swoich zwierzchnicze, koronie polskiej, w szczególności Władysławowi Jagielle, przydając zapewnienie, iż w razie śmierci bezdzietnej przekaże swoją pograniczną twierdzę królowi. W trzy lata później, tuż po wykupieniu Dobrzynia przez Polaków, udał się Ulryk osobiście do Polski, i, bawiąc pod koniec czerwca r. 1405 na dworze polskim w Łędzie, zobowiązał się tam do bezwzględnej zamiany Drezdenka na inne posiadłości w głębi Królestwa.

Wszakże nie upłynęło więcej nad trzy miesiące, a sprawa pogranicznej warowni nad Notecią wzięła wcale przeciw-

---

\*) Drezdenko jest małe miasteczko na wyspie rzeki Noteci. Od Polski odpadło przy pierwszym rozbiórce, obecnie należy do pruskiej regencji frankfurckiej.

ny obrót. O św. Michale tegożsamego roku zwabili Krzyżacy Ulryka do swojego Malborga, i za poradą przyjaciół przywieśli go tam do ugody, mocą której Drezdenko przeszło w tymczasowe posiadanie Krzyżaków, a po roku miało zupełnie zakupione być przez nich. Jak już nie raz bywało, jak zwłaszcza w początkach obecnej wojny zdarzyło się kilkokrotnie, srodze zakon zdrwił z Korony. Im niezręczniejszą atoli okazywała się dyplomacja koronna wobec Krzyżaków, tem głębiej czuła Polska każdą wyrządzoną sobie teraz zniewagę. „Chyba nie byłbym królem polskim” — zawołał oburzony Jagiełło — „gdyby Krzyżacy nie musieli wrócić Drezdenka!”

Od dnia do dnia wznagało się rozjątrzenie przeciwnych stron, rosła obopólna zuchwałość, mnożyły się [zarzuty. W kilka miesięcy po ubieżeniu Drezdenka przez Krzyżaków przypomnieli Polacy zakonowi, iż według dawnych umów służy Koronie prawo do połowy granicznej rzeki Drwęcy, i do pewnego na pruskiej stronie dworzyska, przynależącego polskiemu młynowi, Lubicz. Krzyżacy odpowiedzieli tak dumnym listem, jakiego jeszcze żaden król polski nie otrzymał od panów pruskich, a w którym między innemi powiedziano było szydersko, iżby król „swoją przyrodzoną mądrością oświecić raczył bracią zakonną”, jak ona chronić się ma obrazy granic polskich. Panowie polscy wytłomaczyli Jagielle pismo krzyżackie umyślnie w sposób najuszczępliwszy; wyszło z tego powodu nadzwyczaj surowe upomnienie króla do śmiertelnie chorego mistrza Konrada, a Krzyżacy uczynili w tej dobie krok, który prawie nieodzownie zadecydował wojnę z Koroną.

Był tym krokiem wybór następcy po zmarłym W. mistrzu Konradzie, wybór jego rodzonego brata Ulryka, znanego z porywczosci rycerskiej i nieprzyjaźni ku Polsce. Za rządów umiarkowanego Konrada tłała już iskra wojny między przeciwnymi stronami, lecz tłała jeszcze na dnie ogniska, w popiele. Równie jak szlachta polska tak i ogół Krzyżactwa dyszał wojną; osobliwie w murach zakonu przemawiała powszechna za nią opinia; szydzono tam z powolności Konrada Jungingena—lecz tak Władysław Jagiełło jak i W. mistrz Konrad śmierzyli, ile możności niechęć, wzajemną.

Nie mógł wprowadzić Konrad zaprzecić się swojej żyłki krzyżackiej, wiodącej go do pożądania Marchii, Żmudzi, Drezdenka — lecz jakkolwiek junakowie krzyżacy nazywali go tchórzem, jakkolwiek przekupieni trefnisie żarty z niego stroili, lubo go „po ścianach malowano”, on po koniec życia starał się nie dopuścić wybuchu wojny. Owszem, będąc już na skonaniu, zalecał utrzymanie spokoju, a w szczególności odradzał, aby nie obierano po nim brata Ulryka, po którym można było spodziewać się nieuchronnego szczęku oręża.

Tymczasem wezbrany prąd nienawiści krzyżackiej wzgardził wszelkimi przestrogami rozsądku, a mając po śmierci Konrada według zwyczaju obierać najprzód chwilowego zastępcę, potem rzeczywistego mistrza W., obrano pierwszym komtura Wernera Tettingena, jeszcze sroższego niż Ulryk zapamiętałca i wroga Polski, drugim tegoż właśnie Ulryka. Z Ulrykowym zaś wyborem nastąpiła zakonowi niechybna pora wojny, i zaszła oraz ważna zmiana w całym postępowaniu Krzyżaków, nadająca wcale niespodziewaną barwę wypadkom.

Nowy mistrz krzyżacki Ulryk Jungingen, człek w pełni wieku, śmiały, porywczy, rycerski, nie wdał się ani w brata Konrada, ani w któregokolwiek z dawniejszych mistrzów zakonu. Jeśli każdy z mistrzów poprzednich bywał zwyczajnie jedną stroną serca rycerzem, drugą mnichem pokornym, terażniejszy mistrz Ulryk, serdeczny niegdyś przyjaciel i towarzysz dzikiego Wallenroda, postąpił sobie jak ów cysterski podstarość Kropidły, t. j. rzucił o ziemię kaptur, a wystąpił w pełnej błyszczącej zbroi rycerstwa.

Toż wszystkie rysy zaletne i niezaletne, jakie charakteryzowały szwalerję (rycerstwo) tamtoczesną, odbijają się wiernie w Ulryku. Szczerze pobożny, jak na rycerza przystało, nawet aż do zbytku ufający relikwiom, otwarty i prawdomowny, jak podobnież przepisywały przykazania rycerskie, okazywał on nadto tyle obcej zwyczajnemu Krzyżactwu hojności i rozrzutności, tyle miłosierdzia dla wdów i sierot, tyle pieczy o klasztory i sługi boże, tyle współczucia dla ubóstwa — „jak żaden z jego poprzedników na tronie WW. mistrzów”, czyli jak na Rusi mawiano, „WW. książąt niemieckich”. Stosując się dalej do obowiązku wesołości rycerskiej,



lubił Ulryk wszelkie krotochwile światowe, miewał w swoim orszaku huczną na każde zawołanie kapelę, wyprawiał poźniej w obozie ucieszne pląsy z zaproszonymi z okolicy damami, uderzał chętnie w puhary i w hazardowną grę kostek, do czego, gotowe zawsze, jechały za nim warcabcnice i beczki z winem.

Czem jednakże światowa kawalerskość Ulryka najbardziej raziła oczy ludzkie, to konieczną w ówczesnym rycerzu zarozumiałością, butą, lekceważeniem nieprzyjaciela, które następnie wielce dopomogło Polakom. Powszechna skaza upadającej szwalerji XIV stulecia, wytknięta już przyczyna jej sromotnych niepowodzeń w wojnie z mieszczaństwem flandryjskiem, z chłopstwem szwajcarskiem, z Turkami pod Nikopolis, stanowiła, ta gorzko przez Jagiełłę uczuta i wypominana, „pompa” krzyżacka główną teraz słabą stronę w obliczu Polski.

Zreszą miało Krzyżactwo w swoim obecnym przeobrażeniu za Ulryka nierównie wspanialszy i piękniejszy, bo mniej obłudny, bo otwarcie wojenniejszy niż kiedykolwiek pozór, a było zawsze nieskończenie przemyślniejszem i obrotniejszem niż Polska, wsparta jedynie słuszością swojej sprawy i spółką z szerokim tłumem ludów sąsiednich. Jak każdy rycerz zachodni przyznawał sobie niezmierną wyższość nad mieszczańcem, chłopem lub Turkiem, tak też zachodniorycerskie Krzyżactwo Ulrykowe poczytywało się za coś nieskończenie lepszego od słowiańskiej, gminnej, kożuchem tchnącej Polski, Litwy i Rusi, Któremto uczuciem wyższości podniesiony, wziął zakon w początkowym ciągu wypadków istotną górę nad Polską, wprowadził ją w cale niekorzystne położenie u wstępu wojny.

Owszem, od razu tak górnym i bystrym wzrokiem mierząc nieprzyjaciela, dowiodło Krzyżactwo swojej względnej wyższości po pierwsze tem, iż w obec niepodobnej prawie do odroczenia katastrofy wojennej wzięło w niej bez wahania rolę pomyślniejszą, zaczepną. Podczas, gdy dobroduszną Polska i Litwa do ostatniej chwili nie mogły wyrzec się myśli, iż zakon wreszcie poda rękę do zgody i dobrowolnie uczyni

zadość żądaniom przeciwników, hardy teutonizm pruski zmierzał wszystkimi krokami coraz raźniej ku wojnie.

Zaledwie dowiedziano się w Polsce o śmierci spokojnego Konrada Jungingena, nakazał król Jagiełło żałobne po nim nabożeństwo w całym królestwie, został owszem sprowadzony do Poznania kapłan osobny dla odprawiania codziennie mszy żałobnej za duszę mistrza zmarłego — Krzyżactwo zaś jak już rozgościło się w staropolskim Dreżdenku, tak jeszcze drugą staropolską warownią nad Notecią, zastawiony Johannitom Santok, z podwójną Polski i Johannitów szkodą wcale bezprawnym posiadało teraz najazdem. Skoro pod koniec czerwca r. 1407 przyszedł do skutku wybór W. mistrza Ulryka, stanęło w Malborgu uroczyste poselstwo króla z powinszowaniem nowego dostojęstwa mistrzowi — a Ulryk wyjechał umyślnie ze stolicy i dał posłom polskim czekać długo na siebie, aby jużto króla obrazić, jużto sprawioną tem przewłoką w ceremoniach dyplomatycznych uzyskać więcej czasu do przygotowań wojennych.

Jednocześnie zapadło w zakonie postanowienie, aby w wszelkiej korespondencji dyplomatycznej między Krzyżakami a Polską używać odtąd języka niemieckiego, ze wzgardą właściwszej Polakom łaciny. Zanim znaczniejsze nastąpić miały zatargi, zanim czynione tymczasem przygotowania wojenne osiągnęły miarę potrzebną, chodziło o rozwiązanie pewnej arcyważnej na przyszłość wątpliwości. Należało upewnić się, czy W. księżę litewski Witold, tylokrotnie dawniej poróżniony z Jagiełłą, nie dałby się teraz oderwać od związku z Polską, pozyskać zakonowi.

Głaskano go w tym celu od niejakiego czasu niesłychanemi pochlebstwami, pojono go słodkimi teraz oświadczeniami, że „po Panu Bogu nie masz dla zakonu dobrodzieja i ojca nad Witolda”. Teraz — „co Witold rozkaże, to zakonowi świętem” — w skutek czego przysługiwano mu się zbrojnemi posiłkami w wojnach wschodnich, i przyprawdzono w istocie do tak przyjaznych jak nigdy stosunków z Litwą. Dla zbadania usposobień Witolda w obec terazniejszej waśni krzyżacko-polskiej zjechał się W. mistrz Ulryk wśród ciągłych przygotowań wojennych, w pierwszych dniach r. 1408, w po-

granicznem miasteczku Kownie osobiście z królem Jagiełłą i Witoldem, i zaprosił Witolda do rozjemstwa w nieporozumieniach z Koroną, mianowicie do polubownego rozsądzenia sprawy Drezdenka.

Witold przyjął wezwanie, i mądry piętnastoletniem doświadczeniem korzyści sojuszu z Polską, przeczuwając, na co się teraz zanosi, stanął wiernie przy Polsce — przysądził Drezdenko Polakom. Nieustraszony tem Ulryk podjął rękawicę Witolda, i, przyspieszając wszechstronne zbrojenie się zakonu, zerwał stanowczo z Polską, zakupił w lecie nieszczęsne Drezdenko na wieczystą własność zakonu, zabrał w jesieni dwadzieścia statków polskich, wiozących zboże Litwie.

W odpowiedź na to zabłysnęła pierwsza iskra nieprzyjaźni w obozie przeciwników, wybuchło w zimie z r. 1408 na 1409, podniecone przez Witolda powstanie w krzyżackiej Żmudzi. Skoro bowiem wypadki stanowczo w którąkolwiek przechyliły się stronę, nie było niecierpliwszego do czynu nad Witolda, a biedna Żmudź, jużto poświęcona przezeń dla uporu w pogaństwie, jużto znowuż łatwie buntowana przeciwko Niemcom, służyła za gotową w każdej chwili podniecie wojny.

Zaczem nastąpiło z wiosną r. 1409 zupełne wyrugowanie Krzyżactwa z powstańczej Żmudzi, odnowił się jej dawny sojusz z Litwą, a Witold groził Krzyżakom, iż „skoro żytko dojrzeje, wyruszy z Żmudzinami na Prusy, i ogniem i mieczem nagoni Niemców na morze, aby tam potonęli”. Cała atmosfera tak obficie oddawna przesiąkała wojną, że rycerska ochota W. mistrza Ulryka spotkała się nadspodziewanie prędko z chęcią wzajemną, może nawet prędszej niż sama chciała.

W tej chwili rozstrzygnięcia, przynaglając resztę przygotowań wojennych, wbrew samowolnemu zerwaniu z Polską przez zakupienie Drezdenka, zwróciła się skrzętna polityka krzyżacka ku Polsce z pewnem nader ważnem pytaniem. W razie pomyślniej odpowiedzi mogło ono coraz bliższą wojnę z połączonymi siłami Litwy i Polski ograniczyć na wojnę z samą Litwą, poczem dopiero przyszłyby z czasem kolej na wojnę z samą Koroną. Zapytał tedy Ulryk w czerwcu r. 1409

króla Jagiełłę, czy Polska w wywiązującej się teraz wojnie między zakonem a Witołdem chce posiłkować Witołda?

Król Władysław po kilkutygodniowym namyśle dał odpowiedź umiarkowaną, mającą nadzieję odwiedzenia Krzyżaków od obojłnie zabójczej wojny, skłonięcia ich samą groźbą do powolności żądaniom polskim. Oświadczyło poselstwo królewskie pod naczelnictwem arcybiskupa Mikołaja z Kurowa, że król Polski będzie wspierał swego brata i hołdownika Witołda; gdyby przecież zakon przystał na zgodę polubowną, chętnieby Władysław postarał się o słuszne warunki pojednania.

„Jeśli tak” — odrzeczł W. mistrz Ulryk — „tedy lepiej od razu najechać Litwę!” — „Strzeż się!” — przerwie arcybiskup Mikołaj. „Skoro tylko najedziesz Litwę, król Władysław całą mocą wtargnie do Prus.” — „Dzięki za tę otwartość!” — ozwie się gotów na wszystko Ulryk. „W takim razie wolę chwycić wroga za łeb niż za nogi; wolę najechać kraj ludny i uprawny niż pusty, Polskę niż Litwę.” Te słowa zakończyły porę pogroźek i nienawiści, otwały szranki „wielkiej” wojnie między Polską i Litwą a zakonem i „całemi prawie Niemcami”.

W kilkanaście dni po rozmowie z arcybiskupem, dnia 6 sierpnia roku 1409, przesłał Ulryk królowi Władysławowi Jagielle po rycersku wypowiedzenie wojny, która sama przez się wszczęła się już z Witołdem. A biorąc we wszystkim korzystną dla zakonu inicjatywę, prześcigając nią samegoż niecierpliwego Witołda, wtargnęło Krzyżactwo natychmiast w ziemię dobrzyńską, zdobyło twierdzę Dobrzyń, zajęło Rypin i Lipno, obległo Bobrowniki. Nim się Polacy ocknęli, znalazła się jedna z najpiękniejszych ziem polskich w rękę krzyżackim. Uboga pogańska Żmudź była nader niedostateczną za to nagrodą. Początek „wielkiej” wojny przyniósł wcale niepomysłną wróżbę Polakom.

Pozostała im smutna wymówka, że nieprzyjaciel zaskoczył ich niedość przygotowanych. Rycerstwo krzyżackie miało słuszność przyznawać sobie wyższość nad Polską. W ciągu oblężenia zamku bobrownickiego przybył do obozu Krzyżaków arcybiskup Mikołaj z kilku panami, żądając zawieszenia

oreża. Nie umiano się wprawdzie zgodzić tym razem na warunki rozejmu, lecz Krzyżacy nie byli mu przeciwni.

Na wszelki wypadek musiałaby ziemia dobrzyńska pozostać na jakiś czas przy zakonie, a wzięwszy raz w posiadanie cokolwiek, nie myślało Krzyżactwo o rychłym zwrocie zdobyczy. Za poprzednią zaś obawę śmiertelnej wojny z Polską i Litwą — uwolnić się teraz od tej obawy, i osiąść nadto ziemię dobrzyńską, albo w razie najgorszym ograniczyć odtąd usiłowania Polaków na odzyskiwanie Dobrzynia, było wcale korzystnym dankiem zaczepnej rycerskości Uryka.

Zaczem toczono dalej łatwą wojną w Dobrzyniu, zdobyto Bobrowniki, zburzono Złotoryję i oczekiwano dalszych żądań rozejmu. Mając teraz, owszem, mniej powodów do życzenia sobie dalszej wojny niż Polska, przekupili panowie pruscy summa 60.000 złotych rzymskiego i czeskiego króla Wacława, aby wystąpił z pośrednictwem między zakonem a Polską. Tymczasem król Jagiełło zbierał dopiero wojska, ciągnął z wolna ku Wiśle, a od zawezwanego do połączenia z królem Witolda przysłała niepomyślna odpowiedź, iż mimo najlepszej chęci nie może uczynić tego przed zimą.

Nie poczytano tedy za złe losowi, gdy z końcem września stanęło w obozie polskim pod Bydgoszczą, w obliczu pobliskiej armii Krzyżaków, poselstwo czeskie pod przewodnictwem książąt Oleśnickich, ojca i syna, zapraszające do zgody. Po kilkudniowych umowach dopisał w istocie za pośrednictwem pełnomocników czeskich dziewięćmiesięczny rozejm, aż do 24 czerwca 1410, pozostawiający ziemię dobrzyńską w ręku Krzyżaków, a zawieszający prawdopodobnie także litewsko-krzyżacką wojnę. Oprócz tego obowiązały się obiedwie strony zdać się w ciągu rozejmu na polubowny wyrok króla Wacława, którymby chwilowa przerwa wojny w stały zamieniła się spokój.

Wszystka szlachta polska podniosła jednogłośnie krzyk oburzenia, oskarżając zasiadających w radzie królewskiej sprawców tego rozejmu o przekupienie złotem krzyżackiem. Czy zresztą kraj zgadzał się na rozejm pod Bydgoszczą, czy nie, trudno było wróżyć sobie pod temi warunkami spokój rzetelny. Oczekiwany wyrok króla Wacława (ogłoszono go

posłom krzyżackim i polskim w Pradze około połowy lutego w roku 1410) okazał się dziełem przekupionej spółki z zakonem. Kierując się jedynie uroszczeniami teutonizmu, przyznał on Drezdenko, Santok, Żmudź zakonowi, a ziemia dobrzyńska miała być objętą i dzierżoną dopóty przez komisarzyów czeskich, dopóki Korona nie zabezpieczy Żmudzi Krzyżakom.

Co więcej, osobne zastrzeżenia wyroku zawarowały, iżby król Jagiełło zaniechał odtąd tytułu „pan i dziedzic Pomorza”; po śmierci zaś Jagiełły będą Polacy musieli zaniechać dalszej intronizacji książąt litewskich, t. j. zaniechać dalszej jedności z Litwą, a wybierać sobie królów tylko z książąt zachodnich. W domiar samowolności darował czeski Luksemburczyk Krzyżakom znaczny kawał pogranicznej ziemi litewskiej, tak zwaną ziemię sudawską, jakoby dawną własność swoich przodków, nabytą w wyprawach pruskich.

Zamiast słusznej wyrozumiałości dla coraz głośniejszej w Polsce potrzeby powściągnięcia buty i przemocy Krzyżactwa, spotkali się Polacy w Pradze z coraz zuchwalszemi pretensjami teutońskiego zachodu. Wyprężona w tych czasach struna nieprzyjaźni między Europą germańską a słowiańską, taż sama struna która mało co później w strasznych wojnach hussyckich tak okropnie pękła nad Elbą, równie złowrogim chrzęstem zadrgała teraz nad Wisłą. Posłowie polscy w Pradze zaprotestowali przeciw wyrokowi Wacława, a Polska postanowiła korzystać z pięciomiesięcznego jeszcze rozejmu, aby lepiej niż w roku przeszłym wystąpić do wielkiej wojny.

Głównym wodzem na wojnie a doradcą przed wojną stał Polakom W. książę litewski Witold. Odwiedził go król Jagiełło umyślnie pod zimę w Brześciu litewskim, gdzie za sprawą Witolda ułożono całkowity plan wyprawy wojennej w lecie. Gościł tam podówczas przy Witoldzie chan Złotej Ordy, Tochtamyszów potomek Dżelaledyn czyli Saladyn, którego przyciągnięto także do spółki. Postanowiwszy wyprowadzić wszelkie siły zbrojne Polski, sprzymierzonych książąt mazowieckich Janusza i Ziemowita, wiernie z Koroną trzymającej Litwy i Rusi, zapewnili sobie sprzymierzeńcy tym sposobem jeszcze

30.000 żołnierza tatarskiego. Równocześnie odnowiono związki z Wołoszą, powiększając armię sprzymierzoną posiłkami Wołochów, Besarabów i Ormian.

Podczas gdy ta daleka pomoc nie zbyt rychło zapewne zbroiła się i nadsyłała, działy się podobnie zabiegi u dworów książąt poblizszych, mianowicie w Węgrzech i Niemczech. Lubo ci książęta zachodni prawie bez wyjątku trzymali z teutonizmem krzyżackim, tyle przecież okroiło się Polsce, iż jeden z trzech książąt pomorskich na Szczecinie, Wolgaście i Słupiu, Bogusław VIII Słupski, ociągnął się z przystawieniem pomocy zakonowi, gotów był po zwycięztwie podać rękę Polakom. Ponieważ atoli sąsiednie ziemie rzeskie obfitowały w waleśające się bez zatrudnienia zgraje żołdactwa, przeto równie Zakon jak i Korona mogły za pieniądze mieć ich oręż i krew.

Sprzeciwiało się to wprawdzie wyobrażeniom Polaków, nieoswojonych dotąd z wojną orężem najemnym, lecz głos terazniejszego marszałka koronnego Zbigniewa z Brzezia pojednał ich z użyciem broni płatnej. Po różnych o niej zdaniach w radzie królewskiej ozwał się pan marszałek: „Co do mnie, nie znam lepszego żołnierza nad zaciężnego. Jeśli bowiem zwycięży, zapłaci go kraj zwyciężony; jeśli zaś da się pobić, nikt go nie płaci”. Czem skłoniona rada królewska zaciągnęła w stronach niemieckich znaczną siłę orężną, i już na kilka tygodni przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich stało w Polsce przeszło 10.000 koni i ludu cudzoziemczego, w największej części Czechów.

Z żołnierstwem zagranicznym powołano także z Węgier i Czech wszystką u dworów zagranicznych służącą szlachtę polską, która z swoich dóbr w Polsce winna była zbrojną służbę krajowi. Nie chcąc w razie przeciwnym utracić posiadłości dziedzicznych, wracało obecnie to wędrowne rycerstwo coprędzej do ojczyzny, wrócili w szczególności z Węgier waleczni rycerze Zawisza Czarny z Garbowa, jego rodzony brat Jan Farurej, Tomasz Kalski klejnotu Róży, Wojciech Małski Nałęcz, Dobiesław Puchała Wieniawita, Skarbek z Gór Habdank i różni inni. Jeszcze dalej niż odezwy do rycerstwa najemniczego i Polaków za granicą bawiących, rozchodziły

się pisma dyplomatyczne, polskie manifesty przeciw Krzyżakom, roznoszone przez posłów królewskich po wszystkich dworach europejskich, zanesione nawet aż za morze do Anglii. Domagały się one u monarchów zagranicznych głównie powstrzymania szlachty krajowej od służby pod sztandarami zakonu, lecz domagały się tego na próżno.

Wszyscy bowiem monarchowie zachodu stali otwarcie po stronie zakonu niemieckiego, czuli się obowiązani do ułatwienia mu wszelkiej pomocy. Wynurzył się z tem najgłośniej król angielski Henryk IV Lankaster, wielki przyjaciel Krzyżactwa, owszem, spowinowacony z niem osobistą niegdyś służbą krzyżową oblężenia r. 1390. Słuchając teraz przemowy posła polskiego, który mu cztery ogiery przyprowadził w darze od króla Władysława Jagiełły, zapytał Henryk o przyczynę zbuntowania się Żmudzi przeciw Krzyżakom. Poseł polski wspomniał między innymi, że Krzyżacy becześcili niewiasty żmudzkie. „Mój bracie”! — ozwie się na to ze śmiechem król Anglii — „mamci i ja kraj niemały, ale coźby się z nim było stało od dawna, gdybym go miał był postradać za każdy żart moich rycerzów z czyjąś tam żoną”!

Więcej zapewne pomocy przynieśli Polsce wysłańcy innego rządu, posłowie z torbą na plecach a kijem żebraczym w rękę, włóczący się po Prusiech w stroju dziadowskim. Nie zaniedbując bowiem żadnego środka oświecenia się o stanie rzeczy w obozie nieprzyjacielskim, korzystał Jagiełło także z powszechnego wówczas zwyczaju zwiadów szpiegowskich. Za narzędzie ku temu (nastęrczali się własni poddani W. mistrzów, przychylni dawnym wspomnieniom polskim starcy krajowi, prawdziwi lub udani żebracy, gęślarze, pielgrzymi odpustowi, w każdym razie z całej duszy nienawidzący Krzyżaków. Śpiewając owe staropolskie pieśni o mordach krzyżackich przy opanowaniu Pomorza, o skargach przeciw Kazimierzowi W. za ustąpienie ziemi pomorskiej Niemcom, mieli oni w swoich wędrówkach po kraju znaczyć sobie położenie i liczbę załóg krzyżackich, siłę przybywających na Pomorze wojsk zagranicznych, i uwiadamiać o wszystkim dalszych poufników króla polskiego w Prusiech.

Aby jednak to szpiegostwo nie służyło również Krzyża-



kom przeciw Polsce, starano się o jaknajściślejszą tajemnicę przygotowań i zamysłów wojennych. Jak niegdyś w pomyślnej wojnie z Naderspanem Opolskim, tak i teraz przypuszczono nader niewielu, a według kroniki nawet tylko jednego z panów koronnych, podkanclerzego koronnego Mikołaja Trąbę, do sekretu walnej narady wojennej w Brześciu litewskim. Również sekretnie odbyła się później na wiosnę druga walna rada wojenna, pod przewodnictwem W. księcia Witolda w Nowym Sączu. W jaknajwiększej skrytości pracowano przez całą zimę w różnych miejscach nad niewidzianym potąd mostem promowym, po którymby wojska polskie przeszły nagle Wisłę z nastaniem wojny.

Przez całą zimę odbywał Jagiełło głośno wielkie polowania w różnych stronach Polski i Litwy, w puszczy Białowiezkiej, w lesistych okolicach sandomierskich, w borach ratneńskich, a z cicha solono i chowano ubitą zwierzynę żubrów i łosiów w ogromne beczki, które potem płynęły Wisłą na skład do Płocka, jako arcyprzydatny zapas żywności na przyszłą wojnę. Czasami też rozsiano umyślnie wieść fałszywą. Mieszała ztąd Krzyżaków najbałamutniejsza rozliczność pogłosek o przygotowaniach i przyszłych ruchach wojska polskiego. Z polskiej zaś strony wiedziano przez owych żebraków szpiegujących o wszystkim, co się działo w zakonie. Obchodząc wszystkie zamki krzyżackie, podsłuchując wszystkie rozmowy, znosili ci „ostrzegacze” (jak ich wówczas mieniono) swoje wiadomości do pewnego proboszcza w Prusiech, ten podawał je dalej biskupowi kujawskiemu Janowi, a od tego szły one wprost do Jagiełły.

I nie potrzeba było zbyt przemyślnych fortelów, aby zbadać temi czasy Krzyżaków. Teraźniejszy szaf junactwa rycerskiego w zakonie gardził wszelkimi środkami przezorności. Teraz skutkiem najwyższego zaślepienia Krzyżactwa nienawiścią, gorącą żądzą wojny, odpowiednią temu zuchwałością rycerską — skutkiem istnej kary niebios za dawne grzechy zdradzieckiej potulności — owi niegdyś arcymistrze obłudy i podstęp, owi niby pobożni, pokorni zakonnicy, rozkapturzyli się w porywczych, płochych, wesółych kawalerów rycerskich. Gdy w początku obecnej wojny miano szturmować do

Złotorji, sprowadzili Krzyżacy z pobliskiego Torunia liczne towarzystwo miejskich panien i pań i sprawili sobie z niemi huczny bankiet w obliczu twierdzy.

Wtedy z jednej strony na wzgórzu „białe płaszcze” zakonne „przy szumnym odgłosie trąb, luteń, fletów, piszczałek, cymbałów, dzwonek i innych instrumentów muzycznych, wesolo płaśały z paniami i pannami“, a żołdactwo zakonne zdobyło w ich oczach Złotoryję i zburzyło ją z gruntu. Zręczne i szczęśliwe rozpoczęcie wojny jeszcze bardziej rozochociło, rozzuchwaliło Krzyżaków. Zakupiona stronnicość polubownego sędzi Wacława, także względy jego brata Zygmunta, jawne dowody przyjaźni wszystkich książąt zachodu, podwajały otuchę. Świadomość własnych sił, mianowicie nagromadzonych zdawna skarbów pieniężnych, któremi zakon tak hojnie teraz szafował, a za które miał on po swojej woli wojska zaciężne, wyroki polubowne, dyplomacją, przymierza — wzbijała w pychę rogatą.

Polegano zresztą na opiece jakichś niezwykajnie cudotwórczych relikwiiów, zabezpieczających bracię zakonną od wszelkiego szwanku oręża. Liczono w końcu na stopy owej brzęczącej po skarbcach krzyżackich gotowizny, która w początkach wojny rzeczywiście wszechstronnie pomocną się okazała. „Mam ja całą wieżę złota” — przechwalał się płochy Ulryk — „którą zawojuję dziesięć takich królestw jak Polska”.

Jakoż o niczem innym, jak tylko o zawojowaniu całej Korony, skoro według obostronnych przewidzeń wznowi się wojna o św. Janie, była mowa w zakonie. Co tem niewątpliwiej do skutku chcąc przyprowadzić, podejmowano odpowiednie przygotowania do walki. Jeszcze przed sprzedajnym sądem Wacława zakupił sobie zakon podobnież pomoc Zygmunta, ofiarując mu 40.000 zł. węg., o których własny sekretarz Zygmunta opowiada w swym pamiętniku, że je własnoręcznie „liczyć pomagał”. Stało za nie w ostatnich dniach r. 1409 zaczepne i odporne przymierze między zakonem a Węgrami, obowiązujące Zygmunta do wypowiedzenia wojny Jagielle, jak tylko Polska zacznie wojnę z Krzyżactwem. Najęto dalej w tenżesam sposób posiłki książąt pomorskich, w szczególności Swantebora z Szczecina, który własnego syna Kazi-

mierza zbroił Krzyżakom; zapewniono sobie pomoc biskupów z Inflant, Kurlandji, Rewlu i wyspy Oesel; zaciągnięto liczne żołdactwo w Niemczech.

Ze wszystkich krajów zachodnich, znad Renu, z Francji, z Szwajcjarji, przybywały hufce gości rycerskich, uzbrojone i wojujące o własnym koszcie. Witał je niezmiernie żywy w całym zakonie zapał do wojny, niezmiernie żywy w całym kraju ruch przygotowań wojennych. Od wielu miesięcy powołane było pospolite ruszenie wszystkich zbrojnych sił kraju. Wszystkie granice były gęsto osadzone wojskami. Stołeczna twierdza zakonu, Malborg, została zaopatrzona na długie czasy w składy żywności i rynsztunku. Krzyżackie kuźnie wojenne, krzyżackie ludwisarnie w Malborgu, w Gdańsku, dniem i nocą kuły oręż, łały armaty, wierciły strzały ogniste.

Ludwisarnia malborska ułała temi czasy olbrzymie działo, „jakiego nie widziano dotąd w żadnym kraju niemieckim, ani w Polsce, ani w ziemi węgierskiej”. Po licznych warsztatach krawieckich wyszywano chorągwie i chorągiewki czyli ówczesnym wyrazem „płachty” i płachetki wojenne, różnej wielkości i materji, jedwabne ze złotym haftem, płócienne z malowanemi znakami, prawie wszystkie o dużym krzyżu zakonnym. Wchodząc w najdrobniejsze szczegóły warowności, zamurowywano na wypadek oblężenia większą część okien w twierdzach, urządzono do obrony wszystkie zakąty zamków, nawet schody najskrytsze.

Ale tym przygotowaniom zewnętrznym nie odpowiadało należyte przysposobienie ducha. Chcąc w tej mierze przy coraz bliższym kresie rozejmu, przy coraz bliższym wybuchu wojny, obeznać się z usposobieniem przeciwnych stron, postrzegamy osobliwszą różnicę w obozach nieprzyjacielskich. W Polsce uderza pewna nieśmiałość, pewna powściągliwość moralna, niedowierzająca własnej potędze, prawie nazbyt wysoko ceniąca potęgę przeciwnika. Ztąd jakkolwiek gorąco pragnęła Korona poniżenia zakonu, naprawy uszczerbków swoich, chętnieby przecież przystali byli Polacy na dopięcie tego celu drogą pokoju, choćby z mniej świetnym skutkiem.

Zezwoliwszy w październiku na weale niechlubny rozejm, nie wzgardzili oni następnie propozycją przedłużenia go jesz-

cze o dni czternaście. Aż do ostatniej chwili dwukrotnego zawieszenia broni, owszem, aż do ostatniej chwili przed rozstrzygnięciem losów na polu bitwy, oczekuje Polska głosu pokoju. Tuż przed ostatecznym wybuchem wojny otrzymał zakon przyjazne pismo z podarkami od siostry króla Jagiełły, mazowieckiej księżny Aleksandry Ziemowitowej, upraszające o przedłużenie słusznych warunków zgody. Wielkość coraz bliższej katastrofy wojennej przenika pobożnym strachem Jagiełłę, skłania go do skruchy religijnej, do uświęcenia się zasługami bogobojności.

Kilką tygodniami przed odnowieniem wojny zakłada król klasztor Premonstratenzów w Sądczu, pielgrzymuje do owej starożytnej świątyni na Łysej Górze, która już za dni pogaństwa, gdy on najpierwej z dziecią litewską rozpuszczał zagony po Małopolsce, a potem z Litwy do Krakowa ciągnął po chrzest, koronę i Jadwigę, tak wielkie sprawiła na nim wrażenie. Stąpawszy teraz około połowy czerwca w miasteczku Słupi pod górą Świętokrzyską, uda się Jagiełło ze wschodem słońca pieszo do świątyni u szczytu, i przez cały dzień na klęczkach w modlitwie tam pogrążony, poruczał swoją sprawę cudownej obronie krzyża św.

Jakże przeciwnem usposobieniem grzeszyli teraz ci, którzy przecież mieli nazwę od tegoż krzyża! Wspomniona kilkakrotnie zarozumiałość i hardość terazniejszego Krzyżactwa wzmogła się z wojną w bezprzykładną pychę światową, obrażającą przyjacioł i nieprzyjacioł. Mimo rzeczywistych popędów pobożności, mimo zawieszonoego na piersiach relikwiarza, zapomniał W. mistrz Ulryk o przyzwoitej zakonowi [pokorze, dbając jedynie o jaknajświeńniejszą okazałość przyborów i zwyczajów rycerskich, honorowych. Przy napływie kwiatu młodzieży szlchetnej ze wszystkich krajów popisywali się teraz Krzyżacy praktyką najbłyskotniejszych wymysłów i zwyczajów dawnej szwalerji.

Naśladując starożytny zwyczaj ślubów rycerskich, zobowiązał się np. tucholski komtur Henryk ślubem solennym do noszenia przed sobą tak długo dwóch gołych mieczów, aż dopóki w polskiej nie umoczy ich krwi. Użycie jednego z takich staroświeckich, lecz mało komu już znanych obyczajów,

mianowicie obrzędu wyzwania przeciwnika do boju dwoma nagimi orężami, dało nawet powód do głośnego po wszystkich krajach gorszenia się zuchwalstwem Niemców pruskich.

W skażonym zaś duchu terazniejszej szwalerji należało przedwzyskkiem pogardzać wrogiem. Do czego z dziwnem stosując się zaślepieniem, lekceważyło Krzyżactwo wszelkie wiadomości i ostrzeżenia o siłach nieprzyjaciela. Dowiedziawszy się przypadkowo o nagromadzonych w Polsce posiłkach zagranicznych, donosi o tem pewien urzędnik zakonu W. mistrzowi Ulrykowi, lecz dodaje wzgardliwie, iż nie ma co wierzyć temu. Gdy W. mistrzowi przedstawiono mnogość nadeciągających Polsce posiłków Witołdowych, zawołał Ulryk z urąganiem: „To motłoch! Tam więcej łyżek niż broni!” Słyszając o budowie wielkiego w Polsce ruchomego mostu przez Wisłę, drwił Ulryk z obecnych właśnie Polaków: „Coż tam za most budujecie w powietrzu! Obaczymy, kto po nim przejdzie”!

A nie widząc miecza nad karkiem, nie widziano podobnież przepaści pod nogami. Tymczasem długie lata ucisku podkopały zakon powszechną nieżyczliwością własnego kraju, otoczyły go niechęcią własnych poddanych, gotową korzystać z chwili niebezpieczeństwa, aby zdradzić swoich ciemiężców. Jakoż nad wszelkie inne wyrzekania przeciw nieprawości Krzyżactwa świadczy o niej ta bezprzykładna (jak sami Krzyżacy wyznają) gotowość do zdrady i wiarołomstwa, z jaką wszystkie bez wyjątku stany ludności pruskiej opuściły niebawem zakon tonący, a która już i teraz podmulala mu brzegi.

Owa ochoczość dziadów pruskich do szpiegowania na rzecz Polaków, owa gotowość księży pruskich do przysyłania nowin Polakom, była tylko jednym z wielu innych objawów powszechnego ducha odstępstwa. Za nastaniem wojny obaczym tensam pochop do zdrady w ziemiaństwie pruskim, wojującym poniewolnie pod sztandarami zakonu. „Wielce mi żal” — pisze przed wojną pewien poufnik do W. mistrza Ulryka — „że macie tyle niewiernego narodu w swoim kraju, a nie poznajecie się na jego niewierności”...

Sami wreszcie Krzyżacy umotali sobie pewne dalsze, nadliczbowe sidło upadku. Nadstawił je niechęący ów szwagier

Jagielloń Zygmunt, którego od początku powieści naszej spotykaliśmy tylokrotnie w drodze wypadków, a zawsze w nader podejrzanej postaci. Niebezpieczniejszy swoją przyjaźnią niż nieprzyjaźnią, miał on ten los nieszczęśliwy, iż nad kimkolwiek rozpostarła się jego ręka obronna, ten pewnie zginął. W czasie zamieszek po śmierci króla Ludwika bronił Zygmunt w Polsce następstwa swojej małżonki Marji, a sprawa Marji upadła; w czasie zaburzeń domowych w Węgrzech pospieszył Zygmunt ku wyzwoleniu uwięzionej przez rokoszan starszej królowej Elżbiety, a rokoszanie zamordowali Elżbietę; zwyciężonym później powstańcom węgierskim zaprzysięga Zygmunt przebaczenie i łaskę, a każdy z nich ginie za jego sprawą; sławnemu Hussowi daje Zygmunt na piśmie zapewnienie „swobodnego pobytu w mieście Konstancjum i również wolnego ztamtąd powrotu”, a Huss na stosie płonie w Konstancjum.

Ale niemasz nigdy tak dwuznacznego obrońcy, któryby nie znalazł jeszcze dwuznaczniejszej od siebie sprawy, uciekającej się pod jego skrzydła. Podobnie i Krzyżacy w obecnej chwili, zakupując sobie sprzymierzeńców i polubowników dokoła, uciekli się także do sprzedajności Zygmunta. Zawarty z nim traktat zaczepny i obronny, o którym było wyżej, obowiązywał go do wspólnego z Krzyżactwem wystąpienia przeciwko Polsce. Wszakże pominąwszy dawne traktaty z Polską, zabezpieczające ją na kilka jeszcze lat dalszych od wszelkiej wojny z Zygmuntem, nie miał on wcale chęci dotrzymać słowa i pomocy Krzyżakom, pragnął w gruncie przygaśnięcia sporu zakonu z Polską.

Ztąd gdy Władysław Jagiełło, nie wiedząc o świeżym traktacie Zygmunta z Krzyżakami, a zawsze do pokoju gotowy, zgłosił się w tej mierze do szwagra węgierskiego, pochwycił Zygmunt nastęrczącą się sposobność do rozbrojenia przeciwnych stron, jął się usilnie pośrednictwa między zakonem a Polską. Po bezskutecznym zjeździe W. księcia Witolda z Zygmuntem około połowy kwietnia w Kezmarku, przyrzekł król węgierski zjechać przed końcem rozejmu osobiście na miejsce sporu, do krzyżackiego Torunia, i otrzymał już dnia 27 kwietnia zwyczajny w takim razie głojt bezpieczeństwa do przejazdu przez Polskę. To niezmiernie zaszkodziło

Krzyżakom; owszem (jak oni sami skarżyli się następnie) ostatecznie zgubiło zakon.

Uwikłani bowiem przez Zygmunta w nadzieję przydłuższego ociążenia się wojny, ociążnęli się panowie Pruscy z najęciem gromadzących się zewsząd ku pobojowisku hufców żołdactwa zagranicznego, przeco te, zarówno Polsce jak i Krzyżactwu służyć gotowe, zgraje, zaciągnęły się powszechnie na rychlej ofiarowany żołd polski. Zygmunt zaś po swojemu nie dotrzymał bynajmniej słowa, nie przybył do Torunia. Rozejm świętojański nie przedłużył się do spodziewanej z początku odległości, a gdy w pierwszej połowie lipca wybuchła wojna, ujrzeli Krzyżacy tęzsamą niepoślednią siłę zbrojną naprzeciw siebie, którą bez Zygmunta byliby mieli po swojej stronie.

Zamiast Zygmunta przybyli tylko jego posłowie, palatyn węgierski Mikołaj Gara i Ścibor z Ściborzyc wojewoda siedmiogradzki, jeden z głównych poufników Zygmontowych, Polak, herbu Ostoja. Zagajone przez nich układy nie wydały żadnego skutku. Panowie pruscy spostrzegli zapóźno szkoldliwość zbytniego zaufania konszachtom Luxembureczyka, zbytniej pewności siebie samych i swego szczęścia, i zaczęli tem skwapliwiej rozbijać się za żołdactwem zaciężnem. Podobnież i w Polsce nie było jeszcze końca przygotowaniom wojennym, mianowicie oczekiwano jeszcze nadciągnięcia Witolda z Litwą, Rusią i Ordą przez Mazowsze od Narwi, oczekiwano przybycia reszty posiłków ruskich ze Lwowa, Podola i Wołoszy.

Częścią więc dla uzupełnienia wyprawy zbrojnej, częścią dla niejakiich jeszcze pozorów gotowości do zgody, przedłużono rozejm świętojański o dni 14, do 8 lipca wieczorem. Tymczasem postępowały wojska polskie coraz bliżej ku granicom krzyżackim, aby natychmiast po upłynieniu rozejmu stanąć na ziemi nieprzyjacielskiej. Już w pierwszej połowie maja, pożegnawszy stolicę, poruczoną pod niebytność królewską namiestniczym rządóm arcybiskupa Mikołaja z Kurowa — zatrzymał się król następnie przez dłuższy czas w Korczynie, odprawił w połowie czerwca owo nabożeństwo w klasztorze Świętokrzyskim, a w dzień przedłużenia rozejmu o św. Janie znajdował się jeszcze w Wolborzu, w głębi królestwa.

Ztamtąd spodziewali się Krzyżacy pochodu króla z wojskiem ku tysamym zachodniopółnocnym okolicom Bydgoszczy, gdzie w roku przeszłym stały wojska królewskie i dopisał rozejm. Ku tej więc stronie zwracając głównie uwagę, założył W. mistrz Ulryk ogromny obóz po lewym brzegu Wisły pod Świeciem, dokąd wszelkimi drogami nadciągały wojska krzyżackie. Zebrała się tam z braci zakonnej, z posiłków inflantskich, z wojsk krajowych, z żołnierstwa zaciężnego, z gości rycerskich, niezapamiętana w Prusiech potęga zbrojna z blisko stu tysięcy wojownika, wyglądająca z otuchą armji królewskiej.

Król Władysław jednak, zamiast wyruszyć ku północno-zachodniej stronie, pomknął się w kierunku północno-wschodnim, naprzeciw przybywającemu od wschodu Witołdowi. W dniach 30 czerwca tudzież 1 i 2 lipca przepawiły się wojska polskie z wszelkimi przyborami wojennymi po owym przez całą zimę budowanym moście na łodziach pod Czerwieńskiem, z lewego na prawe wybrzeże Wisły. Tamże nadciągnęły do obozu królewskiego z prawej strony posiłki mazowieckich książąt Janusza i Ziemowita, połączyły się wreszcie z Polakami wojska litewskie pod Witołdem i tatarskie pod Saladynem.

Z wszystkich zgromadzonych w ten sposób oddziałów urosła bezprzykładnie wielka, czyli jak Krzyżacy później mówili „niewysłowienie ogromna“ armia polska, pełna najrozmaitszych narodów, języków i trybów wojowania, zapewne dwójnasób liczniejsza od wojsk krzyżackich, i tem jeszcze górująca nad niemi, iż Krzyżacy mieli ją za nierównie szczuplejszą i mniej udatną, niż ona była w istocie. Z tąż nawałnicą zbrojną wyruszył król niezwłocznie prostą drogą na północ, ku granicom pruskim w okolicach Lautenburga. Ogólnym planem wyprawy był pochód ku stolicy krzyżackiej Malborgowi, do której chcąc bliższym dostać się traktem, wypadło przejść rzekę Drwęcę.

Ca łatwo zmiarkowawszy, opuścili Krzyżacy swoje stanowisko po lewym brzegu Wisły u Świecia, i pomknęli się coprędzej w kierunku poprzecznym ku granicom polskim nad Drwęcą, aby wzbronić przejścia Polakom. Ponieważ ce-



lowi temu odpowiadała przedewszystkiem artylerja potężna, ściągnął W. mistrz Ulryk jaknajrychlej z Malborga i innych twierdz poblizkich wielką liczbę puszek i dział, któremi wojska krzyżackie wzięły stanowczą przewagę nad polskimi. Zarazem obwarowano Drwęcę gęstym rzędem ostrokołów, zasiek, wilczych dołów i t. d.

Owoż, gdy tak obadwa wojska nieprzyjacielskie jeszcze w granicach własnego kraju zmierzają naprzeciw sobie; gdy zwłaszcza Jagiełło miał jeszcze trzy dni drogi do granicy krzyżackiej, stanęli u niego w obozie pod Jeżowem, dnia 5 lipca w sobotę, posłowie węgierscy Gara i Ścibor, próbując ostatniego pośrednictwa pokoju. Łagodny i umiarkowany zawsze Jagiełło zażądał po dawnemu tylko zwrotu ziemi Dobrzyńskiej i Żmudzi, lecz zaczął w postawie zbrojnej, nie przerywając działań wojennych. Posłowie węgierscy udali się w najlepszej myśli do obozu W. mistrza, stojącego nad Drwęcą pod Kurzętnikiem, i długo bezskutecznie radzili z nim o pokoju.

Jagiełło tymczasem w pierwszej dobie po upływie rozejmu, dnia 9 lipca we środę, przeszedł granicę, dążąc podobnież ku Drwęcy u Kurzętnika. Zanim jeszcze panowie pruscy oznajmili posłom węgierskim wyrok ostatni, rozniosła się w obozie krzyżackim wiadomość o pierwszych nieprzyjacielskich krokach ze strony Polaków, zajaśniały pierwsze łuny pożarów. Hardemu usposobieniu terażniejszego Krzyżactwa wydało się to zniewagą do niezniesienia. Na toż rozzuchwalony oddawna zakon miał tak wojennie odgrażać się przeciw Polsce, aby teraz złożył oręż spokojnie, gdy nieprzyjaciel kraj mu pustoszy!

Zaczem „Wojny! wojny!“ zażądało jednogłośnie rycerstwo zakonne w burzliwej radzie ostatniej, a parlamentarz Jagiełłów Korcbog, wyprawiony do posłów węgierskich po odpowiedź na rozmowę w Jeżowie, wrócił z niczem do króla. Wtem doszła Krzyżaków wieść, że Polacy cofają się z przed Drwęcy, pozostawiając w pośpiechu sprzęty i amunicję po drodze. Była to wieść prawdziwa, spowodowana przeświadczeniem się wojsk polskich o niezmiernie trudnej przeprawie przez rzekę Drwęcę. Postanowił w takim razie Jagiełło dążyć pod Mal-

borg drogą nieco dalszą, lecz bezpieczniejszą, powyżej źródeł Drwęcy. W tym celu zwrócono się z przed Kurzętnika w stronę przeciwną, na wschód, ku Działkowowi, aby ztamtąd wyruszyć znowuż naprzód, w stronę północną.

Dziwne zaślepienie Krzyżaków mniemało widzieć w tem istny odwrót, spowodowany małodusznością. Ogarnęła ztąd wielka radość rycerstwo pruskie, powiększona pewnem dalszem następstwem położenia terazniejszego. W dniach 12 i 13 lipca, stosownie do traktatu między zakonem a Zygmuntem, obowiązującego koronę węgierską do podniesienia oręża przeciw Polakom, skoro król polski wtargnie z wojskiem do Prus, nastąpiło w obozie polskim wypowiedzenie wojny Jagielle ze strony Zygmunta. W tak pomyślnym składzie okoliczności należało Krzyżakom korzystać z pory, zabiegając śmiało drogę wojsku polskiemu.

Jakoż uczynił to z wielką skwapliwością mistrz Ulryk, i między 13 i 14 lipca posunął się coraz dalej na wschód, ku wsioom Lobawie i Fragenowu, w poprzek zamierzonemu pochodowi Polaków. W tym samym czasie wyruszył Jagiełło z Działdowa w swój pochód ku północy, pod miasteczko Gilgenburg czyli Dąbrowno, które dnia 14 w nocy zdobyto i zburzono. Nazajutrz, dnia 15 lipca we wtorek, w skutek coraz dalszego posuwania się nieprzyjaciół w obranym raz kierunku: Krzyżactwa zpod Lobawy i Fragenowa ku wschodowi, Polaków zaś zpod Dąbrowna ku północy, miały obiedwie armje ogromne zetknąć się niespodzianie w okolicy wsi Grunwaldu i Tannenberga.

Noc z dnia 14-go na 15-sty lipca była nadzwyczajnie wietrzna, burzliwa. Gdy nazajutrz król Władysław Jagiełło w obozie pod Dąbrownem chciał o świcie wysłuchać mszy św. przed pochodem, nie zdołano dla wichru rozpiąć żadną miarą namiotu, pod którym zwyczajnie odprawiało się nabożeństwo. Uprosił tedy W. książę Witold króla Jagiełłę, aby do nieco późniejszej chwili odłożył modły, a tymczasem wyruszył w drogę. Tym sposobem postąpiła armia królewska o dwie mile na północ, i znalazła się przed południem w pobliżu wsi Logdau i Faulen czyli Ulnowo, z ubocza od Grunwaldu i Tannenberga, leżących o pół mili na lewo, ku zachodowi.

# W OJCÓW ŚLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

— To już dalsza historja — zauważył sędzia.

— A właśnie, że nie! Z przeproszeniem sędziego dobrodzieja, trzaż wiedzieć kapitał obrotowy w przybliżeniu.

— Zatem podpisujmy — odezwał się Styczyński.

— Proszę panów — przemówił Rodowski.

Stary Głębocki, któremu radość i rozczulenie nie pozwalały ustać na miejscu, chwycił pierwszy za podawane z powagą przez Rodowskiego pióro.

— Za siebie i syna — rzekł, kreśląc parotysięczną cyfrę w dwóch pozyejach.

Z kolei podpisał Boczkowski, Styczyński, Dukwicz i kilku jeszcze innych. Ostatni zbliżył się sędzia.

— Tylko uprzedzam: wcześniej, jak z „nowego,” nie dam! — zastrzegł się, kładąc podpis.

Rodowski, który sędziemu nie mógł darować niedawnej przymówki, uśmiechnął się złośliwie, wygłosiwszy: *meux tard que jamais*, na co Tarcza nie byłby zapewne został

dłużnym w odpowiedzi, bo już zaczął węssem motać, ale baczny na wszystko gospodarz klasnął w tym momencie w dłoń!

Zjawił się lokaj z tacą omszałych butelek.

— Po staremu! Za pomyślność naszego stowarzyszenia.

Uniósł kieliszek w górę.

— W ręcc pana Głębockiego!

Zadzwonilo szkło.

— A teraz zdrowie naszego, czcigodnego prezesa! — zawtórował Głębocki—inicjatora każdej dobrej, obywatelskiej..

— Zdrowie pana Boczkowskiego! — huknęli obecni.

— Nie! nie! „Kochajmy się!” — bronił się gospodarz.

Wypito znowu.

— Widzisz, Tadku, że tu u nas ani tak głupio, ani tak nudno — szepnął półgłosem stary Głębocki.

Tadeusz, któremu znowu przypomniały się gwarne koleżeńskie zebrania, rzucił ożywionem kilkoma kieliszkami węgrzyna okiem po rozjaśnionych twarzach.

Zrobiło mu się jakós mniej obco. Wysunął rękę po świeży kieliszek.

W tej chwili ktoś dotknął z lekka jego ramienia. Odwrócił się. Przy nim stał młody, puciołowaty brunet, o twarzy dobrodusznej, rumianej, ogorzalej aż po szcztokowato obcięte włosy.

— Przepraszam — zaczął nieśmiało.

Tadeusz, nie będąc pewnym, czy został przedstawionym, pośpieszył, wyciągając rękę:

— Tadeusz Głębocki.

— Boleśław Wilkosz. Ale ja miałem już przyjemność... Tylko chciałem, korzystając ze sposobności, dać się bliżej poznać panu doktorowi...

Tadeusz miał już na ustach zwykły w takich razach frazes, gdy nagle uczuł jakiś dreszcz nieprzyjemny, przebiegający po całym ciele. Poprzestał na uściśnieniu ręki. Po chwili dopiero, zapanowawszy nad ogarniającem go wzruszeniem, przemówił chłodno:

— Wspominał mi ojciec. Pan dzierżawi Rybne? Niezły majątek.

— Tak. Ale dzierżawa wyciągnięta. W dodatku lata

liche. Zboże za bezcen. Teraz, przy kolei, trochę lepiej... ale zawsze...

Tadeusz pokręcił węża, i, mierząc z pod oka wywnętrzającego się Wilkosza, myślał:

— To ten aspirant do ręki Broni. Ciekawa jakaś figura. Ale żeby sobie poszedł do diabła, nie miałbym nic przeciwko temu.

I w miarę, jak Wilkosz mówił, posępniał coraz bardziej. Wreszcie przerwał prawie szorstko:

— Przepraszam. Kiedy indziej pogadamy. Muszę...

I nie dokończywszy nawet zaczętego zdania, wychylił do dna trzymany w rękę kieliszek i szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę salonu.

Mięsista twarz Wilkosza przeciągnęła się; otworzył szeroko usta, powiódł zakłopotanym wzrokiem za odchodzącym.

— Musiałem coś palnąć... Albo rzeczywiście nie ma czasu—pomyślał.

I przysiadłszy potulnie na najbliższym krześle, zapatrzył się uporeczywie w podłogę.

Młody Głębocki, nie zdając sobie sprawy, dlaczego, uczył się nagle wzburzonym. Rodziła się w nim jakaś chęć gniewu, połączona z niesmakiem, z bezwiedną niechęcią i nieuchwytnym żalem za coś i do kogoś. Targał myśl za myślą, wrażenie za wrażeniem, popadając w coraz większą rozterkę. Nawet to, co przed chwilą poilo go zadowoleniem, wydało mu się obecnie podejrzanem, nieszczerem, płaskim po prostu.

— Zakładają stowarzyszenia i robią z tego zaraz jakąś kwestję—szeptał do siebie przez zaciśnięte zęby, zmierzając w najdalszy punkt salonu. Stał w oknie, kryjąc się za tiulowe firanki. Przycisnął dłonią rozpalone czoło.

Po chwili usłyszał za sobą pieściwy głos panny Boczkowskiej.

— Śliczna noc! a raczej wieczór, bo dopiero dziesiąta... co mi przypomina o obowiązkach wice-gospodyni... Panowie pewnie głodni?

Tadeusz odwrócił się szybko, dostrzegłszy podnoszącą

się z taboretu Helenę. Nie zauważył, że siedziała nieopodal i zmieszał się.

— Ach! przepraszam—zaczął.—Nie widziałem pani. Jestem wogóle roztargniony... Przytem...

— Przytem trochę przejęty zasłużonem uznaniem—dołączyła.—Miałeś pan ze mnie pilną słuchaczkę. Schowałam się w kącik i nie uroniłam jednego słowa.

Głębocki starał się uśmiechnąć, ale w tym uśmiechu zarysowało się jakby nieufne zdziwienie, co spostrzegłszy, przemówiła żywo:

— Pan się dziwi i nie dowierza?

— W mojem przekonaniu, mogłem raczej znudzić panią.

— Zwykłam być szczerą.

— W takim razie wierzę i z równą szczerością dziękuję za przychylną ocenę, dziękuję tem więcej, że z całego zgromadzenia jedna chyba pani podzieliła naprawdę moje zapartywania.

—Nie rozumiem! Przeciwnie, wszyscy...

— Złudzenie—przerwał.

— Nieładnie być takim pesymistą!

— To nie pesymizm, lecz trzeźwy pogląd.

— Nie zgodzę się nigdy! Jak można tak czarno patrzeć na świat! na nasz świat — dodała z naciskiem. — Proszę się z tego wytłómaczyć.

Przysunęła się teraz bliżej, opierając kibić o wycięcie weneckich okien.

— Proszę się wytłómaczyć — powtórzyła tonem nalegającej prośby.

Skrzyżowali spojrzenia. W oczach Głębockiego rozlało się jeszcze większe zdumienie. Nie wiedział w pierwszej chwili, czy pytanie brać na serjo. Ta panna prosto z pensji imponowała mu i swobodą i dziwną jakąś przyjacielskością obejścia, a imponowała tem bardziej, że najniespodzianie.

Nie spodziewał się bowiem nigdy spotkać nic podobnego w wiejskiem zaciszu, nie wyobrażał sobie nawet, aby podobne zjawisko istnieć mogło.

Zawahał się, zamyślił. Odczuła to wahanie.

— Jakaż ja śmieszna jestem ze swoją ciekawością! — szepnęła.

— Ależ... Bynajmniej! Zbierałem właśnie myśli—odrzekł szybko. Poczem spytał:

— Lubi pani poezje Słowackiego?

— Nad wyraz!—potaknęła nieco zdziwiona. — Czytałam wszystkie prawie... Wiele ustępów pamiętam...

— A „Beniowskiego“?

— Doskonale!

— A te zwrotkę przypomina sobie pani?

Zaczął deklamować półgłosem:

„Dopókiś młody, bawią cię ballady,  
Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca—  
Lubisz w wierszykach duchy, księżyc, gady,  
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica  
W mgle...

...w której wiersze brzęczą jak owady

I brylantują myśl blaskiem księżycy“—

podszepnęła, wtórzac.

Uśmiechnął się z sarkazmem i kończył silniejszym głosem:

I myślisz, że to poeta tak roi,  
Skrzy się, i błyska i leci... On stoi!  
Ty sam te myśli niesiesz w kraj marzenia!  
W tych pieśniach twoja właśnie dusza świta!  
W tych dumkach twoje latają westchnienia...

Nie dokończył zwrotki, lecz wychylając się z za tiulowej osłony, ukazał głową na rozmawiającą z ożywieniem grupę mężczyzn i spiętrzonym głosem powtórzył:

— „On stoi“. „W tych pieśniach twoja tylko dusza świta“.

Panna Boczkowska ściągnęła brwi, blada jej zwykle twarz spłonęła nieco i całą głębią spojrzenia utonęła w mówiącym. Wzrok ten zdawał się przenikać i odgadywać niewypowiedziane dotąd przez Głębockiego myśli i zapraszać zarazem do dalszych zwierzeń. Nie było to właściwe kobietom „przystosowywanie się“, ani salonowa giętkość „przemilczania“ w porę, bo te oczy patrzyły przeczeniem, uprzedzając rozchylone z lekka usta.

Jakoż po widocznym namyśle, rzuciła tonem zapytania:

— Poezja i trzeźwy pogląd?

— Wróćmy więc do prozy — odparł pośpiesznie. — Chcę bowiem bardzo przekonać panią, panno Heleno.

To „panno Heleno“ wymówił z pewnym odcieniem koleżeńskiej poufałości.

Skinęła mu głowę.

— Słucham... Lecz jeszcze słówko wyjaśnienia, nim przejdziemy do prozy. Zacytował pan Słowackiego... jako wyjaśnienie swych poglądów. Pospierałabym się trochę o znaczenie słów poety, o myśl, zawartą w wygłoszonych strofach.

— Teraz ja słucham.

— O ile rozumiem wiersz: „w tych pieśniach twoja właśnie dusza świta, w tych dumach twoje latają westchnienia“ odnosi się do słuchacza, czy słuchaczy, którym tylko wydaje się, że to poeta tak roi, skrzy się, i błyska i leci... A słuchacze—dodała—są tam!... panie Tadeuszu.

Zwróciła twarz półruchem w stronę ojca i starego Głębockiego, rozprawiających w drugim końcu salonu.

Tadeusz, po chwilowem zastanowieniu się, odrzekł:

— Ma pani rację. Na punkcie poezji uznaję się pobitym. Istotnie, cytata była fałszywą.

— O, nie!—zaprzeczyła śmiało.—Nie cytata, lecz pański sąd doraźny o otoczeniu. Wiersz prawdę mówi. Pańskie przekonania, wygłoszone przed chwilą, były oddźwiękiem przekonani i pragnień większości, to ich dusza — znowu ukazała na rozmawiających mężczyzn—świtała w pańskich słowach. Pan wypowiedziałeś tylko to, co odczuwano dawno. Brak było tylko śmielszej inicjatywy i w tem tkwił błąd...

Młody Głębocki rozwarł szeroko oczy i, niehamując się już dłużej, wykrzyknął:

— Panno Heleno! pani mię wprost zdumiewa bystrością i głębokością obserwacji. Wprost zdumiewa! Rozmawiamy jak dwóch „spółczesników“, a nie...

Uśmiechnęła się smętnie; on zaś ujął jej rękę w swoje i mówił urywanemi zdaniem:

— Przekonała mię pani. Ze skruczą przyznaję się do



winy. To istotnie pesymizm! Ale pozwoli mi pani wytłumaczyć się, usprawiedliwić do pewnego stopnia wyrażony poprzednio pogląd. Zależy mi na tem teraz wiele... Od czasu przyjazdu do Głębokiego nie miałem się przed kim wywnętrzyć... Czy mogę prosić o chwilkę pobłażliwej uwagi?

W miejsce odpowiedzi skinęła życzliwie głową.

— A więc—zaczął, zniżając głos — przyjazd do Głębokiego wpłynął do pewnego stopnia na pokrzyżowanie niektórych moich planów. Ale to sprawy osobiste. Wróciłem. Lat parę z rzędu nie byłem w kraju. To, co z dawniejszych czasów pozostało w pamięci, nie mogło dać mi dokładnego pojęcia ani o ludziach, ani o stosunkach miejscowych. A pani to zrozumie: każdy wracający w swoje strony radby ujrzał w rodzinnych kątach wszystko najlepsze, najpiękniejsze, najbardziej dodatnie. Z takim pragnieniem wraca... Mówią z przekąsem o ludziach, szukających plam na słońcu; ja sądzę, że można, że wolno je dostrzedz na ziemi, jeśli się tylko tę ziemię kocha! Ja je dostrzegłem; na pierwszym kroku spotkało mię rozczarowanie, zawód... Prysły złudzenia—mówił ze wzrastającym zapalem:—zamiast rozwoju, dojrzałem zastój, w miejsce rozkwitu... braki, a co najgorsza, zamykanie oczu na te wszystkie niedostatki, nieodczuwanie właściwych potrzeb... I uczułem się odosobnionym wśród swoich. Może i to wpłynęło, że nazbyt czarno...

Zamilkł, oddychając głęboko.

— Odosobnienie—zaczął znowu po chwili—wyradza...

— Nieufność — dokończyła, przerywając. — Ale czasami to, co się nam wydaje odosobnieniem, jest tylko wygórowaną dumą, lub wprost nadmiernem żądaniem tego, czego rzeczywistość dać nie może. Wie pan, że i ja w pierwszych chwilach po przyjeździe z pensji odczuwałam coś podobnego. Miałyśmy nauczycielkę, osobę bardzo zącą, bardzo wykształconą. Utrzymywała cały dom i chorego męża z własnej pracy. Nieszczęście wyrobiło w niej hart duszy i wysokie pojęcia o zadaniach i siłach kobiety. Te przekonania wpoila w nas. Marzyłyśmy o nadzwyczajnych rzeczach...

Uśmiechnęła się.

— Mnie zwłaszcza, a pochwalę się, że byłam jedną

z najlepszych uczennic w zakładzie, roily się takie górne wzloty, iż, gdy zetknęłam się z tem, co mi naprawdę przypadło w udziale, doznałam podobnego panu zawodu. Ale to trwało krótko... Dziś z tych marzonych pragnień zostało tylko jedno: być pożyteczną. I to zaspokajam.

Tadeusz słuchał w milczeniu.

Przetarła batystową chusteczką zaćmione oddechem szyby okien i zapuściła wzrok w przestrzeń. Młody Głębocki bezwiednie poszedł za jej przykładem.

Noc była jasna, bezchmurna, prawie błękitna. Tylko nad ziemią samą snuły się z rzadka postrzępione tumany mgły, przesiąkniętej żółtawym odbłaskiem księżycowego światła. Z okien było widać wieś: szereg chat i zabudowań włościańskich. W chatach spano już, bo z żadnego podstrzesza nie wysuwała się jaśniejsza smuga. Na skraju wioski rysował się większy budynek. Tam migotało nikiłe światelko.

— Mój szpitalik—szepnęła.—Szkółki krawieckiej nie widać. Zaslaniają topole. Mam dwadzieścia uczennic. Jakie to zręczne stworzonka! Posłałam na wystawę etnograficzną kilka ubranek ich szycia... Żeby pan wiedział, jaką mi to sprawa przyjemność! Mały to zakres pracy, a jednak...

Spojrzała na Głębockiego, któremu podziw tłumiał słowa, i dokończyła ciszej:

— Jednak czuję się zadowoloną, bo...

— Bo?...—podchwycił nagle.

— Bo nim sięgniemy dalej, zaczynamy z pobliza.

Chwycił znowu jej dłoń, jakby z zamiarem poniesienia do ust, ale opamiętawszy się, poprzestał na gorącym uścisku.

— Pani jest dla mnie prawdziwym zjawiskiem! — wybuchnął.

Więcej mówić nie mógł, tylko patrzył istotnie jak na zjawisko. Wydała mu się teraz nawet piękną, z tym błaskiem zapalonym w oczach, goniących gdzieś w przestrzeń nocną, z tą kryształowo-przejrzysto cerą, dzierzganą siatką błękitnych żyłek.

Ona zaś, jakby nie dosłyszała ostatnich słów, powtórzyła w zamyśleniu.

— A tyle jest do zrobienia! tyle! Dość chcieć szczerze, dość serce otworzyć...

Tymczasem pozostałe towarzystwo toczyło w dalszym ciągu ożywioną rozmowę. Rodowski, znalazłszy potulnego słuchacza w osobie poczciwego Dukwicza, harcował na ekonomicznym koniku, dowodząc konieczności zakładania sklepów ziemiańskich, przeciw czemu nie z zasady, lecz gwoli przekomarzania się, oponował zawzięcie pan Tarcza. To wzruszał ramionami, to przerywał mówiącemu, zbijając jowialnym żartem efektowne wywody Starykonia, co tak podrażniło Rodowskiego, że zapomniawszy o angielskiej flegmie i monoklu, podnosił głos i patrzył bez szkieł.

Do siedzącego samotnie Wilkosza przysiadł się Styczyński, i dopomagając sędziemu, z oddalenia poddawał w wątpliwość niektóre argumenty Rodowskiego.

Stary Głębocki wraz z gospodarzem, mało mieszając się do ogólnej rozmowy, szeptali na uboczu półgłosem, spoglądając od czasu do czasu ku weneckiemu oknu, gdzie w fałdach firanek rysowały się sylwetki Tadeusza i Heleny. Na twarzy obydwóch malowało się głębokie zadowolenie, urywany szept przechodził niekiedy w ton zwierzeń, serdecznych potakiwań, stwierdzanych częstym uściskiem rąk.

— Kochany prezesie—mówił Głębocki, wywnętrzywszy się już dostatecznie z dręczących go obaw,—żałować, nie żałuję, lecz kto ma jedno, jak ja, dziecko, ten najlepiej uczyni, trzymając je przy sobie. Gdybym był po dawnemu, prosto ze szkół wziął do gospodarstwa, nie byłoby tego! Nie winię Tadeusza... Juścić młodemu świat pachnie, ale trapi mnie ta jakaś niechęć do roli...

— Minie wszystko! minie! niech-no tylko między nami posiedzi—odrzekł Boczkowski.

— Teraz mam większą nadzieję, jeżeli tylko szanowni państwo...

Zamienili znowu uścisk.

W tej chwili w sąsiednim pokoju rozległ się brzęk talerzy i do salonu weszła pani Boczkowska.

— Franiu!—przemówiła do męża.—Proś-że panów!

Zaczęła szukać oczyma córki, a dojrawszy Helenę i Tadeusza razem, skierowała się ku nim.

— Helenko! kolacja!—przemówiła, dochodząc.

— Przepraszam matuchnę—szepnęła Helena nieco stropona.

Boczkowska uśmiechnęła się łagodnie.

— Prosimy... czem chata bogata! — zapraszał równocześnie w drugim końcu salonu gospodarz.

Stary Głębocki, zbliżywszy się, podał ramię pani domu, za nimi ruszyli inni ku otwartym drzwiom jadalni. Tadeusz przebiegł żywo do idącej za matką Heleny, ale go uprzedził Rodowski.

— M a d a m e!—rzekł, wdzięcznie wyginając swą postać.

Panna zawahała się chwilę, lecz przyjęła ofiarowane ramię.

Młody Głębocki przygryzł wargi.

Idący obok niego Tarcza jął żartować, ukazując oczyma na Rodowskiego.

— Będzie jadł za trzech, bo się nagadał za dziesięciu. Dobrześ mu przyciął, panie Tadeuszu, z tą sukienką... Cha! cha! Trzeba mu to do reszty wybić z głowy.

Tadeusz nie mógł powstrzymać uśmiechu, co widząc sędzia, szepnął na ucho:

— Sto tysięcy gotiu! a po najdłuższem życiu..

Młody Głębocki drgnął.

— Przepraszam, lecz nie rozumiem, do czego sędzia dobrodziej zmierza?

— No! no! Wiemy, gdzie raki zimuja...

W Tadeuszu zaczęły się budzić znowu jakieś nieufne echa.

Siedli do stołu. Z początku zapanowało milczenie, przerywane jedynie brzękiem talerzy i sztućców z herbami Boczkowskich. Po chwili Rodowski wszczał znowu sprawę stowarzyszenia, proponując zjazd powtórny.

— To już u mnie, w Głębokiem—odezwał się na to Głębocki.

— Bardzo dobrze—potaknął Boczkowski—A kiedy?

— Choćby i jutro!

— O, nie! Najedziemy sąsiada, ale jak nam już pan Tadeusz opracuje ustawę. Prawda?

Tadeuszowi wypadło coś powiedzieć, choć przez grzeczność. Rzekł więc:

— Postaram się możliwie szybko wywiązać z zaszczytnego zadania, aby nie narażać szanownych panów na zwłokę.

W myśli zaś dodał:

— Bo i mnie zależy na pośpiechu.

— Póki co—wtrącił siedzący obok pan Dukwicz,—może w wolnych chwilach wpadłby pan do mnie. Zapolujemy, pogawędzimy de publicis...

— I ja się spodziewam widzieć pana u siebie—przemówił pośpiesznie Rodowski.

— Rozumie się, że kochanych sąsiadów najedziemy niebawem. Prawda, Tadeuszu? — odpowiedział w miejsce syna stary Głębocki.

Tadeusz siedział jak na rozżarzonych węglach. Odżyły w nim dawne podejrzenia, budząc rozgoryczenie i niechęć. Z dużym wysiłkiem zapanował nad sobą, podziękował ukłonem za zaproszenie, ale milczał. Bo oto złośliwy podszept mówił mu w duszy:

— Ten zjazd, to stowarzyszenie, to wszystko z góry ukartowane, aby cię tylko zatrzymać, aby skrępować twoją wolę. Wyprowadzono cię w pole. Wpadłeś...

A obruszona miłość własna dodawała:

— Przywieziono cię tu, zahypnotyzowano serdecznością, podsunęto pannę... Nie sróż się! nie gniewaj! to wszystko dla twego dobra!

Ogarnęło go rozżalenie, chęć odwetu. Spojrzał na rozmawiającą półgłosem ze Styczyńskim pannę, jakby w zamiarze upewnienia się co do swych domysłów.

Miała twarz spokojną, uśmiechającą się swobodnie, jasną. Nie śmiał jej podejrywać. Zmiękł.

— Robi, co jej każą — pomyślał,— nie wiedząc, że jest tylko narzędziem.

W tej chwili przesunęła mu się w myśli twarzyczka inna, z figlarnie wykrojonymi ustami, z płomienną główką

i oczyma skrzącemi żarem. Instynktownie odwrócił się półbokiem w stronę stołu, gdzie siedział Wilkosz.

Dzierżawca z Rybnego jadł pieczeń, krając zamasyście kawałek po kawałku. Na rumianej twarzy nie malowało się nic, prócz chęci zaspokojenia apetytu.

— Dobrana będzie para!—mruknął ironicznie.—Prawdziwy Wilkosz!

Zamyślił się, chmurniejąc coraz bardziej.

Odetchnął dopiero swobodniej, gdy wstano od stołu, ile że pora była późna i niektórzy zaraz zaczęli się żegnać i rozjeżdżać.

Jeden z pierwszych wyjechał Wilkosz. Przy pożegnaniu spytał nieśmiało Tadeusza:

— Czy pan doktor pozwoli odwiedzić się w Głębokiem?

— Nie nazywajże mię pan doktorem! — odpowiedział z przekąsem młody Głębocki. — A co do odwiedzin... ojciec zaprosił wszystkich tu obecnych. Pytanie przeto zbyteczne.

Podał mu pośpiesznie rękę, poczem zaczął kolejno żegnać innych, upatrując, czy Jędrzej nie podjechał.

Ale Jędrzeja jeszcze nie było. Wrócił więc do salonu, gdzie spotkawszy ojca, rzekł:

— I na nas pora.

— Czujesz się znużonym?

— Nieco.

— Chciałbym jeszcze pogawędzić, ale, jeśli tak, to jedyemy... Każ zaprzęgać.

Wysłany lokaj wrócił niebawem z zawiadomieniem, że konie zaszyły. Głęboccy zaczęli się żegnać.

— Może cygaro na drogę? — zaproponował Boczkowski.

— Jeżeli prezes łaskaw, i owszem — odrzekł stary Głębocki.

Stojąca opodal Helena zbliżyła się do Tadeusza. Byli prawie sami, bo pani Boczkowska jakby umyślnie zaczęła układać jakieś drobiazgi na stojącym w rogu pokoju stoliku, a starsi panowie wyszli do gabinetu po cygara.

Tadeuszowi wypadało coś powiedzieć. Zaczął więc:

— Jeszcze raz chcę pani podziękować...

| Za co?—spytała.

— Za tę rozmowę, za wrażenia podniosłe, jakich doznałem.

— Ale pan czegoś smutny. Zauważyłam to przy kolacji...

— Smutny? Nie wiem. Jeśli tak, to i... pełen winy.

— Ach! znowu Słowacki! Widocznie z pana doktora również i poeta—dodała żartobliwie.

— O zerwanych strunach!

— O zerwanych? A przypomina pan sobie te strofy:

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,  
 Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi  
 Duszy mojej spoczynek był—lecz mi obrzydła:  
 Bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi,  
 Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne  
 Powinny być—a są podobne snowi.  
 A więc zerwałem naprzód dwie weselne  
 Struny na lutni tej i nigdy więcej  
 Już nie obudzę ich—bo są bezczelne.  
 Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy  
 Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały  
 I usnąć smutne serce umiały najprędzej.  
 Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały  
 Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła:  
 Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.  
 Została jednak ta, co teraz woła:  
 O wy! co w prochu myśli małżecie i serca,  
 Z tych serc otrzyście rdzę - podnieście czoła!

Przy ostatnich słowach drżący jej głos rozbrzmiał silniej, źrenice rozszerzyły się i rozjaśniały gorączkowym połyskiem.

Młody Głębocki, słuchając z pochyloną głową, uczuł się znowu zwalczonym i jak przedtem, tak i teraz powtarzał w duchu:

— Zjawisko! doprawdy, zjawisko! Jest dziwnie dobra i dziwnie szlachetna... I mam dla niej...

Głos wewnętrzny podszeptął:

— Głębocki szacunek!

## ROZDZIAŁ III.

Wrócili od Boczkowskich późno. Mimo to, Tadeusz wstał ze dniem prawie. Właściwie nie spał wcale. Nadmiar doznanych wrażeń spędził sen z jego powiek. Borykał się z bezsennością do świtu, palił papierosy i dumał. Myśli napływały, jak fale, jedna za drugą, jedna z drugiej. Czuł się znużonym tem szamotaniem się z samym sobą, osłabionym nie tylko moralnie, lecz i fizycznie. Do wewnętrznej rozterki przyłączył się ból głowy, na piersiach zaciężyła gorąca duszność. Próbował parę razy zniewolić się do snu, lecz naderemnie, więc, doczekawszy zarania, wstał z zamiarem odechnięcia świeżem powietrzem.

We dworze było cicho. Spali.

Wyszedł przed ganek i skierował się bez celu ku zabudowaniom dworskim: stajniom i stodołom.

Dzień wylaniał się pobielony mgłami, które z nocy opadłszy, rozstępowały się teraz przed wschodzącem słońcem. Powietrze syciła rzeźwiąca wilgoć, łagodząca jaskrawą rozświetl poranku. Brzask, brodząc w mglistej roztoczy, zstępował leniwiej, gubiąc po drodze część blasków. Tam, gdzie promienie przedarły się już do ziemi, szklily się rosy gęsto usiane. Niemniej górą w zwilżone wierzchołki drzew i mokre dachy biło już światło i rozpryskiwało się tysiącem skier dokoła.

W gumiennem podwórzu zalegała również cisza, ile że była niedziela i ludzie, nie śpiesząc się do codziennych zajęć, wypoczywali dłużej. Tylko od stajen zalaływało niekiedy parskanie koni i wróble gawędziły już w przestrzeni.

Tadeusz, oddychając całą piersią, szedł krokiem szybkim. Ruch sprawiał mu ulgę. Z podwórza, ścieżką wydeptaną na przelaj, wyszedł w pola, tu zawrócił i puścił się opłotkami ku rozścielającym się, pobrzeżem niw dworskich, chatom.



Dymiły już. Z nad strzech spływały szare kłęby i układały się w małych obłoczkach na zaróżowionem tle horyzontu. W progach niektórych chat, przeciągając się ze snu, stały chłopki w bieliźnie. Na drodze ukazały się gromadki bydła i kilka par koni, szłapiących w pętaczkach ku wygonowi. Rozkołysany pastuszą ręką żóraw studzienny skrzypiał żałościwie; wtórowało mu warczenie otwieranych w zagrodach wrót, chrzęst uździenicowych łańcuszków i pianie kogutów, które trzepiąc w skrzydła, przyglądały się z żerdnych płotów wschodowi słońca.

Po chwili zaczęły rozbrzmiewać i głosy ludzkie, poważnie dziecięce, wesołe, bezfrasobliwe, dzwonne.

Chłopki, ujrawszy idącego młodszego pana, kłaniały się nisko, przeprowadzając go zdziwionym wzrokiem. Niektóre, wybiegłszy na środek drogi, przyglądały się długo, zaciekawione tak wczesną przechadzką „panicza“.

Temu zaś było znacznie lepiej. Ból głowy minął; orzeźwił i myślał spokojniej. Pytania, jakie sobie zadawał, i odpowiedzi, jakie w myślach własnych znajdował, wiązały się teraz w ład pewien i mniej drażniły. Chłodniejszy rozmyśl pozwolił mu na prawdziwszą ocenę zdarzeń i własnego postępowania. Niemniej czuł fałszywość swego położenia i czynił sobie wyrzuty.

— Niepotrzebnie grałem z ojcem w „ciuciubabkę“—rozwążał.—Należało już dawniej powiedzieć otwarcie wszystko. Mogłem nawet listownie wyjawić swe poglądy i zamiary... A chociażby zaraz po przyjeździe. Głódziejby poszło... teraz żal mi starego. Wiem, że odczułby to głęboko. boć dla niego to zawód! I matczyśko poczeiwe! Ale i oni nie są szczerzy... Przeczuję, że ta wizyta u Boczkowskich nie była bez celu.. Najgorsza sprawa z tą ustawą... Wpadłem po prostu... ale dałem słowo i zrobić potrzeba. Gotowiby pomyśleć, że się cofnąłem z obawy pokpienia sprawy... Taki Rodowski pierwszy! Wezmę się zaraz jutro do tego.. Niech tam!

Zrezygnowany machnął ręką, poczem znów zaczął mówić do siebie w myślach:

— Z tej Helenki Boczkowskiej istotnie niezwykła postać Ładna nie jest, ale ma wdzięk i prawdziwą kobiecość w ry-

sach. Trochę za bardzo entuzjastka... Szkoda jej, bo rozczaruje się wkrótce... Gdzie indziej, kto wie... ale tu... Wydadzą ją za mąż i będzie nadawała ton w okolicy!

Uśmiechnął się sarkastycznie, ale nieszczerze. I jakby samego siebie przekonywał, szepnął:

— Teraz łudzi się, ale potem wywietrzeją jej z głowy te szpitaliki i szkółki.. Swoją drogą zaimponowała mi wczoraj! Tu istotnie jest wiele do zrobienia.

Zaczął się rozglądać po włościańskich sadybach, wodząc okiem po zrębach chat o małych oknach, po strzechach zakłęsłych, przerosłych kępami mchu, po płotach, wijących się zygzakiem między jedną a drugą zagrodą. Na kilku sterzących ponad chruścianem wyplecieniem kołkach wiewały rozwieszone zgrzebne koszule, wietrzyły się kapoty. Przed jedną z chat dziewczyna szorowała statki i naczynia kuchenne.

Tadeusza obleciał kwaśny zapach kiszzonej kapusty.

— Mieszkają mizernie i odżywiają się lichu — pomyślał znowu.

— Niech będzie pochwalony!—zaczepił zmywającą miski dziewczynę.

— Na wieki wieków!—odpowiedziała i, podbiegłszy, objęła go zwyczajem chłopskim za kolana.

— A czyjaś ty?

— Od Grzeli Pęczaka.

— A dużo was u ojców?

— Ośmioro... wielmożny panie!

— Ojciec ma zagrodę?—dopytywał w dalszym ciągu.

— Półrolek... wielmożny panie! — odrzekła z pewną dumą.

— Cóż się zerwała tak rano?

Spojrzała zdziwiona. Usta jej zaczęły się śmiać...

— A b o t o rano? — rzuciła, wruszywszy ramionami.— Słonko już w górze i w kościele dzwonią.

# Dusieciele w Bengalu

POWIEŚĆ

tłumaczyła Eugenia Żmijewska.

(*Ciąg dalszy*).

## ROZDZIAŁ VI.

Prezes Wiliam Taylor. — Stan obłączenia. — Pierwsza noc. — Nowa i straszna groźba. — Wojna! — W zamkniętym domu. — Przeróżające zjawisko. — Człowiek czy widmo. — Wśród burzy. — Rano. — Pan umarł. — Nieprzeznikniona tajemnica.

Prezes sądu całą swą służbę odbył w Indjach. Znał kraj z jego przesądami, tradycjami, stowarzyszeniami tajnymi; jako prawowity Anglik, gardził Hindusami i wiedział, że zdolni są do czynów zbrodniczych i do zemsty podstępnej. To też rozkaz wypuszczenia na wolność kapitana Bez Szeląga pod groźbą śmierci dał dużo do myślenia prezesowi.

To złowrogie ultimatum nie stropiło go wprawdzie, przedsięwziął jednak wszelkie środki ostrożności dla obrony własnego życia. Przewrotność nie jest tchórzostwem.

Jego wysoki urząd i pensja prawdziwie ministerjalna czyniły go jednym z pierwszych dostojników państwa. Miał tytuł ekscelencji. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, wysokiego wzrostu, siły olbrzymiej, zamiłowany w sportach, znakomity jeździec; oddawał się z namiętnością polowaniom zwłaszcza na tygrysy; jego odwaga była wypróbowana w wielu niebezpieczeństwach.

Zamieszkiwał wraz z liczną rodziną willę, a właściwie pałac na jednym z przedmieść Kalkuty, zwanem Chowrin-

glue, a będącem wytworną dzielnicą miasta Europejczyków. Był szczęśliwym małżonkiem i ojcem sześciorga pięknych dzieci, z których najstarszy syn był porucznikiem. Nic nie brakło do szczęścia temu dygnitarzowi, powszechnie szanowanemu w całym państwie kolonialnym. Nazywał się Wiliam Taylor.

W jego pałacu roiło się od licznej służby angielskiej i krajowej. Po otrzymaniu pogróżki prezes uczynił wybór wśród tych zastępów. Wszyscy Hindusi zostali usunięci od posług osobistych około osoby dygnitarza, otaczali go sami Europejczycy, oprócz kamerdynera przybocznego, byłego żołnierza w pułku wojska krajowego o wypróbowanej wierności. Postanowiono, że kamerdyner będzie sypiał z bronią w rękę na macie, przy sypialni swego pana i że korytarze będą strzeżone przez zbrojnych pachotków z Neapolu, tak zwanych Chouprassisów, którzy, od chwili okupacji angielskiej, byli zawsze wiernymi przyjaciółmi i stronnikami Europejczyków. Oprócz tych środków ostrożności, stanowiących, rzecz można, obronę czynną, sędzia kazał zwiększyć liczbę dzwonek elektrycznych, poustawiać przy drzwiach i oknach sypialnego pokoju przyrządy alarmujące, tak, że niepodobna było zakraść się zniecka.

Wreszcie sam nabił rewolwer birminghamski, położył go na stoliku przy łóżku, obok grogu i, uspokojony tylu środkami ochronnymi, usnął w najlepsze.

Noc przeszła spokojnie. Prezes obudził się dopiero rano i winszował sobie swej przebiegłości, gdy nad łóżkiem ujrzał wbity w ścianę sztylet, pod którym skreślone były słowa:

„Wypuść na wolność kapitana Bez Szelağa, inaczej zginiesz w ciągu doby.“

Prezes uczuł, że mu pot występuje na skronie. A więc podczas jego snu człowiek obcy zakradł się do domu, strzeżonego tak baczenie, przedarł się przez cały kordon uzbrojonej służby, przeszedł po ciele kamerdynera, zagradzającego drzwi do sypialni i wtargnął do pokoju; mimo przyrządów elektrycznych, rozsunał firankę, osłaniającą łóżko od mustyków, wbił sztylet w ścianę i zdołał ująć bezkarnie. William



Wyłoniła się jakaś postać — mężczyzna — prawie nagi, przepasany tylko wzorzystą materją na biodrach, (patrz str. 841).

Taylor, skazany na śmierć przez tych nieznanych wrogów, był na łasce i nielasce bandyty, który go oszczędził, pozostawiając taką straszną pogrózkę.

Nie jeden w podobnych okolicznościach byłby cały dom zaalarmował, krzyczał, zarządził śledztwo.

Sędzia Taylor, opanowawszy pierwsze wrażenie, schował sztylet i papier do kasy ogniotrwalej.

— Nie znają mnie, jeżeli sądzą, że mnie onieśmielą i przerażą — pomyślał. — Dopóki będę miał jakąkolwiek wątpliwość co do winy kapitana Bez Szeląga, dopóty trzymać go będę w więzieniu. Mogą mnie zabić, ale obowiązкови nie uchybię.

Przekonał się, że wszystkie przyrządy elektryczne działają prawidłowo, że ludzie są na stanowisku i napróżno sobie łamał głowę, którędy wszedł ów zwiastun złowrogi. Nieprzenikniona zagadka zwiększyła jeszcze jego upór.

Nic nie powiedział nikomu i najspokojniej pełnił swe obowiązki. Za powrotem do domu podwoił środki ochronne.

Kto inny byłby się przeniósł do innego pokoju; prezes tego nie uczynił. Spróbował jeszcze raz przyrządów elektrycznych, połączył zasłonę od mustyków z drutami, tak by lada poruszenie wprowadziło w ruch dzwonki, następnie napił się czarnej kawy i położył się w szlafroku z rewolwem pod ręką.

Upał był okropny, choć wachlarz zawieszony u sufitu wciąż powiewał i chłodził powietrze parne, zwiastujące burzę. Elektryczność przenikała organizmy ludzkie, zarówno jak i zwierzęce.

Sędzia położył się o dziesiątej, o północy ogarnęło go dziwne odrętwienie. Nie był to sen, ani jawa, lecz coś pośredniego pomiędzy jednym a drugim. Umysł był jakby uśpiony, a ciało bezwładne.

W dali rozległ się huk grzmotu, sędzia go słyszał, widział migające błyskawice. Zerwał się wiatr, wstrząsał drzewami, zrywał liście. Prezesowi zdawało się, że drgają zasłony łóżka, że dogasa lampa zawieszona u sufitu, czuł zbliżające się niebezpieczeństwo, ale jakie—tego nie rozumiał, nie

pamiętał. Chciał krzyknąć, poruszyć się, przyzwać pomocy, lecz język i ciało były bezwładne.

Światło lampy w oczach jego wydłużało się coraz bardziej, stawało się podobne do blasku rozpalonej pochodni, sięgało już sufitu. Nagle, o zgrozo, ze ściany przeciwległej wyłoniła się jakaś postać—mężczyzna, prawie nagi, przepasany tylko wzorzystą materją na biodrach. Sunął, jak cień, po kobiercu. Był to Hindus chudy, muskularny. Na ustach miał drwiący uśmiech, w czarnych oczach błysk metaliczny.

Był-że to człowiek, czy widmo, wytwór zgorączkowanej wyobraźni i nerwowego podniecenia? Bądź co bądź to zjawisko zbliżało się do łóżka; w jednym ręku trzymało sztylet, a w drugim czarny fular. Sędzia to widział, ale jeszcze był o tyle przytomny, iż sobie tłómaczył, że skoro przyrządy alarmujące nie zadzwoniły, więc nikt nie mógł wejść do pokoju.

— To sen... obudzę się z niego — myślał.

Hindus doszedł do wezgłowia. Podniósł sztylet, rozchylił zasłonę. Po chwili rozległo się rżerzenie głuche, stłumione. Błyskawica rozdarła chmury. Padł piorun, pokój napełnił się zapachem siarki. I znowu zaległa cisza, cień zniknął, roztopił się bez śladu. Obudzony łoskotem burzy sługa, śpiący w progu, podniósł się i przeze drzwi zapytał:

— Czy panu nie trzeba?

Nastawiał ucha, a nie otrzymując odpowiedzi, znowu legł na macie.

— Sahib śpi — pomyślał — przewrócił się na drugi bok i usnął.

W Indjach ludzie wstają wcześniej, w krajach podzwrotnikowych życie zamiera w południe. Skoro świt, wierny sługa uchylił drzwi od sypialni, ale w pokoju panowała cisza grobowa.

— To dziwne—pomyślał żołnierz z Neapolu.—Sahib zwykle budzi się o tej godzinie.

Miał wprawdzie rozkaz nie wchodzić, dopóki nie będzie

wezwanym, ale niepokój zagłuszył subordynację. Otworzył więc drzwi, przyczem wszystkie dzwonki zadźwięczały; zbliżył się do łóżka; zaniepokojony coraz bardziej, odsunął firanki. Nagle po całym domu rozległ się okrzyk przeraźliwy.

— Uah! Uah! Sahib morgyā! Pan umarł!

Sędzia Taylor leżał uduszony, twarz mu zsiniała, oczy wychodziły z głowy. U szyi zwisał czarny fular. Do ściany przybity był sztyletem arkusz papieru z temi słowy:

Skazany przez punditów, zabity przezemnie. Berar.

Ciało już zastygło.

Na lament kamerdynera zbiegli się choupassisowie i służba angielska. Każdy spełnił swój obowiązek, każdy czuwał kolejno, zresztą drzwi i okna były nienaruszone, dzwonki działały prawidłowo, a jednak pan zginął z ręki dusiciela.

Szalony przestrach ogarnął Europejczyków i Hindusów, choć byli z natury odważni i oswojeni ze śmiercią w niejednej kampanii.

Pomimo lęku, nie stracili jednak przytomności i przede wszystkim zarządzili poszukiwania. Zagląдали wszędzie: pod łóżka, pod kanapy, badali mury, posadzki, ale nic nie znaleźli.

Ktoś wpadł na myśl zajrzenia do klatki za ścianą, w której dzień i nocą siedział kulis, powiewający wachlarzem.

Człowiek ten siedział na taburecie, w rękę trzymał jeszcze sznurek od wachlarza, ale był już martwy. Sądząno, że i on padł ofiarą mordercy, lecz wezwany doktor stwierdził, że śmierć nastąpiła od piorunu.

Elektryczność zrobiła wyłom w ścianie tam, gdzie była umieszczona klatka, ale ten otwór był za mały, aby dziecko bodaj mogło się tą drogą prześliznąć. Jak morderca zdołał wejść, jak się wysunął, pozostało niezbadane.

Wyprawiono gońca z tą żałobną wieścią do pani Taylor, bawiącej z dziećmi na wilegiaturze w Simba.



## ROZDZIAŁ VII.

Rozruchy w Bengalu. — Instrukcja dyplomatyczna. — Na jacheie. — Pomi-  
mo straży. — Hindus. — Zdumienie majątków. — Wdzięczność fakira. — Święto  
przyrzeczenie. — Wystrzał wśród nocy.

Morderstwo prezesa Taylora, spełnione tak szybko po zabójstwie księżnej Richmond, zrobiło wielkie wrażenie w Kalkucie, wzbudzając wśród białych postrach, a złośliwą uciechę wśród Hindusów. Skupiali się oni, naradzali potajemnie, ziejąc coraz większą nienawiścią do swych zwycięzców. Żądę zemsty podsycaly jeszcze wiadomości z placu boju.

Wojska europejskie zostały wyparte z Peshamer przez górali Afrydów; dzuma dziesiątkowała prowincję Bombajską; głód srożył się wszędzie, a stowarzyszenia tajne rozwijały coraz szerszą działalność. Ciemniezi mieli więc dosyć powodów do uciechy.

Zdawało się już Anglikom, że wytępili straszną a tak potężną sektę Thugów, czyli dusicieli, i oto nagle ci wyznawcy potwornej bogini Kāli zaznaczyli swą żywotność dwoma zbrodniami, spełnionemi jedna po drugiej. A nadto z zuchwalstwem, ufnem w bezkarność, podpisywali się pod swem dziełem zbrodniczem, jak ów Berar, który w ciągu paru godzin zyskał rozgłos w całej Kalkucie. Wszyscy widzieli w tem morderstwie srogi odwet za znieważenie zwłok Narindry. Zamiast przerazić Hindusów, rozwścieczono i rozzuchwalono ich tylko. Wyrok był niepolityczny.

Z drugiej zaś strony przygoda kapitana Bez Szeląga przybierała niespodziane rozmiary, grożąc dyplomatycznym zatargiem.

Nadomiar złego, wicekról był nieobecnym.

To też w Kalkucie, a niebawem i w całej prowincyi zawrzało.

Sytuacja kapitana Bez Szeląga, pomimo interwencji amerykańskiego konsula, pogorszyła się jeszcze. Władze czyniły go odpowiedzialnym za morderstwo prezesa Taylora, i wbrew jego zaprzeczeniom zdawały się mieć słuszność,

albowiem nieszczęśliwy sędzia zginął dlatego, że nie chciał być posłusznym rozkazowi, który mu zalecał natychmiastowe uwolnienie kapitana.

Należało sprawdzić, czy Bez Szeląga uzbroił rękę mordercy, czy też był współnikiem bezwiednym i mimowolnym. Pozostawiono go w zupełnej nieświadomości tego, co zaszło. Strzeżony był bacznie, nie pozwolono mu komunikować się z żoną. Ona zaś, pilnowana była na jachcie i nie wiedziała, co się dzieje w Kalkucie.

Załoga była także odgradzona od wszelkich stosunków ze światem. Dla większej pewności jacht został wydalony z portu, zaopatrywali go w żywność sami Anglicy, z zupełnym wykluczeniem krajowców. Straże zmieniały się co dwie godziny i rozrzucone były po całym statku. Dniem i nocą strażę stały z nabitymi karabinami i miały rozkaz strzelać do każdego, kto by próbował wkroczyć na jacht bez formalnego pozwolenia. Słowem przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności. Załoga spełniała swe obowiązki, utrzymując statek w czystości wzorowej. Maszyna funkcjonowała, wytwarzając oświetlenie.

Wieczorem wszyscy udawali się na spoczynek, oprócz straży.

Czwarta noc już zapadała od aresztowania kapitana. Naczelnik załogi drzemał, leżąc u otwartych drzwi swej kajuty. Nagle do uszu jego doleciał szelest, a wkrótce potem oddech przyśpieszony.

Zerwał się i szepnął: Kto tam?

Głos cichy, jak westchnienie odparł:

— Przyjaciel. Proszę światło zapalić.

— Marjusz nacisnął guzik przyrządu elektrycznego i w potokach światła ujrzał nawpół nagiego, ociekającego wodą Hindusa.

— Zkądże wyłazisz? — zapytał go prowansalczyk łamaną, lecz dość zrozumiałą angielszczyzną.

Hindus suchym, czarnym palcem wskazał wodę.

— No, to ci winszuję. Dokazałeś sztuki. A cóżeś za jeden?

— Przyjaciel szczery.

— Jesteś może jednym z tych, których wyłowiliśmy z paszczy krokodyłów?

— Tak.

— A czego sobie życzysz?

— Chcę rozmówić się natychmiast z małżonką... kapitaną Bez Szeląga...

— Mój gołąbku, to nie jest godzina przyjeść...

— Niedarmo przecie narażałem się na kule angielskie. Mam ważną sprawę.

— Nasza pani śpi już zapewne... musiałbym obudzić jej pannę służącą, żeby ją zapytała, czy może cię przyjąć.

— Żona Sahiba nie śpi... ma serce zbolełe... płacze za ukochanym... Moje słowa otrą jej łzy... Idź, idź do niej — nalegał Hindus.

Prowansalczyk wstał, zgasił światło i pocichu udał się do apartamentu młodej kobiety.

Anglicy zdobyli się na tyle delikatności, że nie postawili straży u jej drzwi.

Prowansalczyk zapukał i rzekł szeptem:

— To ja, Marjusz... czy mnie pani słyszysz?

— Tak, czego sobie życzysz, przyjacielu?

— Jest tutaj Hindus... jeden z tych, których ocaliliśmy.

Przynosi pani wiadomości od naszego kapitana.

Z ust młodej kobiety padł okrzyk radosny.

— Przyprowadź go, prędzej! — zawołała.

Marjusz skinął na stojącego za nim Hindusa.

Klaudja wybiegła naprzeciw niego i zaprowadziła go do swego salonu, zapuściła szybko firanki i pewna, że nikt nie podsłucha i nie podpatrzy, puściła światło elektryczne.

Na widok tej ślicznej istoty, wybladłej od niepokoju, Hindus przyklęknął. Wzruszenie złagodziło wyraz jego srogiego oblicza.

— Jestem twoim niewolnikiem — mówił. — O ty, której uroda zaćmiewa piękność Ri, bogini lotosu, a której ramię jest tak waleczne, jak ramię Skandy, boga wojny.

Wpatrywał się w nią pełen czci i fanatycznej wdzięczności, gotowej do wszelkich poświęceń.

— Przynosisz mi wieści? — spytała.

— Tak—kapitan, twój małżonek został uwięziony. Anglicy oburzeni są, że nas ocalił i oskarżają go, że wznieca bunt.

— To oszczerstwo.

— Tak, oni są niegodziwi. Ale bądź spokojna... dziesięć tysięcy naszych poprzysięgło, że go wyswobodzi... Jutro będzie nas sto tysięcy... a wrazie potrzeby Indje powstaną od krańca do krańca, aby go wyrwać z rąk przesładowców i rzucić w twoje objęcia.

— Ci, którzy miotają na niego oszczerstwa, zdolni są do wszystkiego.

— Bądź bez obawy. Poprzysięgliśmy na Káli, że nasz wybawca będzie wyzwolony... i wyzwolimy go za trzy noce najdalej.

— Oby się to ziściło, dzielny pundito!

— Nie zostałem jeszcze wtajemniczony, jam prosty fakir. Punditowie — to głowa — my jesteśmy ramieniem. Oni rozkazują, my działamy. A żaden władca tego świata nie ma posłuszniejszych poddanych. Cokolwiek się zdarzy, bądź co ci powiedzą — nie wierz, nie przerażaj się... Choćby ci mówiono, że kapitan Bez Szeląga jest chory—że umarł, choćbyś widziała jego zagasłe spojrzenie, jego zeszywniałe ciało, pamiętaj, że on żyje i że jego ocalenie wymaga, by się takim przedstawił.

— Napełniasz mnie trwogą.

— Raz jeszcze powiadam ci: nie bój się. Miej nadzieję wbrew oczywistości. Tylko wówczas kapitan może być ocalony.

— Będę wam posłuszną — oświadczyła dzielna amerykańka.

— Muszę uciekać—rzekł fakir.—Napisz słówko do tego, któremu największą męczarnią jest być pozbawionym widoku żony. Jutro, skoro świt, otrzyma to twoje pismo i serce jego napełni się radością.

Wzruszona takim poświęceniem, Kludja usiadła przy biurku i skreśliła kilka słów, w które przelała swą duszę.



Hindus przyklęknął. Wzruszenie złagodziło wyraz jego srogiego oblicza (patrz str. 345).

Fakir wziął kartkę, skrzył ją, odśrubował rękojeść sztyletu, który miał uwiązany do lewej ręki, wsunął kartkę w otwór i znowu sztylet zaśrubował.

— Żegnaj cię—szepnął i wysunął się pociechutku.

Marjusz czekał na niego za progiem i wsunął mu w ucho:

— Miej się na baczności, Czerwone kurtki czegoś się domyślają.

— Anglicy to stworzenia nieczyste, ja ich się nie lękam — odparł fakir, wzruszając ramionami.

— Szczęśliwej wyprawy i dzięki ci, druhu — rzekł Marjusz, ściskając czarną rękę.

Fakir wskoczył na pomost i z wysokości jego wpadł do wody, ale tak cicho, że nawet prowansalczyk nie słyszał plusku.

— To zuch dopiero — myślał Marjusz — ten narobi jeszcze bigosu Anglikom.

W tem rozległ się okrzyk:

— Who goes there (kto tam?)

Potem huknął wystrzał, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty.

## ROZDZIAŁ VIII.

Wiceprezes najwyższego sądu.—W więzieniu.—Bez Szeląga w okowach.— Jak go list doszedł.—Rozczulenie.—W teatrze Sans-Souci.—Udużony.—Popłoch w Kalkucie.—Straszne groźby.—Pięciuset zakładników.— Kapitan Pennyles nie żyje.

Z jednej strony punditowie zdecydowani byli na wszystko dla oswobodzenia swego wybawcy; z drugiej zaś strony sprawiedliwość angielska była nieubłagana.

Miejsce prezesa zajął wiceprezes najwyższego sądu, Orchibale Norton.

Miał on to samo poczucie godności zawodowej, tę samą niewzruszoność na pogroźki, tę samą pogardę śmierci. Zale-

dwie objął swe obowiązki, natychmiast punditowie, których policja zorganizowana jest wzorowo, a szybkość osiągnięcia informacji zdumiewająca, przesłali mu takie same ultimatum, jak jego poprzednikowi.

Sędzia Norton, przejęty duchem wojowniczym, odpowiedział na to drwinami. Zawiesił w swoim salonie sztylet i fular i pokazywał je służbie z urąganiem. Chcąc dowieść tajemniczym wrogom, że się ich wcale nie obawia, kazał wtrącić Bez Szelağa do podziemnego lochu i okuć mu nogę prawą w kajdany, które zostały przytwierdzone do kamiennej podłogi i zamknięte na kłódkę żelazną. Nie dość na tem, przepasano więźnia łańcuchami i przybito je do kamiennej ściany. Łańcuchy miały cztery metry długości i zamykały nieszczęśliwego więźnia w tak małej przestrzeni, że zaledwie mógł się poruszyć i stanąć. Takie barbarzyńskie rozporządzenie pozostawiło Bez Szelağa obojętnym na pozór. Znosił wszystko w milczeniu wzgardliwym; nie tracił snu ani apetytu i czekał na dalsze wypadki. Lecz w głębi serca wrzała w nim zemsta i żądza odwetu.

Najniespodziewaniej doznał słodkiej pociechy. Przebywał zaledwie od paru godzin w tej klatce, wykutej w kamieniu, oświeconej zaledwie wąską szparką, gdy mu przyniesiono posiłek.

Biały dozorca wszedł przed Hindusem, niosącym jadło; skłinał na niego, ten postawił na ziemi czarękę z ryżem, kawałek pokrajanego mięsa i łyżkę. Następnie obaj wyszli, nie powiedziawszy ani słowa.

Bez Szelağa, pozostawszy sam, usiadł na ziemi, podłożył nogi pod siebie i wsunął łyżkę do czaruki, nagle łyżka potrafiła o jakieś twardy przedmiot, ukryty pod gęstą warstwą ryżu.

Kapitan zanurzył palce i ku wielkiemu swemu zdziwieniu wyjął małeńki patyczek. Była to gałązka bambusu długości i grubości cygara. Najdrobniejsze nawet zdarzenie było dla więźnia czemś ważnem i zastanawiającem. Kapitan obejrzał patyczek, obtarł go i spostrzegł, że z jednej strony jest zapieczętowany lakiem, a z drugiej związany sznurkiem.

Nagle przyszło mu na myśl, że ta gałązka zawiera może jakie słówko nadziei. Chciał ją złamać w palcach, ale była za twarda, więc ścisnął ją w zębach i rozgryzł. Wtedy oczom jego ukazał się papier skrecony szczelnie.

Serce zabiło, ręce drżały, rozwijając ten papierek. I nagle oczy napęłniły się łzami. Poznał pismo swej ukochanej małżonki i przy bladym świetle odczytał te kilka słów, w które wierna towarzyszka życia przelała swe serce.

„Jerzy, mój kochany, to ja, twoja Klaudja. Jestem na jachcie, ale pod strażą. Pełni dla mnie względów. Cierpię, myśląc o tobie, tęsknię. Dziesiąta wieczorem. Zjawia się jakiś fakir, jeden z tych nieszczęśliwych, których ocaliliśmy od śmierci. Wśród tysiąca niebezpieczeństw przyniósł mi nadzieję, a ta nadzieja, to moje życie. Powiada, że bilecik dojdzie do rąk twoich, a ja mu wierzę. I ty, najdroższy, miej nadzieję, wbrew oczywistości, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu... Chciałabym przelać ci w serce moją głęboką wiarę w nasze wyzwolenie. Licz na moją energię, na moją miłość. Niebawem połączymy się znowu.

Twoja Klaudja.“

Przebiegł okiem te drogie słowa, odczytał je po raz drugi i trzeci, wywołując obraz ukochanej a dzielnej towarzyszki doli i niedoli. Tak, chciał ufać, że pękną te okowy, że te mury kamienne się zawałą. Popadł w słodkie marzenie, zapomniał o twardej rzeczywistości, zapomniał o posiłku. Godziny upływały mu szybko.

Podczas gdy Klaudja oczekiwała na jachcie, podczas gdy jej mąż marzył, fakirowie działali. Owego wieczoru było wielkie przedstawienie w głośnym teatrze Kalkuty, noszącym nazwę Sans-Souci.

Kalkuta wraz z przedmieściami liczy przeszło milion mieszkańców, ma dużo teatrów, ale Sans-Souci jest najwspanialszym i najbardziej uczęszczanym. Wszyscy przedstawiciele arystokracji rodowej i urzędniczej mają tam swoje łoża abonamentowe. Dawano tego dnia dramat Szekspira, sala była przepełniona.

Sędzia Norton, w tak tragiczny sposób wzniesiony do godności prezesa najwyższego sądu, był obecny na przed-



stawieniu z całą swą liczną rodziną, siedział w łoży prosceniowej.

Odegrano już dwa akty, oklaskiwane gorąco. Od pięciu minut zaledwie podniosła się kurtyna trzeciego aktu, gdy do łoży nowego prezesa wszedł woźny sądowy i podał mu list.

Norton odłożył lornetkę z widocznym zniecierpliwieniem i odpieczętował list. Musiał on zawierać jakieś ważne doniesienia, bo sędzia wstał i rzekł do żony:

— Przepraszam cię, kochanie, wychodzę na parę minut dla wyjaśnienia pewnego faktu, o którym mnie policja uwiadamia.

— Bądź tylko ostrożny.

— O! niema żadnego niebezpieczeństwa. Zresztą nie opuszczę teatru... Czekają na mnie w gabinecie za łożą.

Wysunął się po cichu. Woźny stał we drzwiach.

— Czy znasz człowieka, którego do mnie przysłano?— spytał go, wskazując gabinet.

— Znam, Wasza Ekscelencjo—to inspektor policji hinduskiej.

— Dobrze, idź do biura centralnej policji i powiedz naczelnikowi, że niebawem prześlę mu instrukcje.

Czarny woźny uklonił się i wyszedł, sędzia wkroczył do gabinetu i zamknął drzwi za sobą.

Upłynął kwadrans, pół godziny; pani Norton była w śmiertelnej obawie. Mąż zapowiedział jej, że wróci za pięć minut, a nie zjawiał się. Dreszcze ją przebiegały na myśl o strasznych groźbach, wymierzonych przeciw następcy nieszczęśliwego Taylora.

Wreszcie, nie mogąc już zapanować nad sobą, wyszła z łoży i otworzyła drzwi do gabinetu. W pierwszej chwili nie spostrzegła nikogo w tem gniazdku wytwornem, oświetlonem elektrycznością.

Nagle z piersi jej padł okrzyk przeraźliwy. Na dywanie leżał jej mąż, rozciągnięty nawznak z rozpostartemi rękoma, miał oczy krwią nabiegłe, usta wykrzywione strasznym grymasem konania. Nie dawał już znaku życia. Do koła szyi miał owinięty czarny fular—znamię Dusicieli.

Nieszczęśliwej żonie zdało się, że sufit spada jej na głowę. Zbrakło jej oddechu, wyciągnęła ręce, zachwiała się i padła obok trupa.

Okrzyk jej rozbrzmiał po całej sali, przeraził widzów. Strażacy i policjanci wpadli do łoży. W mgnieniu oka gabinet zapełnił się tłumem, wrzawa na sali zagłuszyła aktorów. Przyzwano natychmiast lekarza, który najprzód zajął się sędzią; przeciął fular, na szyi odrzynała się pęga fioletowa. Przyłożył ucho do serca, tętno już zamarło. Próbował krwi upuścić, nie potoczyła się już ani kropla. Próbował wzbudzić sztuczny oddech. Bezskutecznie. Sędzia Norton nie żył.

Aby nikt nie mógł wątpić, z czyjej padł ręki, w ścianie nad głową wbity był sztylet o zakrzywionem ostrzu, które po raz już trzeci przeszywał papier z napisem:

„Skazany przez punditów. Zabity przezemnie. Berar.“

Wśród wzrastającego popłochu przyniesiono dwoje noszy, na jednych złożono zwłoki męża, na drugich żonę nieprzytomną, oszalałą z rozpacz.

Wieść o trzecim zamachu rozniosła się po mieście z szybkością strzały. Reporterowie, goniący zawsze za sensacją, biegali, zadawali tysiączne pytania, telefonowali na wszystkie strony. Ów wieczór miał dostarczyć nowych wzruszeń mieszkańcom stolicy indyjskiego państwa.

Komitet tajny, ferujący wyrok na pierwszych dygnitarzy bez apelacji i pardonu, objawił znowu swą wolę. W ciągu wieczora pięciuset Anglików otrzymało listy, które ich przeraziły.

Komitet wybrał najrozdźwięczniejsze nazwiska wśród arystokracji wojskowej, administracyjnej i sądowniczej, dalej wśród znaczniejszych przedstawicieli kupiectwa, wysokich finansów i przemysłu.

Oto brzmienie owego cyrkularza, który nie był wcale żartem, jak wmawiał w siebie niejeden z adresatów.

„My, wybrańcy pięciu Kast, utworzeni w komitet, oświadczamy, że kapitan Pennyless jest niewinny. Nie zna ani punditów, ani fakirów, ani żadnego z wiernych.

Przysięgamy to na naszą krew.

Domagaliśmy się jego uwolnienia w imię najwyższej sprawiedliwości. Spotkała nas odmowa. Godziliśmy bezlitośnie w tych, którzy mu wyrządzali krzywdę.

A jednak on będzie, on musi być wolnym, bo my tego chcemy.

Odpowiadacie waszem życiem za jego istnienie. Wy wszyscy, wyż wymienieni, jesteście naszymi zakładnikami.

Jeżeli zginie, zginiecie i wy. Gdy wyrok na was wydamy, nic już was nie ocali.

Wasze domy, wasze magazyny, wasze fabryki i składy zostaną zrównane z ziemią.

Wreszcie potrafimy wzniecić zarazę w waszem mieście.

Jesteśmy wszechpotężni i domagamy się sprawiedliwości.

Drżycie i bądźcie nam posłuszni!“

Na każdym z tych listów przyłożona była pieczętka w postaci trzech krwawych rąk, otaczających trójkątem kwiat lotosu. Po przeczytaniu tego ultimatum, wszyscy adresaci uczyli strach przesądny. Komitet Pięciu Kast dowiedział już, że się nie obawia najpotężniejszych, że rozporządza środkami tajemniczymi i nie cofa się przed niczem.

Przestрах był tem większy, że nikt nie wiedział, skąd otrzymuje rozkaz i jacy byli członkowie komitetu.

Wszyscy zakładnicy ożywieni byli jedną tylko myślą, jednym dążeniem, a to, by ocalić życie kapitana Bez Szelağa.

Naradzano się, wyprawiano telegramy do wicekróla, bawiącego najspokojniej w Simli, ofiarowano nawet kaucję, dochodzącą do olbrzymiej cyfry miliona funtów szterlingów (25 milionów franków).

Zdrowie więźnia stało się drogiem tej czeredzie, żyjącej w sytym spokoju.

Obawiano się dla kapitana nietylko wyroku śmierci, lecz nawet kataru, pryszczyka.

Był on dla tych ludzi uosobieniem życia łatwego, ukwieconego gratyfikacjami i orderami.

Słowem wszyscy urzędnicy poruszyli niebo i ziemię, aby ich uwolniono od tak niepożądanego więźnia. Marzyli

tylko o tem, by go wpakować na jacht i wyprowadzić do stu djabłów z zakazem powracania kiedykolwiek w te strony.

Lecz rząd angielski nie dał się wzruszyć. Nie wskórały ani telegramy ani ofiarowana kaucja.

Pomimo błagalnego wstawienia wice-król zalecił petentom, by zdwoili baczność, przyrzekł im czuwać nad ich bezpieczeństwem i w tym celu ogłosił, że prowincja jest w stanie oblężenia.

W pięciuset rodzinach zapanował popłoch, spieniężano przedmioty wartościowe, spisano testamenty, pakowano kufry, gotując się do ucieczki.

Kto tylko mógł, zmykał, koleje były przepełnione. Kalkuta wyludniła się.

W dwa dni po owych listach z pogrózkami, dzienniki miejscowe podały wiadomość:

„Znaleziono kapitana Bez Szelağa martwym w jego celi“.

---

## ROZDZIAŁ IX.

Smutna noc, smutny posiłek. — Projekty. — Złoto! — Zmiażdżony klejnot. — Cały ich majątek. — Na kolei. — Upokorzenie. — Ubóstwo i godność. — Obóz nędzy. — Z ofiarami głodu. — Jałmużna. — Łzy gniewu i wstydu.

W zasadzie wydaje się miłym sypiać w nocie upalne na posłaniu z mchu i trawy, z baldachimem liści nad głową. Przypomina to Robinsona. W rzeczywistości jednak jest to niewygodne, a nawet niebezpieczne.

Dzieci, okropnie zmęczone, usnęły snem kamiennym pod strażą wiernego Boba.

Obudziły się wśród nocy, były jak zbite, bo trawa stanowiąca niezbyt miękkie posłanie. Uczuły chłód od gęstej rosy, która im skropiła twarz, ręce i ubranie. Poczucie pustki i osamotnienia przeniknęło ich biedne serduszka, a prztem ogarnął je strach, bo dokoła unosiły się złowróżbne

odgłosy. Wycie szakali, zawodzenie nocnego ptactwa, szelest skrzydeł nietoperzy i owadów, chrzęst łuski węzowej—wszystko to łączyło się w jeden groźny akord, w zmieszane dźwięki symfonji dzikiej i przeraźliwej.

Ciemności nie pozwalały dostrzedz niebezpieczeństwa, które może czyhało za drzewem, pełzało po trawie.

Dzieci bały się ruszyć, żeby nie nastąpić na jaką gadzinę. Bob wciąż poszcze kiwał, zrywał się, węszył i był widocznie zaniepokojony.

Wreszcie widnokrąg rozjaśnił się, zaróżowił, w tym blasku można już było dojrzeć liście, splone rosą.

Dzieci odetchnęły swobodniej, zamiast złowieszczych nocnych odgłosów, do uszu ich dolatywały okrzyki papug i śpiew dziennego ptactwa.

Ale po strachu przyszedł głód. Naturalnie biedacy zapomnieli sobie kwiat Bassji i pobiegli, aby się nim nasyścić. Gdy potrzebie natury stało się zadość, wtedy dopiero przed oczyma tych dwojga nieszczęśliwych stanęła przyszłość w całej swej niepewności i grozie.

— Trzeba coś obmyśleć, postanowić—mówił Patrycy,—tuląc płaczącą siostrę.

— Co my pocniemy? — szepnęła wśród łez.

— Niema innej rady, jak wyruszyć do Peschawer i odnaleźć tatusia.

— Czy to daleko do Peschawer?

— O tak, bardzo daleko, z 1400 mil od Kalkuty.

— Koleją jedzie się zapewne ze trzy doby?

— Daleko dłużej, bo wiesz przecie, że koleje idą tu wolno. Ale mniejsza o czas... potrzeba nam pieniędzy na kupienie biletów i na jedzenie w drodze.

— Prawda... a pieniędzy nie mamy—biadała Mary.

— Może się nam uda jechać darmo w jednym z pociągów, które przewożą bezpłatnie biedaków do okolic, gdzie niema głodu. Wszak i my jesteśmy biedacy.

— Mniejsza o to, że nas wsadzą razem z Hindusami.

— Wolę to, niż żebrać pomocy Anglików.

— I ja także.

Wśród takich narad, zbliżyli się do zgłiszcz domu. Sta-  
nęli nad temi szczątkami cichego, słodkiego gniazdko i smu-  
tne wspomnienia obiegły ich serduszka.

Nagle z ust Mary padł okrzyk.

Pomiędzy popiołami coś świecącego zabłysło.

— Patrz — rzekła do brata, — to jakby złoto.

Prawda — przytwierdził — wskazując w niedopalone zgłi-  
szcza.

Mary nie omyliła się. Było to istotnie złoto, zapewne  
jakiś stopiony klejnot, który jednak zachował wartość kosz-  
townego kruszcu.

Patrycy chwycił go i podnosząc tryumfalnie, zawołał:

— Siostrzyczko, sprzedamy to i będziemy mogli zapła-  
cić za przejazd koleją.

Schował klejnot i oboje podążyli do Kalkuty. Wierny  
pies biegł za nimi.

Wychodząc z ogrodu, spotkali nieszczęśliwych Hindu-  
sów, którzy dnia poprzedniego bezwiednie wskazali im wła-  
sności pożywne kwiatu bassji. I oni wracali z obfitego śnia-  
dania pod tem drzewem.

Anglicy uśmiechnęli się do nich przyjaźnie. Mary po-  
głaskała nieszczęśliwe dzieci i poszli dalej.

Gromadka głodomorów podążała za nimi drogą, wio-  
dącą brzegiem Haugli.

Dotarwszy do dzielnicy europejskiej, sleroty odszukały  
biuro wymiany, lecz nagle ogarnęła ich dziwna nieśmiałość.  
Bały się wejść, nie wiedziały co powiedzieć, jak wyłuszczyć  
swe żądanie... Wreszcie Mary zdobyła się na odwagę, naci-  
snęła klamkę i znalazła się nagle przed Parsem, liczącym  
banknoty. Od czasu do czasu coś kreślił w grubej księdze.

— Proszę pana — zaczęła dziewczyna głosem drżącym —  
może pan zechce oszacować to złoto i kupić je odemnie.

W jej postawie było tyle wdzięku. w głosie tyle god-  
ności a zarazem prośba tak smętna, że wekslarz nie myślał  
nawet pytać, skąd dziewczę ma ów klejnot. Ukłonił się jej,  
obejrzał kruszec, poddał go próbie i stwierdził, że złoto nie  
zawiera żadnej domieszki. Następnie położył je na małą  
szalę, zważył i rzekł:



Na dywanie leżał jej mąż, rozciągnięty nawznak z rozpostartymi rękoma, miał oczy krwią nabiegłe, usta wykrzywione straszonym grymasem konania (patr str. 361).

— Jest to warte trzydzieści pięć rupij \*).

Było to ogółem 57 fr. 65 cent. na francuską monetę.

Mary ucieszyła się bardzo.

— Nie myślałam, że dostanę tak dużo — zawołała naiwnie.

Wekslarz wyliczył jej pieniądze, wręczył i powrócił do swojej roboty.

Dzieci, uzyskawszy taką sumę, czuły się pewniejsze siebie i postanowiły wyjechać niezwłocznie.

Policjant wskazał im drogę na stację. Dowlokły się do niej wrzeczcie z wielkiem umęczeniem.

Patrycy docisnął się do kasy i zażądał dwóch biletów do Peschawer.

Urzędnik kolejowy, widząc dwoje dzieci ubranych wytwornie, pewien był, że chcą jechać pociągiem kurjerskim, zatrzymującym się tylko na głównych stacjach i podał chłopcu dwa bilety pierwszej klasy.

— Proszę pana — rzekł — należy się 120 rupij.

Jest to 199 fr. na monetę francuską, cyfra stosunkowo niska, jeśli się weźmie pod uwagę, że we Francji droga z Paryża do Marsylji, to jest 863 kilometry kosztuje pierwszą klasą w zwykłym pociągu 96 fr. od osoby.

Patrycy zarumienił się i szepnął zmieszany:

— To dla nas za drogo... o wiele za drogo... nie mamy tyle pieniędzy... chcemy jechać razem z krajowcami.

Kasjer stał się odrazu butnym, spojrział na nich z góry i rzekł wzgardliwie:

— Chcecie podróżować z Hindusami, wy, Anglicy, ależ to wstyd, mój chłopcze. Jesteś zapewne lokajczukiem a ta dziewczyna pokojówką. Wasi państwo nie pozwoliliby na to.

— Jestem Patrycy Lennox, ks. Richmond. Wszak to nie zbrodnia być ubogim i o nic nikogo nie prosić. Proszę nam dać dwa bilety emigranckie.

Kasjer zmieształ się i, przeprosiwszy, podał dwa bilety.

\*) Rupja wynosi 1 fr. 65 do 1 fr. 80 cent.



Kosztowały zaledwie 18 rupij (29 fr. 70 ct.). Patrycy zapłacił, podał siostrze ramię i wyszli na debarkader, gdzie się już tłoczyło mnóstwo ludzi.

Wsiedli do wagonu obok sypialnych, gdzie zwykle jeździ służba angielskich pasażerów. Bob, na znak swego pana zajął miejsce pod ławką. Pociąg ruszył. W wagonie, oprócz nich nie było nikogo. Dzieci łudziły się, że odbędą tę podróż samotnie. Ale złudzenie trwało krótko.

Po kwadransie pociąg zatrzymał się w pobliżu trzęsawisk, nad kanałem Balliaghatta, w miejscu, przezwanem „Obozowiskiem głodu“. Można było jeszcze słuszniej nazwać je „Piekiełłem głodowym“, bo chyba nigdzie i nigdy za ludzkiej pamięci nie widziano tylu ludzi, pożeranych tą straszną klęską. Były ich tam setki i tysiące rozmaitego wieku, a wszyscy tak wychudli i wycieńczeni, że wprost się ruszyć nie mogli.

Gdy pociąg stanął, wyciągali ręce, głosem ochryłym i wątlm błagając o pożywienie. Matki podnosiły w górę dzieci tak strasznie zbiedzone, że skóra obwisała na ich kościach, jak odzienie zbyt obszerne.

Tu gromadzą się wszyscy nędzarze, pozbawieni środków do życia. Mają wzbroniony wstęp do miasta, nie wolno im zbierać okruchów na śmietnikach. Za czasowe miejsce pobytu służy im to trzęsawisko. Nie są tu zresztą zupełnie opuszczeni. Każdy pociąg, jadący z Kalkuty, wiezie im żywność, rozdzielaną przez specjalnych agentów, a powiększaną datkami litościwych podróżnych.

Wreszcie specjalne pociągi zabierają silniejszych i zdrowszych i rozwożą ich do miejsc, w których prowadzone są roboty publiczne.

Rośli gentlemenowie i piękne ladies powysiadali z wagonów i weszli w ten tłum zgłodniały, rozdając placki owsiane, chleb i bułki. Biedacy rzucali się na nie łapczywie.

Patrycy i Mary zazdrościli tym wybrańcom fortuny—nie ich bogactwa, lecz tej możności niesienia pomocy biedakom.

Trwało to z dziesięć minut, poczem panie i panowie

wsiedli napowrót do wagonów pierwszej klasy i pociąg ruszył.

Ale Patrycy i Mary, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegli, że stoją na miejscu, wśród głodomorów. Wyskoczyli z wagonu i przekonali się, że pociąg został podzielony na dwie części: lokomotywa uniosła w dal sześć wagonów z przedstawicielami high-life'u; pozostało trzydzieści, do których miano przyczepić lokomotywę pociągu towarowego dla przewozu tych nędzarzy.

Dwu urzędników związało się, jak w ukropie, otwierali drzwiczki olbrzymich wagonów kolonialnych, wydając gromkie rozkazy po indyjsku. Na to hasło zgłodniała ciżba rzuciła się ku wagonom, biorąc je szturmem. Tłoczono się bez najmniejszego względu na wygodę i higienę. Dzieci majora, otoczone ciżbą, wskoczyły do pierwszego lepszego wagonu, i padły na ławkę. Bob szczekał i wyszczerzał zęby, czem odgradzał drzwi od tego czarnego tłumu.

I oto, spostrzegły one, że dziwnym trafem towarzyszami ich podróży będą biedacy, którzy im wskazali własności pożywne kwiatu bassia. Poznali się wzajem i powitali uśmiechem, zbliżeni wspólnością niedoli.

Gdy wszyscy zajęli już miejsca, rozpoczęło się rozdawnictwo pożywienia.

Kilkunastu urzędników przebiegło platformę, tocząc przed sobą wózki z jadłem. Przez otwarte drzwiczki wysuwały się chude ręce, porywały łapczywie jadło proste, ale pożywne. W wagonie toczyły się następnie boje, jak w psiarni, o kawałek kości.

Chleb, mięsiwo przechodziły z rąk do rąk, wyszarpywano je sobie wzajem, pożerając z nieopisaną żarłocznością.

W wagonach upał był straszny, pomimo zapuszczonych żaluzji. Patrycy i Mary nie mieli nic w ustach od świtu i omdlewali z głodu i zmęczenia.

Chłopak pasował się długo ze sobą, wreszcie przez wzgląd na siostrę podszedł do drzwiczek i skinął na urzędnika.

— Proszę pana—zapytał—czy nie mógłbym kupić pożywienia dla siebie i siostry?

Urzędnik zdziwiony, że widzi takiego panicza wśród głodomorów, odparł szorstko:

— My b a y, nie mogę spełnić takiej prośby.

— Dlaczego?

— Bo to jałmużna dla nieszczęśliwych, a jałmużny się nie sprzedaje.

— Przecież zapłaciliśmy za nasze miejsca.

— To było niepotrzebne, ale nie mam czasu na rozmowy. Jesteście głodni, to bierzcie.

Szkocka duma zawrzała w chłopcu, ale się pohamował, widząc, że Mary omdlewa.

Zaczerwieniony z gniewu i wstydu wyciągnął rękę i dostał dwa placki. Towarzysze niedoli nie wydarli im tego łupu. Patrycy jeden placek dał siostrze, a drugi wziął sobie. Jadł go z upragnieniem, ale było mu ciężko na sercu. Dwie grube łzy spływały po jego policzkach.

Nagle rozległ się świst lokomotywy. Pociąg ruszył.

## ROZDZIAŁ X.

Stwierdzenie śmierci. — Na łóżku szpitalnem. — Bez Szelağa zmarł, urzędowo już nie żyje — Konsul amerykański. — Spóźnione honory. — Hrabina de Solignac. — Trumna. — Pogrzeb wśród nocy. — Rozruchy wybuchają i gasną. — Dziwne pogłoski. — Odgrzebanie. — Pusty grób. — Jacht zniknął.

Dozorca wraz ze swym pomocnikiem, Hindusem, wszedł do celi kapitana. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał więźnia leżącego na ziemi.

Gwałcąc milczenie, obowiązkowe w więzieniach angielskich, zawołał:

— Gentleman! Hej! Gentleman!

Nie było odpowiedzi.

— Przynieśliśmy panu śniadanie. Ależ to śpi twardo! Więzień ani drgnął.

Przerażony tem dozorca, nachylił się, dotknął jego ręki, potem czoła i odskoczył, wołając:

— Zimny jak marmur... Czyżby już nie żył?

Próbował podnieść Bez Szeląga, ale ciało było ciężkie, sztywne i bezwładne.

— To dopiero awantura!—zawołał przerażony.

Wiedział, że odpowiedzialność za tę śmierć może spaść na niego i zupełnie stracił głowę, wybiegł, pozostawiając Hindusa, przeleciał, jak wicher, przez korytarz i wpadł do dyrektora więzienia. Ten kazał natychmiast przyzwać więziennego lekarza.

Tymczasem Hindus, pozostawiony sam na sam z kapitanem, zbliżył się do niego, przeszył go wzrokiem badawczym i roześmiał się. Lecz na odgłos kroków powrócił do zwykłej sobie obojętności brązowego posągu.

Do celi wbiegł dyrektor, za nim lekarz, który począł badać więźnia, podnosił mu powieki, wyczuwał puls, opukiwał serce, wreszcie orzekł:

— Ten człowiek już nie żyje.

— Ależ to niepodobna! To może letarg — wołał dyrektor, nie mniej przestraszony od dozorca na myśl o skutkach katastrofy.

— Przynieście nosze—zakomenderował doktor.

W kilka minut potem kapitan Bez Szeląga leżał w sali na pierwszym piętrze, przeznaczonej dla chorych więźniów. Lekarz badał go znowu. Wycierano go flanelą, przykładano synopizmy, cięte bańki, zastrzykiwano rozmaite środki ożywcze, wpuszczano sztuczny oddech, próbowano elektryczności, ale naderemnie.

Trzy godziny ubiegło na tych bezowocnych wysiłkach. Ciało Bez Szeląga pozostało sztywne, nieczułe i lodowate.

— Ze spokojnem sumieniem stwierdzam, że ten człowiek już nie żyje—oświadczył doktor.

— Cóż mogło spowodować katastrofę tak nieprzewidzianą? Rozumiesz pan, jakie mogą być jej następstwa dla nas.

— Co się stało—nie wiem, ale autopsja wykaże.

— Niech pana Bóg broni dotknąć tego ciała.—Sprawa więźnia nie była jeszcze sądzona, zwłoki nie należą do nas. Mamy prawo jedynie do zwłok skazańców.

— A więc będę miał tego trupa w obserwacji przez dwadzieścia cztery godzin.

— Dobrze, zyskamy na czasie. Trzeba jednak uwiadomić władze sądowe, aby dały znać konsulowi Stanów Zjednoczonych. Co za okropna historia! I to po groźbach braminów. Powiedzą, żeśmy go zgładzili naumyślnie i mścić się będą na nas.

Przestrach dyrektora udzielił się całemu więziennemu personelowi, przeniknął za kraty i mury, ogarnął całą ludność białą, szerząc się wraz z wiadomością o śmierci więźnia. Zapowiedź punditów trwożyła najodważniejszych, grozili nie tylko zakładnikom, lecz miastu całemu widmem dżumy.

Konsul amerykański, wzburzony wieścią o tej śmierci, przybył do więzienia i obejrzawszy zwłoki, czynił zarządowi więziennemu gorzkie wyrzuty za nieludzkie obchodzenie się z więźniem.

Anglicy, tak butni zwykle, tłómaczyli się i usprawiedliwiali.

Konsul żądał, by przynajmniej po śmierci oddano kapitanowi honory, należne jego urodzeniu, stanowisku i majątkowi. Oznajmił, że sam o jego śmierci doniesie żonie.

Pojechał natychmiast do portu i dzięki swemu charakterowi dyplomatycznemu uzyskał, że go na jacht wpuszczono. Zdziwienie jego było wielkie, gdy się przekonał, że mis Klaudja już jest uwiadomiona o swem nieszczęściu. Okazywała moc ducha, której nie spodziewał się u wątlej kobiety... Prosił ją, by rozporządzała bezwzględnie jego osobą.

— Jestem nie tylko rodakiem pani—mówił—ale i przedstawicielem urzędowym naszej wielkiej i potężnej ojczyzny. Od tej chwili znajdujesz się pani pod opieką flagi amerykańskiej i ta opieka czuwać będzie nad panią w każdej okoliczności.

— Dziękuję, dziękuję serdecznie—odparła nieszczęśliwa kobieta głosem stłumionym. — Wlewa pan otuchę w moje serce. Przedewszystkiem chciałabym zobaczyć zwłoki męża... sądzę, że jego dręczyciele nie wzbronią mi tego.

W chwili tej właśnie wszedł oficer, wysłany przez gu-

bernatora wojennego, oznajmiając, że komunikacja pomiędzy jachtem a łądem jest dozwolona.

Klaudja wezwała naczelnika załogi Marjusza i sternika Johnny.

Prowansalczyk i Yankes przybyli natychmiast, starając się panować nad własnym żalem po stracie ukochanego kapitana.

— Drodzy przyjaciele — rzekła im wdowa — zabieram was ze sobą. Oddamy mu ostatnią posługę.

Obaj nie mogli się już dłużej hamować i wybuchnęli płaczem.

Po chwili żałobna gromadka opuściła jacht, nad którym wywieszono czarną flagę. Powóz konsula zawiózł ich do więzienia.

Grono lekarzy otaczało zwłoki kapitana. Wszyscy jednak orzekli, że więzień nie żyje. Chcąc, bodaj po śmierci, zachować się wobec niego przyzwoicie, złożono go na łożu, pokrytem amerykańskimi barwami, otoczono go świecami, u wezgłowią modliło się dwu pastorów.

Gdy nieszczęśliwa żona weszła do tego przybytku śmierci, okrzyk rozpaczony rozdarł jej piersi, z oczu popłynęły strumienie łez gorzkich. Padła na kolana, chwyciła rękę ukochanego i okrywała pocałunkami, chcąc jakby rozgrzać tę dłoń skostniałą.

— Jerzy, Jerzy... więc tak się spotykamy — szeptała.

Jej towarzysze uklękli przy niej i z odległych wspomnień wygrzebywali słowa modlitwy...

Dwaj pastorowie usunęli się dyskretnie. Wdowa i wierni przyjaciele pozostali sami przy zwłokach.

Klaudja pochyliła się nad nimi, szukając iskierek życia w tym ciełe zeszywniałem. Fakir powiedział jej: „Miej nadzieję wbrew oczywistości, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu“.

Miał się jeszcze łudzić? Obiecano jej cud. Czyż mogła

weń wierzyć jeszcze teraz, gdy pierwsze powagi medyczne orzekły, że hr. de Solignac już nie żyje?

Tymczasem w całym więzieniu i w mieście zapanował popłoch. Wystraszeni zakładnicy barykadowali się w swoich mieszkaniach; patrole krążyły po mieście, rojącem się od krajowców. Obawiano się zamieszek. Sytuacja była tak groźna, że komendant wojskowy zarządził, by pogrzebano kapitana wśród nocy.

Nieszczęśliwa wdowa nie stawiała oporu. Przyniesiono trumnę. Marjusz i Johnny złożyli w nią szczątki swego pana, nie pozwalając nikomu obcemu dotknąć się do nich. Dyrektor więzienia, sędzia i pisarz sądowy byli urzędowymi świadkami tej ostatniej posługi.

Klaudja ułożyła drogą głowę na trumiennej poduszce i wycisnęła pocałunek na martwym czole. Dwaj marynarze przytwierdzili wieko do trumny i wynieśli ją na barkach. Wdowa zebrała resztę sił i szła za nimi. Złożono trumnę na wozie i przykryto dywanem, by ją ukryć przed oczyma fanatyków indyjskich.

Pani Klaudja wsiadła do powozu z wiernymi druhami; po za bramą więzienną szwadron ułanów otoczył ten orszak żałobny i popędził z nim w cwał na cmentarz za miejską rogatkę. Grób już był wykopany, spuszczone weń trumnę, jałmużnicy odprawili modlitwy, zasypano mogiłę.

Sztuczne siły, potrzymujące dotychczas biedną Klaudję, opuściły ją nagle. Ze strasznym okrzykiem padła zemdlona na ręce Marjusza.

Naczelnik załogi przeniósł ją do lepianki grabarza, Hindusa, który im ofiarował gościnę.

Ale dzielna Amerykanka przeszła w swem życiu wiele zmian losu, była silna nie tylko duchem, lecz i ciałem zahartowana na wszelakie cierpienia. Omdlenie przeszło niebawem. Jałmużnicy chcieli się nią zaopiekować, ale im podziękowała za usługi, mówiąc, że ma przy sobie dwóch przyjaciół i czuje się zupełnie bezpieczną. Odjechali więc, zostawiając wdowę pod opieką marynarzy.

Była blisko północ.

Zamieszki, wrzące w Kalkucie, uspokoiły się nagle. Wojska powróciły do koszar, tłum zaprzestał wrzasków i pogróżek. Władze zaczynały oddychać swobodniej, zakładnicy nabierali otuchy; żaden z nich dotychczas nie zginął z ręki morderczej.

I oto nagle, około dziesiątej zrana zdumiewająca wieść wzburzyła administrację angielską. Jeden z członków policji krajowej przybiegł do swego naczelnika z doniesieniem, że wykradziono zwłoki kapitana Pennyless.

Naczelnik nie wierzył tej nowinie, nie chciał nawet jej sprawdzać, sądząc, że to fałszywa pogłoska, puszczone naumyślnie dla wzbudzenia popłochu. Gdy jednak policjant nalegał, wyprawiono kilku ludzi na cmentarz; odgrzebano mogiłę, wydobyto trumnę—była pusta. Wszyscy grabarze cmentarni znikli bez śladu.

Oddział policji został wyprawiony do portu, aby dokonać rewizji na jachcie. Ale i tu spotkano się z niespodzianką. Jacht odpłynął przed świtem, to jest przed sześciu godzinami.

Pogoń byłaby daremną.

---



## Część druga.

### Zbiegowie.

#### ROZDZIAŁ I.

Po pogrzebie.—List i flakon.—Znowu fakir.—Porwanie.—Pęd szalony.—  
W tajemniczem mieszkaniu.—Wobec zwłok męża.—Pierwsze objawy.—  
On żyje!—Zupełne wskrzeszenie.—Radość bez granic.—Nowe groźby, no-  
we niebezpieczeństwa.

Klaudja ocuciła się w lepiance grabarza i odrazu odzyskała przytomność. Pamiętała najdrobniejsze szczegóły tego strasznego dramatu. Na parę godzin przed przybyciem konsula amerykańskiego, który jej oznajmił o śmierci męża, budząc się ze snu, znalazła w swojej kajucie mały pakiecik, położony na stole przy jej łóżku. Otworzywszy paczkę, ujrzała srebrny flakon, wysadzany drogiemi kamieniami, prawdziwe arcydzieło. Do korka, zamykającego hermetycznie ten flakonik, przywiązana była kartka z napisem: „Proszę nie otwierać przed odczytaniem listu.“ List, skreślony na pergaminie, owijał ten flakon.

Klaudja zerwała pieczęć w kształcie trzech rąk, tworzących trójkąt po nad kwiatem lotosu. List uwiadamił ją o wypadkach, które zaszły w więzieniu i wskazywał, jak ma się obchodzić z flakonem. Biedna kobieta musiała przyzwać na pomoc całą siłę woli, aby wobec tych zdumiewających wieści nie upaść na duchu. Zalecano jej ścisłą tajemnicę

i błagano, by nie starała się dociec, jaką drogą ten list ją doszedł.

Wiedziała, że jedno słowo nieopatrzne może zniszczyć plan, osnuty przez jej śmiałych a nieznanych przyjaciół. Więc zachowała milczenie nawet przed Marjuszem i Yanke-sem i, uzbroiwszy się w moc ducha, oczekiwała dalszych wypadków.

Wiemy już, co się działo od chwili, gdy konsul zawiózł ją do więzienia aż do chwili pogrzebu. Pomimo słów, zawartych w liście. Klaudja przechodziła katusze. Wobec sztywnych zwłok męża straciła nadzieję. Jakże mogła ją zachować, gdy powagi lekarskie oświadczyły, że kapitan nie żyje! Chwilami przypominała sobie słowa fakira i chciała wierzyć wbrew oczywistości.

— Mój Boże!—modliła się—zlituj się, dokonaj cudu, bo inaczej i ja zejść z nim razem do grobu.

Ocuciwszy się z omdlenia, ujrzała pochylone nad sobą twarze przyjaciół. Głos gruby, ochryply odezwał się do niej w te słowa:

— Odwagi, szlachetna damo, twoi przyjaciele czuwają. Cień ludzki wszedł do lepianki.

— To fakir!—zawołała hrabina de Solignac, poznając Hindusa, którego widziała na jachcie.

— Twój sługa wierny — rzekł. Spojrzał na zdziwionych grabarzy i dodał:

— Słuchajcie rozkazów.

Było ich sześciu. Zabrali swe narzędzia i wyszli a za nimi fakir. Młoda kobieta pozostała sama z Marjuszem i John-nym.

Po kwadransie głębokiego milczenia, fakir zjawił się znowu.

— Niech szlachetna dama raczy iść za mną—rzekł.

Przy świetle gwiazd ujrzeli trumnę, którą przez ten czas grabarze wydobyli z ziemi.

# Ze świata kobiecego.

## Pogadanka o modach.

Wobec kończącego się stulecia, czynione są rozmaite obrachunki; czemużbyśmy więc nie miały rzucić okiem wstecz i zobaczyć, co nam w ciągu tych lat stu przyniosła — moda. Nie tak wiele, jakby się zdawać mogło. Wszystko na świecie zmienia się, a jednak ileż to rzeczy powtarza się w rozmaitych dziedzinach, a tembardziej na polu zdobyczy mody. Przez to ubiegłe stulecie zarys kobiecych sukien dążył naprzód od kontuszów szczupłych, wąskich, do coraz szerszych, a następnie od szerokich do wąskich. Obecnie stoimy na tym samym niemal punkcie, co nasze prababki przed stu laty, jak o tem świadczą cztery wybitne fazy damskich toalet. Więc najprzód, na początku wieku panowały suknie obcisłe, powiewne, zarysowujące kształty, staniki króciutkie, wycięte zimą i latem. Taki strój, nie ugniatający klatki piersiowej, nie tamujący swobody ruchów, zahartowujący na wszelkie zmiany powietrza, był bardzo higieniczny, choć w owych czasach nie rozprawiano jeszcze o higienie. Ta moda trwała stosunkowo długo, bo całe lat dwadzieścia. Figury wydłużały się stopniowo, spódnice zaokrąglały, ale prostota kroju pozostała nieskazitelna, cała elegancja polegała na kosztowności materji, haftów, na wykwinności obuwia i kapeluszków — budek, noszonych już nie na czoło, jak dawne *cabriolets*, lecz z czoła. Po pewnym czasie na spódnicach ukazują się falbany, puffy; około roku 30-go widzimy rękawy bełbiaste, linia

ramion wydłuża się, tak samo jak i kształt kibici. W szóstym dziesiątku stulecia wkracamy w znak krynoliny, wprowadzonej przez cesarżową Eugenię. Ówczesne suknie, kapełusze, okrycia, garniturki są ostatniem słowem niegustowności. W latach od r. 1870 — 1880 doszedłszy do szczytu niedorzecznego obwodu, spódnice zaczynają się zwężać, ale powoli; krynolinę zastępują fartuszki, tuniki, riusze, bufki, ogony, słowem cały arsenał nieestetycznej pretensjonalności; świtają wspomnienia wieku XVIII w postaci tak zwanych *paniers*,



r. 1800—1815.

r 1845—1865.

r. 1875.

r. 1900.

czyniących istotnie kobiety podobnemi do koszów. Potem ukazuje się słaby odbłask krynoliny—turniura, dzięki której panie wyglądają jak kaleki. Wreszcie przychodzi opamiętanie, wracają spódnice gładkie z początku wieku, psują jeszcze harmonię bufiaste rękawy, reminiscencje z r. 1830, ale ustępują one miejsca bardziej naturalnym zarysom toalety, która dziś już nie wykoszlawia, lecz uwydatnia kształty. Czy to długo potrwa? Czy nie zrodzą się znowu jakie cudaki i dziwoty? Miejmy nadzieję, że nie.

A teraz, obliczywszy się z przeszłością, powróćmy do chwili obecnej, a raczej już przeszłej. W karnawale obecnym modne były właściwie nie kolory, lecz odcienie—blade, barwy zielone, niebieskie, liljowe, pastelowe. Co do materiałów, prym trzymała gaza w rozmaite desenie: w kraty atłasowe, w arabeski, w aksamitne grochy, lub też zupełnie gładka; w takim razie spód sukni bywa z materji w duże kwiaty. Dobre wrażenie robi tańszy i praktyczniejszy muślin na ta-

kim spodzie, do którego można użyć sukni podniszczonej. Ładnie wyglądają toalety z gazy, usianej gęsto w krople rosy; w świetle żyrandolów te szklane kropelki lśnią bardzo efektownie. W stanikach zaszła zmiana na korzyść przyzwoitości: wszystkie noszone już są teraz z rękawami a że moda lubi wpadać z jednej ostateczności w drugą, zatem po stanikach bez rękawów, przyszła kolej na staniki dekolowane z zupełnie długimi lub półdługimi rękawami; ale i króciutkie bufki są bardzo używane i zalecają się zwłaszcza dla młodych pańienek. Najmodniejszym przybraniem stanika są aksamitki czarne, pasujące zwłaszcza do toalet jasno-niebieskich. Z aksamitek robią się naramienniki, kokardy u gorsu; ładnie też wygląda stanik, nazywany wązkami aksamitkami: wzdłuż dla figur tęgich, w poprzek dla szczupłych. Ekscentrycznie, ale efektownie przedstawiają się staniki o dwu odrębnych połowach: dajmy na to na gładkim staniku zielonym blado różowa gaza obciąga piersi w poprzek; zmarszczona na lewym ramieniu, tworzy różę gazową, z pod której wychodzi czarny naramiennik, rękawek lewy z gazy; na ramieniu prawem rękaw zielony bez naramiennika u gazu; na pęk róż polnych. Małutkie *bolera* nadają się do przybrania staników, są zwykle z tej samej materji, co suknia, z przodu szmizetka z koronki lub gazy.



Staniki balowe.

W kroju sukien spacerowych i wizytowych zapanował rozsądek; niema już przesady w wąkości spodnic, które nabierają coraz większego obwodu. Po dwu fałdach z tyłu, przyszła kolej na całe spodnice fałdowane. Podajemy wzór najnowszej formy z przodu i z tyłu fig. *a*. Kontrafałda przednia ma 15 centymetrów szerokości u góry 30 cent. u dołu, kontrafałda tylna — 8 cent. u góry, 30 — 40 u dołu. Po bokach 6—8 fałd równych, przyszytych na moc od paska do bioder, a poniżej spuszczone swobodnie. Rozporek i kieszeń łatwo dadzą się ukryć pod kontrafałdy z tyłu.

Staniki robione są przeważnie z bolerami, tylko w fasonie tych ostatnich zaszła pewna zmiana. Bolero składa się

z kilku gładkich plis poprzecznych szerokości 3—4 cent., z dwu materiałów, co jest praktycznem, bo stare suknie, kawałki materji i aksamitu znajdują zastosowanie. Przód takich staników ozdobiony bywa szmizetką tiulową lub koronkową jasną, z pod bolera wychodzi szeroki pasek kolisty tego samego materiału, co suknie, spięty z przodu bądź na patki, bądź na dwa rzędy guzików, bądź na kokardy. Fason *princesse* utrzymuje się w dalszym ciągu z tą tylko różnicą, że tył nie bywa gładki, lecz w trzy głębokie kontrafałdy.

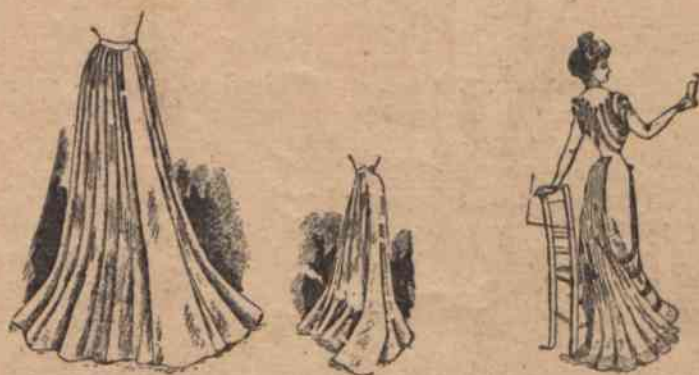


Figura a z przodu i z tyłu.

Placy sukni wieczorowej.

Najmodniejszą z tkanin jest obecnie sukno, wyrabiane w wielkiej różnorodności gatunków—od cieniutkiego, przezroczystego niemal *drap-soleil*, do grubych *box choth* i *maib coach*, „dyliżansowych“, tak zwanych w Anglii, bo są przeważnie używane na kostjumy podróżne.

Wiosna wprawdzie daleko, należy jednak uprzedzić aurę, i załatwiwszy się z przeszłością, pomyśleć o wiosennych kostjumach, inaczej wiosna przejdzie, a nie będziemy mogły powitać jej odpowiedniami do jej wymagań sukniami i okryciami, za co mogłaby się obrazić (wszak jest rodzaju żeńskiego, a więc zapewne nie obojętna na modę) i zesać na nas dżdże i śloty. Wobec ustawicznego nawału roboty we wszystkich mniejszych i większych pracowniach warszawskich, trzeba zawsze o sześć tygodni naprzód zabezpieczać się, by mieć suknię na czas gotową. Szczęściem w sferach, tworzących modę, przewidziano tę ewentualność (i w Paryżu niełatwo doczekać się obstalowanych toalet, zwłaszcza, gdy się je obstalowuje w mniejszych magazynach), więc ukazały się już modele sukien i żakietek wiosennych. Bolero będzie

stanowiąc bardzo eleganckie uzupełnienie toalet spacerowych; żakietka króciutka, dokoła, z przodu wydłużona w jedną lub dwie patki, uzupełni kostjomy, które ujrzymy za kilka tygodni na ulicy. Bylebyśmy nie ujrzeli ich za wcześnie, bo by to mogło sprowadzić liczne katary i influenżę. Lepiej trochę dłużej ponosić futerko, niż, mając wiosenny kostjum wedle ostatniej mody, być zmuszoną leżeć w łóżku.



Suknia z fałdowaną spódnicą.



Suknia wieczorowa.

Ponieważ moda jest, bądź co bądź, dążeniem do upiększenia się, zatem nie od rzeczy będzie w tej rubryce uwiadomić nie tylko, jak się ubierać należy, ale także, co robić, aby zachowywać przyrodzone dary natury lub też brakowi ich zapobiegać. Nie mam tu bynajmniej na myśli sztucznego upiększania się przy pomocy ołówków i szminek. Jestto środek, który nikogo w błąd nie wprowadza, bo najdroższe nawet blansze i róże nie czynią złudzenia natury, z drugiej zaś strony używanie tego środka psuje tylko cerę i ośmic-



Suknia dla młodej panienki

Suknia wieczorna z materji w kwiaty, przybrana wstawką.



sza kobiety stare, które zacząwszy za młodu, nie mogą się już odzwyczaić od „robienia sobie twarzy“. a to tem bardziej, że gdyby przestały, skóra ich byłaby podobna do piezonego jabłka lub do przyprószonej kurzem pomarańczy. Każda z pań, zanim sobie zacznie twarz malować, powinna pamiętać o tej smutnej a nieuniknionej przyszłości.



Suknia z modną spodnicą.



Kostjum wiosenny z żakietką.

Ale oprócz szminek, są jeszcze inne, naturalne sposoby podtrzymania płci. Przedewszystkiem—woda, zwyczajna ordynarna woda, bez żadnych domieszek, czasem tylko, jeśli skóra spierzchnie, można dosypać łyżeczkę kwasu bornego lub dolać zsiadłego mleka, dla zniszczenia piegów i opaleniżny; po za tem najlepiej umywać się latem i zimą wodą temperatury pokojowej, twarzy nie mydlić, bo potem się świeci. Kto ma skórę tłustą, przed pójściem na spoczynek niech przez dziesięć minut robi okłady z gliny, rozmięszanej w occie, która tłuszcz wyciąga; nie należy jednak ponawiać tego częściej, jak trzy razy na tydzień. Dobrze jest również

od czasu do czasu przed umyciem wycierać twarz cold creamem lub waseliną, napuszczoną na wacie. Na „świecenie się“ twarzy pomaga także wycieranie jej, po umyciu, ostrym ręcznikiem. Strzedz się trzeba wszelkich mydeł drogie; im droższe, im bardziej pachnące, tem są niebezpieczniejsze dla cery, bo w skład ich wchodzi kosmetyki. Najzdrowszem na skórę jest mydło zupełnie proste, nie psują też płci mydła glicerynowe bez zapachu i zwyczajne migdałowe lub jajeczne. Na cerę brzydką, zbyt czerwoną lub bladą, na pryszcze, liszaje, plamy, nie pomogą środki, które się znajdują w składach perfum, albowiem takie cery bywają zwykle wynikiem złego żołądka, anemji lub innych dolegliwości



Ubranko dla chłopczyka  
lat 8—10.

Sukienka dla dziewczynki  
lat 9—11.



Sukienka dla  
dziewczynki.

fizycznych; może na to poradzić doktor, nie zaś perukarz. Dla utrzymania ładnej cery trzeba się strzedz wszelkich raptownych zmian atmosferycznych, a więc podnoszenia woalki na ulicy podczas mrozów, wychodzenia na chłodne powietrze, będąc zgrzaną, wachlowania się po silnem zmęczeniu. Tyle co do twarzy.

Co zaś do zachowania i zwiększenia porostu włosów, trzeba raczej zapobiegać wczas, niż leczyć. Do czesania zalecają się szczotki niezbyt ostre. Użycie gęstego grzebienia pożądanem nie jest, albowiem nie tępi łupieżu, a tylko nie-

potrzebnie drażni skórę. Skuteczniej daleko oczyszcza głowę mycie jej w następującym roztworze: 5 gr. sody oczyszczonej, 5 gr. salolu na 1 litr wody przegotowanej, letniej. Nie trzeba myć głowy częściej, jak raz na miesiąc, a przede wszystkim, łaskawe czytelniczki, strzeżcie się wszelkich eliksirów, wszelkich sztucznych preparatów, które nie pomagają na włosy, a tylko sprowadzają przedwczesną siwiznę. Ten wzgląd powinien was odstraszyć. Choć kto wie—wszak obecnie siwizna jest modną.

*E. Żmijewska.*

## **Tania legumina z fasoli.**

Pół kwarty szablatego grochu ugotować na sypko w wodzie, jak zwykle, odlewając pierwszą wodę a nalewając drugą ciepłą, pilnując, aby się nie rozgotował. Gdy dobrze miękki, odlać wodę, a groch przetrzeć przez rzadkie sito. Następnie wbić w ten roztarty groch 6 żółtek po jednemu i 12 łytów cukru, kładąc po jednym żółtku i po pół łyżki cukru, wsypać odrobinę gałki muszkatołowej i odrobinę soli, ubić pianę z tych sześciu białek i dobierać po trochu pianę do masy grochowej, ciągle wierząc. Gdy wszystka piana wyjdzie, włożyć całą masę do wysmarowanego masłem, wysypanego bułką lub mąką (co wszystko jedno) rondelka i wstawić do miernie gorącego pieca na pół godziny. Wyrzuciwszy na półmisek, posypać cukrem. Można zrobić do tej leguminy sos śmietankowy, rozbiwszy trzy żółtka z ówierz funtem cukru, zagotować kwaterkę śmietanki, zaparzyć żółtka tą gorącą śmietanką, lejąc powoli, żeby się nie zwały, robiąc to w kamiennem garnuszku, który następnie postawić na trzonie, miészając ciągle aż trochę zgęstnieje, ale broń Boże zagotuje. I tym gorącym sosem polać leguminę

*L. Ćwierczakiewicz.*

## **Kluski parzone, zapiekane z serem.**

Wziąć kwaterkę wody, półkwaterkę masła, soli, razem zagotować i sypać kwaterkę mąki pszennej w gotującą się wodę, miészając dobrze, żeby od rondla odstało. Wymieszać moono,

wystudzić, gdy wystygnie wbić po jednemu cztery całe jaja, za każdym rozbijając mocno; jeżeli jaja duże, można tylko trzy. Zagotować wody w głębokim rondlu i w gotującą wodę kłaść łyżką srebrną kluski, przykrywszy pokrywą po włożeniu wszystkich, aby dobrze podrosły. Ugotowane wyjmować łyżką durszlakową i układać na półmiskę blaszany lub porcelanowy. bo taki nie pęka, wysmarowany mocno masłem; po ułożeniu warstwy polać masłem posypać tartym serem parmezanem lub szwajcarskim i znowu masłem skropić, dalej ułożyć drugą warstwę klusek, polać masłem, posypać serem i znowu na wierzch dużo masła młodego. Wstawić pod blachę na 20 minut, kluski podrosną, a przypieczony ser i zrumienione masło wybornie smakować będzie; w piecu powinno stać na górnej kondygnacji, aby się tylko z wierzchu zarumieniło. Gdy dłużej stoją robią się zakalcowate.

*L. Cwierzakiewicz.*

### Walka stronictw w Austrii.



*Koguty się biją, a lis w pruskim kaskiecie patrzy, ślinkę łyka i czeka; gdy się dostatecznie nieopatrzone ptaki zmordują — capnie.*

## ROZMAITOŚCI.

**Odłużenie świata.** Ogólna suma długów państw cywilizowanych wynosiła w 1899 r.: 122,420 milionów marek. Z tego przypada na: Francję 24,480 milionów, Anglię 12,897 milionów, Austro-Węgry 12,127 m., Włochy 10,185 m., pojedyncze państwa niemieckie 9,992 m., kolonie angielskie 9,492 m., Rosję 7,900 m., Hiszpanję 5,660 m., Północną Amerykę 3,972 m., Portugalję 2,525 m., Rzeszę Niemiecką 2,204 m., Egipt 2,088 m., Brazylię 2,072 m., Holandję 1,849 m., Belgję 1,832 miliony marek i t. d.

Ciekawe jest badanie, jak coroczne odłużenie świata zwiększało się z biegiem czasów podług pewnych, wpływających na życie gospodarze państw wypadków. Odłużenie to wzrastało w zastraszający sposób w czasie wojen, np. aż do r. 1820 przecięciowo rocznie o 740 milionów, w następnym, względnie spokojnym okresie od 1820 do 1848 r. tylko o 200 milionów rocznie. Wówczas rozpoczęły się na nowo w rozmaitych państwach przygotowania wojenne i z tego powodu odłużenie wzrastało aż do r. 1862 o 1460 milionów marek rocznie. Pomiędzy r. 1862 a 1872 toczyły się w Ameryce i Europie rozmaite wojny; odłużenie świata wzrastało w tym okresie o 4,280 milionów rocznie. Po r. 1872 wzrost ten roczny był coraz mniej znaczny; wynosił on aż do 1882 r. zaledwie 1380 milionów marek pomimo wojny rosyjsko-tureckiej i jeżeli od r. 1882 liczyć zaczniemy okres zbrojnego pokoju, to pokój ten zwiększał wprawdzie odłużenie świata, lecz jedynie w stosunku 960 milionów rocznie, gdy w dawniejszych dziesiątkach lat np. około połowy bieżącego wieku odłużenie zwiększało się rocznie o 1,000 milionów. Powyższe zestawienie, zaczerpnięte z jednego z fachowych pism niemieckich, nie uwzględnia ważnej bardzo kwestji: o ile zwiększyła się w porównaniu z dawniejszemi czasami suma procentów. W każdym

razie ludność państw cywilizowanych, jeśli przyjmiemy dla obecnego odłuzenia 4 procent, dźwiga ciężar procentów, wynoszący 4,896 milionów marek rocznie, czyli że z miljarda ludzi ucywilizowanych, którzy (z wyjątkiem Chin) składają się na to opocentowanie, każdy płacić jest zmuszony blisko 5 marek rocznie. W niektórych jednak państwach długi państwowe pokrywają się przynajmniej w części majątkiem państwowym, przedewszystkiem kolejami państwowymi. I tak wobec 122 miliardów długów spotykamy 27 miliardów majątków państwowego, z czego na same Niemcy przypada 10 miliardów, na Austro-Węgry 4 miljardy marek. Ponieważ jednak z drugiej strony pojedyncze prowincje i gminy państw obarczone są po większej części własnymi jeszcze długami, których suma ogólna wynosi około 17 miliardów, to pomimo owego majątku państwowego, każda ucywilizowana jednostka płaci rocznie około 5 marek procentów od odziedziczonego długu.

**Ryba-miecz (Włócznik).** W piśmie niemieckim „Prometheus“ czytamy opowiadanie, że w maju r. z. pewien rybak angielski,



podczas wyprawy łowieckiej z Teniona-Takonga, zabity został przez rybę-miecz. Naoczny świadek, inżynier lin podwodnych w Singapore, opowiada, że ryba wyskoczyła z wody i narzędziem,

stanowiącym przedłużenie głowy, przebiła rybakowi piersi powyżej serca. Odwróciwszy się na krzyk napadniętego, spostrzegł, jak ryba wyciągnęła broń swoją z piersi ranionego i rzuciła się w wodę. Przywieziono do domu martwe już zwłoki.

Ogłędziny lekarskie wykazały, że śmierć nastąpiła rzeczywiscie od ciosu włócznika. Okazało się, że w okolicach tamtejszych dość często zdarzają się wypadki napaści miecza na rybaków. Trudno wiedzieć, czy w danym wypadku mowa była o rybie-mieczu pospolitej (*Xiphias gladius*), czy też innym gatunku, istnieją bowiem ryby, posiadające przedłużenie głowy w kształcie sztyletu, piły lub miecza, którego używają jako groźnej broni. W zbiorach muzeum w Adelajdzie znajduje się część drzewa okrętowego z głęboko utkwionym odłamkiem górnej szczęki rybmiecza.

W maju 1888 r. statek norweski, „Książę Eugenjusz“, został przedziurawiony uderzeniem miecza. Gdy okręt po powrocie oddano do warsztatów okrętowych, okazało się, że miecz przebił pancerz metalowy, grubą ścianę okrętową sosnową, ściankę wewnętrzną i wyszedł na wylot na drugą stronę.

Piękna siła i ładna broń!

**Koleje żelazne.** Ogólna długość kolei żelaznych Europy wynosiła w reszłym 256,493 kilometry. Z tego przypadało na: Niemcy 47,348 kilometrów, Francję 40,971, Rosję i Finlandję 34,221, Austro-Węgry 32,180, Włochy 15,079, Hiszpanję 12,282, Szwecję 9,894, Belgję 5,777, Szwajcarję 3,563, Holandję i Lnksemburg 3,129, Rumunję 2,879, Turcję i Bułgarję 2,430, Portugalję 2,340, Danję 2,267, Norwegję 1,938, Grecję 952, Serbję 540, wyspy Malte, Jersey i Man 110 kilometrów. Na 100 kwadratowych kilometrów przypada przecięciowo w Europie 28 kilometrów kolei żelaznych, na każde 10,000 mieszkańców, 6,9 kilometrów.

## Tajemnicza ucieczka.

Dzienniki amerykańskie opisują osobliwy wypadek z czasów wojny na Kubie.

Hiszpanie wzięli do niewoli trzech braci kubańczyków, Pedro, Alvar i Ruy Maruncz, zamknęli ich na drugim piętrze we młynie, wejścia i wyjścia na dole i na pierwszym piętrze bronili trzynastu żołnierzy.

Badając szczegółowo więzienie, Alvar znalazł naprzód kulę armatnią, ważącą 75 funtów, później spostrzegł przy oknie, wychodzącym na pole, linę, przerzuconą przez blok; na każdym jej końcu wisiał kosz. Był to przyrząd do wciągania zboża i do

spuszczania maki. Okno wznosiło się nad ziemią na 10 metrów. Alvar zaczął to wszystko oglądać, kombinować i wymiarkował, iż może uda się im uciec z młyna.

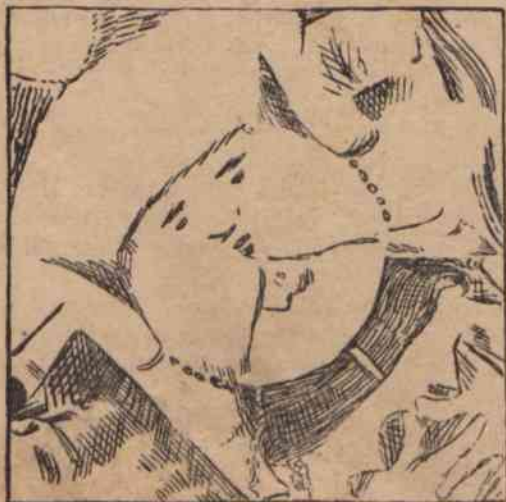
Na nieszczęście linka tak była urządzona, iż człowiek, siedzący w koszu, nie mógł się za nią chwycić przy wciąganiu lub zjeżdżaniu i nikt inny nie był w stanie mu dopomóc. Czyli z bloka można było skorzystać w ten tylko sposób do spuszczenia się na ziemię, ażeby w jeden kosz włożyć ciężar większy niż w drugi. Ale jednak różnica ciężarów w dwu koszach nie powinna była przeusić 15 funtów, gdyż w razie przeciwnym kosz, bardziej obciążony, spuszczał się ze zbyt wielką szybkością, niebezpieczną dla człowieka; jeżeli zaś w koszu, idącym ku dołowi, była tylko kula, to wzgląd ten nie istniał.

Wreszcie okazało się z badania, iż w koszu mogło się pomieścić tylko dwu ludzi, albo też jeden człowiek i kula. Ruy ważył 195 funtów, Pedro 105 funtów, a Alvar 90 funtów.

Długo więźniowie medytowali i radzili, jakby to można zemknąć przez okno w koszach. Musieli w końcu coś wymyślić, bo nazajutrz rano już ich nie było we młynie. Hiszpanie dotychczas podobno nie mogą wyjść z podziwienia i zrozumieć, jak się to stało. Możeby kto potrafił im to wytłomaczyć?

## TAJEMNICZY RYSUNEK

### Wyciąć jegomościa.



W poniżej umieszczonym kwadracie zawiera się cały pan, tylko się członki jego pomieszały. Nie jest on ani piękny, ani elegancki, z pozoru przypomina burmistrza niemieckiego starej daty. Jedyne tytuły jego do ludzkiej uwagi w tem właśnie tkwi, że, odpowiednio pocięty, stanowi dokładny kwadrat.

Chodzi oto, aby czytelnicy nasi tak potrafili pokrajać kwadrat i tak go potem złożyć, aby stanął nasego jzmość.



# UKŁADANKA.

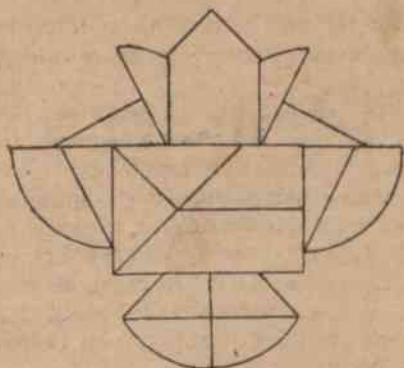


Fig. 1.

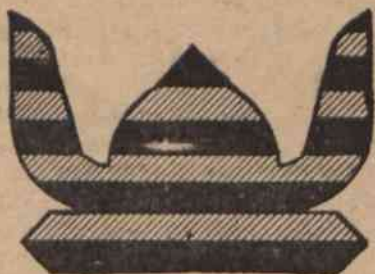


Fig. 2.

Figura 1-sza stanowi rozwiązanie układanki z numeru poprzedniego. Z tych samych kawałków ułożyć figurę 2-gą. (Znaczenie ma tylko kontur; paski i kreski służą jedynie dla nadania figurze wyrazistości).

## Rozwiązania

zagadnień, zamieszczonych w № 1-szym.

**Zadanie Arytmetyczne: brakuje dziesiątki.**

Pierwsza przekupka winna była sprzedawać 15 par jabłek po dziesiątce para, druga 10 trójek po dziesiątce trójka. Zamiast tego podzielono wszystkie 60 jabłek na 12 porcyi po pięć sztuk i sprzedawano porcję za dwudziestkę. Ponieważ tańszych jabłek było 10 trójek, więc po sprzedaniu 10 porcyi już się jabłka tańsze wyczerpały. Zostały zaś dwie porcje, czyli 10 sztuk (5 par) jabłek samych droższych, za które należało dostać 5 dziesiątek, a otrzymano tylko dwie dwudziestki.

Więc się dziesiątka znalazła, ale... nie dla przekupek, te biedne straciły.

*Rozwiązanie nadesłali:* Wł. Sledziński z Mazowiecka, M. Robakiewicz z Kowla, J. Tykocinerówna z Włocławka, Aleksander Krawczyk z Grodziska, S. Trzciniński z Płońska, Adam Kucewicz z Hoszczy.

**Kalejdoskop.**

*Smutni, chorzy! wy zamiast cieszyć się i leczyć,  
Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.*

*Rozwiązanie nadesłali:* Adam Kucewicz z Hoszczy, Aleksander Krawczyk z Grodziska, Marja Złyńska, Halina, Zosia i Marychna.

**Kryptogram.**

*„Lećmy i nigdy nie zniżajmy lotu“.*

*Rozwiązanie nadesłał:* p. St. Bielawski ze Słonima.

**4 rb.** w roku bieżącym, **4 rb.**

rocznie w Warszawie.

**1900-ym**

rocznie na prowincji.

# „Kurjer Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

**Ludwika Straszewicza.**

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

## „MIESIĘCZNIK”

**ILLUSTROWANY,**

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

**4 rb.**

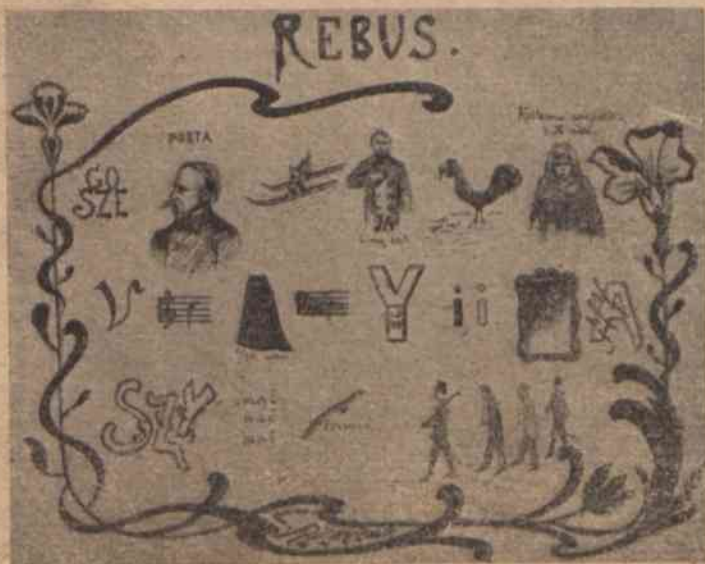
WARSZAWA

**4 rb.**

rocznie na prowincji.

Marszałkowska № 141.

rocznie w Warszawie.



Дозволено Цензурою Варшана 16 Февраля 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**